

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Czy JP2 uległ tajemnicy zła?
- Włoscy faszyci znów czują wiatr
- Patorodzina, czyli błędy pokoleń
- Edukacja wraca do XIX wieku
- Czego uczyć ukraińskie dzieci?



WYSOKIE
OBCASY

Basia Starecka:
wiem, czym
jest głód



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Sędzia
Waldemar Żurek

Pod
butem
władzy



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Polskie fatum
skąd wziął się
w nas gen
samozagłady?



**Hitler podziwiał
marszałka**
co Niemcy wiedzieli
o Piłsudskim?

Michał Rusinek:
czy drewno, polskie drewno,
może mieć wartość kulturową,
a nawet sakralną? ► 20

Witold
Gadomski

Nie pokonamy inflacji bezboleśnie

Rząd stara się łagodzić skutki inflacji poprzez tarcze, czyli dopłaty i ulgi podatkowe. Pociesza też Polaków, że ceny szybko rosną, ale i płace, więc nie jest źle. Otóż, jest bardzo źle, a polityka NBP oraz rządu prowadzi nie tylko do utrwalenia inflacji, ale też obniżenia wzrostu gospodarczego, czyli do zubożenia społeczeństwa.

Najpierw kilka liczb. We wrześniu przeciętne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw było o 14,5 proc. wyższe niż rok wcześniej, zaś ceny towarów i usług konsumpcyjnych wyższe o 17,2 proc. Płace realne spadły o blisko 2,5 proc. W sferze budżetowej znacznie więcej.

Przeciętne emerytury i renty były w trzech pierwszych kwartałach 2022 roku realnie niższe niż rok wcześniej o 4 proc.

To dane średnie, obliczane przez GUS. Duża część pracowników i emerytów straciła więcej niż średnio. Znacząco zwiększyły się koszty spłaty kredytów, ale ogromne straty ponieśli prawie wszyscy, którzy dysponują oszczędnościami,

Tysiące firm kończy działalność, nie wytrzymują rosnących kosztów

bo nie sposób znaleźć lokaty oprocentowanej powyżej inflacji, a działania rządu, by użyć w kredytach, spowodowały straty w bankach, które muszą ograniczyć kredytowanie dla gospodarki. Tysiące małych firm kończy działalność, nie wytrzymują rosnących kosztów oraz spadku popytu ze strony ubożających klientów.

Nie ma bezbolesnego sposobu opanowania tak wysokiej inflacji. Stoimy przed problemem – czy zwalczać ją metodami bardziej radykalnymi i dotkliwymi dla obywateli, ale dzięki temu można będzie szybciej wrócić do normalności, czy dolegliwości inflacji łagodzić, wydłużając jej trwanie w nieskończoność.

Metoda radykalna walki z inflacją polegałaby na znacznym podniesieniu stóp procentowych przez Radę Polityki Pieniężnej, a jednocześnie znacznym obcięciu wydatków państwa i zrównoważeniu budżetu. Efektem byłaby recesja, a także wzrost bezrobocia i przejściowe silniejsze obniżenie dochodów realnych. Wsparcie przeznaczone byłoby tylko dla grup naprawdę znajdujących się w złej sytuacji. Po szybkim opanowaniu inflacji – co trwałoby około dwóch lat – gospodarka mogłaby się odbić, a dochody zaczęłyby rosnąć.

Metoda druga to dalsze wypłacanie osłon drożyznianych z budżetu, powiększanie dziury w finansach państwa, utrwalanie inflacji i powolne obniżanie poziomu życia większości Polaków bez nadziei na poprawę.

Trzeciego scenariusza nie ma, a politycy, którzy twierdzą inaczej, okłamują nas. ●

Andrzej rysuje



Katania
Ląd dla wybranych



FOT. MASSIMO DI NONNO/AP

Statek „Geo Barents” zawinął do portu w Katanii na Sycylii. Na jego pokładzie są uchodźcy, którzy pokazują napisy „Pomocy!” i domagają się, by władze wpuściły ich na ląd. Jednak Włosi nie wszystkich wpuszczają, na morzu czekają jeszcze dwa statki pełne migrantów

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

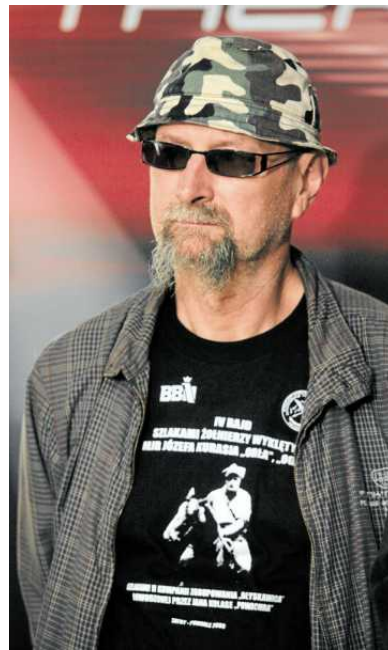
Kod dostępu do Wyborcza.pl



Andrzej Dziubek
„Crazy Polak” i reparacje

W czasach „Solidarności” wręczał Wałęsie płytę, dziś śpiewa o stratach wojennych i spotyka się z ministrami rządu PiS.

Życiorys Dziubka to nie tylko muzyczna włóczęga. Za młodu tańczył, śpiewał i grał w folklorystycznym zespole Małe Podhale, później próbował naśladować na gitarze Jimiego Hendrixa. W grudniu 1970 r., kiedy miał 16 lat, zdecydował się na ucieczkę za granicę. W Austrii pracował na cyrkularce, miał wypadek, stracił trzy palce, potem wyjechał do Norwegii. Kapela De Press zapewniła mu rozpoznawalność – także dzięki znanemu kawałkowi „Bo jo cie kochom”. A potem idzie w patriotyczny patos. W 2009 r. wydał płytę o „żołnierzach wykłetych”, w 2016 – przy współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej – o Czerwcu '56. W jednym z tekstów Dziubek wygraża emerytowanym ubekom i ormowcom: „Pasożyty, dać im wódki/ Pasożyty, robią w portki/ Bo za niedługo skończą się/ Emerytalne dodatki”. „Straty wojenne Polski”, najnowsza piosenka Dziubka, na tyle spodobała się partii rządzącej, że politycy obozu Zjedno-



FOT. JACEK ŁAGOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

czonej Prawicy nawiązali kontakt z zespołem.

– Planujemy kolejne piosenki w językach niemieckim, angielskim, francuskim, norweskim – zapowiedział Arkadiusz Mularczyk, nowy wiceminister spraw zagranicznych, autor raportu o polskich stratach wojennych. ●

Konrad Wojciechowski

Kaczyński
na tournée



Działacze PiS są załamani objazdem prezesa po Polsce. Po ostatnim wystąpieniu, gdy ostrzegali kobiety przed piciem alkoholu, w sztabie trwają narady. Będziemy ten objazd śledzić

Więcej ► Wyborcza.pl

FOT. PATRYK OGÓRZALEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Camerimage w Toruniu

1 Dwunastego listopada rusza trzydziesta edycja Camerimage – Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych. W ramach imprezy odbędą się pokazy fabularne i dokumentalne, spotkania, warsztaty, prezentacje nowoczesnych technologii i sprzętu filmowego. Gościem specjalnym będzie Sam Mendes, zdobywca Oscara za reżyserię „American Beauty”.



FOT. CHRIS PIZZELLO/AP, MIKHAIL METZEL / SPUTNIK / KREMLIN POOL PHOTO /AP, MARTYNA NIECKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wtorek

Wojenny szczyt

2 Piętnastego listopada zaczyna się na indonezyjskiej Bali szczyt gospodarczy G20, przy stole negocjacyjnym zasiadą kraje, które oskarżają Rosję o zbrodnie wojenne. A kto przyjdzie z Rosji? Czy Putin zdecyduje się spojrzeć w twarz krajom Zachodu, które oskarżają go o zbrodnie wojenne w Ukrainie? Prezydent Ukrainy już zapowiedział, że na szczyt nie przyjedzie.



Niedziela

DakhaBrakha w Polsce

3 Polskiej publiczności znani są od lat, m.in. z OFF Festiwalu. Teraz ukraińska DakhaBrakha przyjeżdża na serię koncertów w Polsce. Wystąpią 20 listopada – Warszawa, 21 listopada – Gdańsk, 22 listopada – Poznań, 24 listopada – Wrocław, 25 listopada – Kraków. Bilety: od 119 zł.



Cytat dnia

Ja bym chciał,
żeby w górach był śnieg,
a w nizinach,
żeby było ciepło



PREZYDENT ANDRZEJ DUDA
podczas szczytu klimatycznego COP27 w Egipcie

Anatomia władzy

Wróg, sadyzm i utopia

Zaryzykuję i opisując państwo PiS, sięgnę po argument „ad Hitlerum”

Maciworowski



Po siedmiu latach jedynowładztwa Kaczyńskiego krok po kroku Polska odchodzi od demokracji w kierunku państwa autorytarnego. Mocno zbliżyła się do Węgier, gdzie demokracja jest fasadowa, a na horyzoncie majączy system podobny do putinowskiej Rosji. W internecie funkcjonuje pojęcie tzw. prawa Godwina (wymyślił je w 1990 r. amerykański prawnik Mike Godwin), które z grubsza sprowadza się do tezy, że gdy w sporze sięgasz po argument „ad Hitlerum”, to już przegrałeś. Zgadzam się, „atomowe” porównania są ryzykowne. Oczywiście dzisiejsza Polska to nie jest Trzecia Rzesza, a zjednoczona Europa nie ma nic wspólnego z powersalską. Ale warto zastanawiać się – biorąc rzecz jasna pod uwagę wszelkie polityczne i społeczne uwarunkowania naszych czasów – ile państwo PiS przejęło cech ustroju Trzeciej Rzeszy. I choć „prawo Godwina” nie daje mi szans na sukces, to zaryzykuję i sięgnę po argument „ad Hitlerum”.

W klasycznej monografii „Państwo stanu wyjątkowego” Franciszek Ryszka, prawnik, historyk, przeanalizował system nazistowski. Według niego opierał się on na czterech fundamentach: wróg obiektywny, perwersja biurokratyczna, sadyzm polityczny i utopia agrarna. Wróg obiektywny – pisze prof. Ryszka – „nie musiał być licznie wielki ani manifestować bezpośrednio zagrożenia. Za to działać miał wszystkimi dostępnymi środkami – wewnątrz

społeczeństwa niemieckiego i poza jego granicami. Miał animować szkodliwe prądy kulturowe i odgrywać w nich przewodnią rolę, miał produkować (...) wszystkie »wrogie Niemcom« doktryny i ruchy polityczne: marksizm, liberalizm (nawet do pewnego stopnia – konserwatyzm), chrześcijaństwo (»judeochryścianizm«), i wreszcie organizować konkretne działania przeciw niemieckiemu państwu i społeczeństwu”. Wróg obiektywny miał stanowić „zasadniczą przeszkodę w osiągnięciu zasadniczego doktrynalnego celu (...)”. W Trzeciej Rzeszy głównym „wrogiem obiektywnym” byli oczywiście Żydzi, którzy „nigdy nie zostali zdefiniowani przez nazistów inaczej niż w sposób formalnoprawny zawarty w ustawach norymberskich”. Państwo PiS aż kipi od „wrogów obiektywnych”. Roi się od nich na pakach TVPiS. Jest nim nie tylko Tusk, ale przede wszystkim „wszechobecne lewactwo”, wyszydzane przez Kaczyńskiego środowiska LGBTQ+ i uchodzący na granicy z Białorusią. To nie tylko Rosjanie (a do wybuchu wojny także Ukraińcy), ale przede wszystkim Niemcy, którzy – jak twierdzi Kaczyński – „chcą podporządkować sobie Polskę, jak kiedyś zrobił to Związek Radziecki”. Jednak największym „wrogiem obiektywnym” jest dziś Unia Europejska, która żąda od Polski jej suwerenności i stanowi „przeszkodę w osiągnięciu zasadniczego doktrynalnego celu”.

Pod hasłem „perwersja biurokratyczna” Ryszka rozumiał system oparty na władzy urzędników. „Prawo – w tym systemie – ustępuje na rzecz decyzji organu władzy, nieskrępowanego niczym innym niż własnym uznaniem na samej górze, im niżej zaś – poleceniem płynącym z góry. »Polecenia od góry do dołu, odpowiedzialność od dołu do góry« – tak brzmiała we własnym pojęciu

hitlerowska »zasada wodzostwa«, pisze profesor. I dodaje, że w takim państwie „najefektywniejsza miała stać się zasada permanentnego stanu wyjątkowego, tzn. całkowitego zdominowania prawa – a więc ochrony prawnej i bezpieczeństwa prawnego – przez decyzję. Decyzja znajduje się w rękach biurokracji, rozumianej jako zbiór podmiotów decyzji, uszeregowany hierarchicznie (...)”. W takim systemie „biurokracji wszystko wolno, by osiągnąć zamierzony cel”. Udać niezależność, może „działać bez względu na straty i szkody wyrządzane innym ludziom”. Na zasadzie „polecenia od góry do dołu” funkcjonuje dziś w Polsce wiele instytucji, np. prokuratury czy Trybunał Konstytucyjny. Rządowymi urzędnikami są pracownicy publicznych mediów, spece od polityki historycznej w IPN-ie czy Instytucie Pileckiego, które udają placówki badawcze. To też spółki skarbu państwa, które są traktowane jak bankomat, a kasa płynie do kieszonki PiS-owskich urzędników.

Żeby „władza urzędników” była sprawowana skutecznie, musi sięgać po szczególne metody. Ich zbiór prof. Ryszka określił mianem „sadyzmu politycznego”. „Sadyzm jako maksyma działania to »posiadanie na własność« swoich bliźnich” – pisze. I dodaje, że chodzi o to, „aby przedmiot własności móc zniszczyć”. Jak jednak zdobyć na własność bliźnich? „Ze stanu władania fizycznego

trzeba przejść do wywołania sytuacji psychicznej – tłumaczy Ryszka. – Trzeba po prostu wzbudzić strach jako poczucie bezpośredniego zagrożenia. Trzeba zacząć od tego, żeby jednostka poczuła się wyizolowana ze zbiorowości. Początek to odebranie jej elementarnego bezpośredniego czy bezpieczeństwa prawnego i poddanie arbitralnej decyzji. Przeświadczenie, że »władzy wszystko wolno«, prowadzi do tego, że człowiek musi się jej bać. Nie wie on, co jemu z kolei naprawdę wolno, a czego robić nie powinien”. W takiej rzeczywistości zbiorowość jest posegregowana: „Są tacy, co nam są wierni, tacy, co nam służą, i tacy, o których od razu wiadomo, że są mało warci. Każdy jednak ma lub może mieć coś na sumieniu”.

Tu PiS-owska władza posunęła się bardzo daleko, szpiegując Pegasusem politycznych przeciwników i niewygodnych prawników. Represjonując sędziów i ich rodziny, o czym na naszych łamach opowiada sędzia Waldemar Żurek. Upolityczniona prokuratura ukręca sprawy związane z ludźmi władzy, a przeciwników nęka śledztwami i procesami pod wymaginowanym pozorem. I najdrastyczniejsze – narzuca drakońskie prawo antyaborcyjne i wymyśliła rejestr ciąż. Kobiety mają się bać!

Czwartą cechą systemu nazistowskiego była – według Ryszki – „utopia agrarna”. W Trzeciej Rzeszy to wizja wielkich połaci ziemi na Wschodzie. PiS-owska władza co rusz wyznacza sobie ambitne cele, jak elektryczne samochody czy przekop Mierzei Wiślanej. W ich realizacji przeszkodą są oczywiście „wrogowie obiektywni”, ale nie mam wątpliwości, że po kolejnych wyborach PiS-owska władza świetnie sobie z nimi poradzi. ●

Mirosław Maciorowski

Polowanie na sędziego Żurka

STRACH W OCZACH TEMIDY





Władza chciała, żebym się psychicznie załamał, żeby moja rodzina cierpiała

Z SĘDZIĄ **WALDEMAREM ŻURKIEM***
ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Czy nasz kraj staje się niebezpieczny do życia?

– Niebezpieczny, bo wielkimi krokami zbliża się do wersji demokracji białoruskiej. Widzę tego mechanizmy, których ciągle przybywa, widzimy to w środowisku sędziowskim. Widzę też, że dobrzy, mądrzy, odważni kiedyś sędziowie zaczynają się bać. Ale to nie taki strach przed wojną, głodem i bombą atomową, tylko strach przed wydaniem orzeczenia, do którego jest się przekonany, ale po jego wydaniu pojawiają się złe konsekwencje. To dramat tych sędziów, widzę, jak ich to gryzie.

A pan?

– Nie jest lekko, ale każdego dnia, gdy patrzę w lustro, to mogę jakoś spać, bo się nie ześwinilem. Tak przed samym sobą, bo nieważne, jak mnie postrzegają inni.

Taka odwaga to w boju zdobyta czy rodzinna?

– Pochodzę z typowej polskiej, katolickiej rodziny. Rodzice bardzo religijni, nigdy nie należeli do żadnej partii. Ojciec był elektrykiem w kopalni Siersza, mama nauczycielką w szkole podstawowej. Atmosfera sprzeciwu wobec komunizmu w domu była bardzo silna, zapisali się w pewnym momencie do „Solidarności”.

Rozmawialiśmy w domu o polityce, obecne były legendy np. pradziadka ze strony matki, który zginął w wojnie polsko-bolszewickiej. Nie ma grobu, poległ gdzieś pod Kijowem. Był także dziadek, żołnierz Września, wzięty do niewoli, z której uciekł, wrócił do domu i trafił na roboty do Niemiec, z których też dwukrotnie uciekł. Raz złapany stał już przed plutonem egzekucyjnym. Złapali go w lesie, był tam jakiś Ślązak w niemieckim mundurze, który przekonał resztę, żeby już nie brać kolejnych na swoje sumienie. Dziadek nienawidził Niemców, ale całe życie mi powtarzał, żeby nie patrzeć na mundur, tylko na człowieka. W domu starszy brat uczył się w technikum w Zespole Szkół Elektrycznych w Nowej Hucie, a to było mocno walczące miejsce. Pamiętam, że byłem tam z matką na mszy, kiedy przyjechał ksiądz Popiełuszko. To wszystko przeze mnie przenikało. Po stanie wojennym była u rodziców trauma, bali się o nas.

Dziadków od strony ojca nie pamiętam. Babcia po przejściu frontu miała w domu karabin maszynowy, granaty. Ciotka opowiadała, jak babcia pewnego dnia znalazła przy linii kolejowej dziecko żydowskie, bo oni mieszkali w Chrzanowie, blisko Auschwitz. Umyła, uczesała, przebrała i wywiozła w bezpieczne miejsce.

• **Sędziowie Igor Tuleya, Waldemar Żurek i Paweł Juszczyński podczas demonstracji wsparcia dla sędziego Tulei w związku z wnioskiem o uchylenie mu immunitetu przez Izbę Dyscyplinarną Sądu Najwyższego**

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Starszy brat wybrał szkołę zawodową, pan także, technikum leśne. Dlaczego?

– W domu była taka tendencja, że trzeba mieć zawód. Był wtedy taki film „Wszystkie stworzenia małe i duże” i modni byli weterynarze. Było nawet technikum w Nowym Targu, ale ja powiedziałem, że chcę iść do lasu, bo ojciec zabierał nas na grzyby, na ryby, chodził z nami po lesie. Myślałem sobie wtedy, że będę niezależny, a w piwnicy leśnicówki będzie powielacz i będę robił ulotki. Ta szkoła była bardzo ciekawa, mieściła się w starym pałacu na granicy Górnego Śląska, otoczona parkiem, ogrodem botanicznym. Świetna szkoła życia, pięć lat się chodzi w mundurze. W pierwszym roku sala 11-osobowa w internacie, łóżko przy łóżku, dyscyplina, fala jak w wojsku. Nawiazaliśmy kontakt z komórką Konfederacji Polski Niepodległej i jako niepełnoletni jeszcze chłopak przysięgę składał u Adama Słomki, w domu w Katowicach. Malujemy wtedy mury, roznosimy ulotki, jeżdżimy na spotkania, na których uczymy się prawdziwej historii. Byłem dzieciakiem od czarnej roboty, jeździliśmy też na demonstracje pod kopalnię Wujek. Widziałem wtedy pierwszy raz w pełnym rynsztunku oddziały ZOMO.

A co rodzice na to?

– Nie wiedzieli, a brat też przynosił do domu ulotki. Te pierwsze, które kleiłem, to on przywoził. Małe to było, chowało się to do ręki i przyklejało na butapren na znaku drogowym, słupie ogłoszeniowym. Rodzice przestrzegali, ale młody człowiek myśli inaczej. Miałem w domu makatkę, na której byli Piłsudski, Lech Wałęsa, papież i znaczki „Solidarności” od rodziców. Papież to był gigant dla nas, bo przecież wtedy nikt nie mówił o pedofilii, o tym, jak Kościół wychodził w alianse z władzą. Tuż przed wyborem Karol Wojtyła był w naszej parafii, mówiłem mu wierszyk w kościele, uściskał mnie, z rodzicami jeździliśmy na Błonia w Krakowie, gdy odwiedzał Polskę. Tak że we mnie to się odkładało latami.

Patrzę wstecz na ludzi, którzy ginęli za wolność, a nam to nie grozi, no bo co mi mogą zrobić? Wyrzucić z pracy? Dać kolejną dyscyplinarkę? To nie robi na mnie wrażenia. To uderza w rodzinę, to niszczy także finansowo. Z człowieka o stabilnej pozycji mogę stać się bankrutem, bo Ziobro wznawia ileś spraw, obciąża kosztami i wtedy widzisz potęgę tej władzy autorytarnej.

Czyli nie widzi pan już demokracji?

– Ostatnio czytam książkę profesora Stanisława Sagana pt. „Dyktatury zakamuflowane”. Opisuje Turcję, Węgry, Polskę, pokazuje błędy, bo kiedy mówimy „autorytaryzm”, to część ludzi jest zbulwersowana i mówi: „no nie”, bo porównuje to do czasów stalinizmu, hitleryzmu. Wielu nie rozumie, że współczesna dyktatura to może być zabicie człowieka w przestrzeni publicznej, zniszczenie jego życia prywatnego i zawodowego, doprowadzenie do stanu depresji i całkowitej bezbronności. Odsunięcie się bliskich i znajomych. Zresztą osoby niszczone w ten sposób same się alienują. Te metody plus propaganda, ataki w mediach społecznościowych, onnipotencja władzy, która cię może dopaść na wiele różnych sposobów. To wszystko jest takie sprytnie zakamuflowane, że tych mechanizmów często w porę nie odczytujemy.

A jeszcze ludzie, którzy nie wychowali się w demokracji, nie rozumieją protestów społecznych, bo całe życie im wmawiano, że władzę trzeba szanować. To jest także resentyment do czasów młodości, bo Kaczyński uderza w te tony, takie, które im przypominają młodość – bezpieczeństwo socjalne i sny o potędze.

Pochodzi pan z Chrzanowa, blisko jest obóz Auschwitz. Pamięta pan, kiedy był tam pierwszy raz?

– Chrzanów przed wojną był miastem żydowskim. Moja babcia pracowała u Żydów. Mówiła nawet, że jak wiatr wiał z kierunku

Oświęcimia, to czuli zapach palonych ciał i że to było straszne. Pierwszy raz pojechałem tam z wycieczką szkolną, pewnie jak większość, ale to mi nie utkwilo w pamięci tak jak to, co przeżyłem później.

Władza nasłała na mnie 27 prawników, by ze mną walczyli i doprowadzili do załamania

Moje technikum leśne miało umowę z muzeum i jeździliśmy tam na trzy tygodnie, mieszkaliśmy w budynku na terenie obozu, tam, gdzie jest kino, porządkowaliśmy teren Birkenau, który jest zasypany prochami ludzkimi i zieleni tam bardzo bujnie się rozwija. Usuwaliśmy ją z ruin krematoriów, dla nastolatka niesamowite przeżycie. Kupiłem książkę pt. „Anus mundi” Wiesława Kielara, polskiego więźnia, i czytałem ją w przerwach na terenie obozu. Poszedłem raz umyć ręce po pracy do jeziora i okazało się, że piasek, który biorę do ręki, to nie piasek, tylko zmielone kości ludzkie, resztki z krematorium. Do dzisiaj pamiętam. Zdarzyło się, że jem śniadanie, siedząc na murku, buciem poruszam trawę, a z ziemi wychodzą połamane sztucce. Tam była tzw. Kanada, w tym miejscu był kiedyś barak, wypełniony nimi po brzegi. Chodziliśmy po obozie, patrzyliśmy na reakcje ludzi. Miałem ciocię, której rodzice zginęli w Auschwitz, żyła z traumą całe życie. Jeździła tam 1 listopada palić znicze. W wieku dojrzałym się powiesiła.

Pamiętam, gdy była konferencja sędziów i byli koledzy z Niemiec. Zorganizowałem wyjazd do obozu, byłem z nimi, a później poszliśmy na kolację do restauracji żydowskiej na Kazimierzu. Robiłem to trochę celowo. Jeden sędzia, wydawało się, silny człowiek, którego poznałem na konferencji, gdy zobaczył na ekspozycji te stosy ludzkich włosów, wyszedł w szoku i zastanawialiśmy się, czy wezwać pomoc medyczną. Pamiętam też pewne małżeństwo z Hiszpanii, gdy kobieta nie chciała wyjść z autokaru w Birkenau, bo już chwilę wcześniej była w Auschwitz, ale mąż ją wyszarpał, bo, jak powiedział: to obowiązek, musisz się z tym zmierzyć.

A dlaczego wybrał pan prawo?

– To trochę chyba dzięki temu zaangażowaniu w KPN. Poznałem wtedy Adama Słomkę, ale też Adama Michnika, z jego ręki dostałem pierwszy numer „Wyborczej”. To było dla nas jak relikwia, bo tyle znaczyła wolna prasa. Wygrane wybory w ’89 to był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu, nie licząc urodzin moich córek. Zastanawiałem się, co ze sobą zrobić, i wtedy mój brat przyjeżdżał z nareczoną, studentką prawa. Ona już wtedy zwracała uwagę na to, czym jest konstytucja, imponowała mi wiedzą, elokwencją i taką pewnością, że prawo to oręż. Zdałem na prawo na Uniwersytet Jagielloński dzięki wspaniałej polonistce. Byłem też wielkim miłośnikiem historii. Na studia, na początek pierwszego roku, dostałem się na zaoczne, bo miałem poprawkę z rosyjskiego. Kilka lat wcześniej zrobiliśmy w tech-

nikum strajk, że nie będziemy się uczyć tego języka. Ale już na drugim roku, dzięki wysokiej średniej ocen, przenieśli mnie na dzienne. Bronilem się jako pierwszy na roku, u świetnego promotora, mojego i także Andrzeja Dudy.

Ale parłem do roboty, dostałem część etatu w Samorządowym Kolegium Odwoławczym w Krakowie i pozaetutowo na aplikację sądową. Byłem też chwilę w kancelarii, ale mentalnie tam nie pasowałem, bo zbyt idealistycznie patrzyłem na ten zawód, życie to oczywiście zweryfikowało. Jeździłem też w wakacje do Anglii, żeby dorabiać, i pracowałem fizycznie, rozładowywałem tiry, zbierałem truskawki, byłem w knajpie na zmywaku. Pierwszy raz przy betoniarce pracowałem jako 15-latek. Kopalem też ręcznie wykopy pod fundamenty, w angielskiej glinie, i to była naprawdę bardzo ciężka praca.

A teraz jest jeszcze ciężiej, bo w pana sprawie toczyły się 384 postępowania i wciąż zakładane są nowe.

– Kiedy nasłano na mnie CBA, a potem na moją ciężarną żonę, to sprawdzano nas w różnych instytucjach. Było ich ponad 300 – banki, firmy ubezpieczeniowe, domy maklerskie. Państwo poświęciło mnóstwo pieniędzy, żeby dopaść sędziego Żurka. CBA nie znalazło niczego, ale to trwało 16 miesięcy. Więc złamano nawet przepis, który mówi, że można obywatela prześwietlać tylko dziewięć miesięcy. Ale o to chodziło, żeby mnie całkowicie oderwać od pracy zawodowej, od życia rodzinnego, zburzyć mój spokój. Żebym się psychicznie załamał, żeby moja rodzina cierpiała. To są właśnie metody państwa autorytarnego. Potem wpadli na pomysł, że będą mi za wszystko wytaczać postępowania dyscyplinarne. Prawników, którzy pomagają państwu, w tych moich sprawach naliczyłem ostatnio 27. Co do skarg nadzwyczajnych to też jestem rekordzistą, bo mam trzy. Wszystkich postępowań dyscyplinarnych uruchamianych wobec mnie było 22. Mam także jednym pismem postawione 64 zarzuty rzekomego fałszerstwa orzeczeń. Ściągano ponad 100 akt z mojego referatu i szukano. Najpierw czy jakieś diety nie wyludziłem, bo to by się świetnie medialnie sprzedawało.

A teraz wykańcza się mnie, przerzucając do innego wydziału. Wszystko przez to, że nie jestem biernym sędzią – uderzam w budujący się reżim, wytaczam sprawy neosędziom w Sądzie Najwyższym, żeby ustalić, czy są legalnie powołani, wytaczam skargi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że nielegalnie skrócono kadencję rady bez trybu odwołania, i ETPC przynajmniej mi rację.

Poznałem Ziobrę, to człowiek pełen kompleksów, chyba porażek i traum

Mógłby pan oskarżyć Polskę o regularne nękanie. Myślał pan o tym?

– Toczę sprawę o mobbing od czterech lat i nadal nie ma wyroku pierwszej instancji. Ta sprawa jest dokumentacją mojej historii i historii ludzi, którzy brali udział w jakiejś części niszczenia mnie. To wszystko się zapisuje, są na to świadkowie. Staram się to

wyrzucać z pamięci dla zdrowia psychicznego. Resetuję i idę do przodu.

Jak to resetować?

– Córkę, zwłaszcza te młodsze, z drugiego małżeństwa, odrywają mnie od tego. Moja żona w zaawansowanej ciąży była kontrolowana przez CBA, miała dramatyczne skoki ciśnienia, dziecko urodziło się z fatalną wadą serca, najprawdopodobniej genetyczną, ale też mogło to nastąpić pod wpływem różnych bodźców. Julka, moja najmłodsza córka, miała pięć procent szans na życie. Uratowaliśmy ją z zespołami lekarzy, jest dzieckiem niepełnosprawnym, ale dobrze się rozwija. Cały czas na lekach i na razie nie rokuje, żeby to się miało zmienić. Będziemy próbowali ją leczyć, genoterapią w Stanach Zjednoczonych, jak się uda.

Natomiast ta sytuacja mnie sprowadziła na ziemię, pokazała po raz kolejny system wartości... Ale wie pani, to też jest straszne, bo ja, chcąc sprostować temu, co robię w pracy, mam dzisiaj ponad 400 spraw w referacie, najtrudniejszy wydział, a gdy przychodzi do niego jacyś „neo”, to po paru miesiącach odchodzą, a właściwie zabiera się ich, do innych wydziałów, bo widzą, że to jest wydział dramatyczny, i nie dają rady.

Stał się pan bohaterem mimo woli?

– Tylko że zabiera mi to czas, tlen. Kolejna dyscyplinarka, która pojawia się w mediach, powoduje, że dzwoni do mnie kolejno pięciu dziennikarzy, którym muszę wszystko wytłumaczyć. Nie ma tygodnia, żebym nie otrzymał jakiejś przesyłki, rekordem było pięć jednego dnia, związanych z zakładanymi przeciwko mnie sprawami. Muszę na nie reagować, bo to są różne zapętlenia prawne. Mogłem to ignorować, ale na początku powiedziałem sobie, że mogę stracić wszystko, stanowisko, rodzinę, status materialny, który daje poczucie bezpieczeństwa, i muszę się z tym liczyć. Ale przypominają mi się ludzie „Solidarności”. Przez kryzys konstytucyjny poznałem Bujaka, Janasa, Michnika, Frasyniuka, Wujca, jak żył, jego cudowną żonę. To też ładowanie akumulatorów. Oni postawili wszystko na jedną kartę, wiedząc, co mogą stracić, ale wyszli z tego zwycięsko, i to dodaje mi otuchy. Pod sądem w Gorlicach spotkałem Andrzeja Stasiuka, jego żonę Monikę Sznajderman. Zaprośili mnie do domu. Co za klimat. To też jest bardzo ważne. Spotykam Andrzeja Chyrę czy Zbyska Hołdysa i wiem, że są po dobrej stronie mocy. Że nie jesteśmy sami. A obywatele, ulicznicy? Cudowni ludzie...

Ale co pan robi dla siebie, żeby wytrzymać to wszystko?

– Dużo pracuję fizycznie, mieszkam na wsi. Jestem typem, jak się śmieję, chłopo-robotnika. Robię drzewo, kopię w ogródku, uwielbiam swoje roślinki, często jeżdżę w Bieszczady, gdzie mam bardzo wąskie grono przyjaciół. Ograniczyłem też spotkania w większym gronie, bo mnie dużo kosztują. Ludzie, których się nie widzi regularnie, bardzo chcą pocieszyć, ale też pytają: co u ciebie, dajesz radę, opowiedz... I wtedy człowiek z takiego spotkania przychodzi bardzo zmęczony. Bo właściwie musi wracać do traum. Jestem zmęczony tą walką. Pomaga mi działka, posadziłem maliny, robimy z nich sok. Koszenie trawy też pomaga. Staram się uciekać w przyrodę. Moje małe dzieci dają mi inną perspektywę, bo wiem, że muszę dla nich przeżyć. Nie chcę mówić o kosztach.

Czasem boksuję, żeby zrzucić negatywne emocje, chodzę po moich ukochanych górach i lasach.

To jak w czasie wojny, nie podaje się publicznie strat własnych i nie podaje się dokładnie metod, jak się leczy rany. Może kiedyś... To czas walki, nie ma co mówić o kosztach... Ale my tę wojnę o praworządność wygrywamy. I wygramy...

A rodzice, którzy kiedyś chcieli pana chronić?

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



*Waldemar Żurek

• ur. w 1970 r., absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Jest sędzią Sądu Okręgowego w Krakowie, przez ponad 14 lat był również jego rzecznikiem prasowym. W 2016 r. otrzymał nagrodę „Złoty Paragraf”, przyznaną przez redakcję „Dziennika Gazety Prawnej” dla najwybitniejszych przedstawicieli świata prawniczego, w kategorii „Najlepszy sędzia”. Członek zarządu głównego Stowarzyszenia Sędziów „Themis”. Jest krytykiem zmian w sądownictwie wprowadzanych przez rząd PiS, za co w ostatnich latach wielokrotnie stawiano mu zarzuty dyscyplinarne. Żonaty, ojciec czterech córek

mi. Bo oprócz tych bandytów są jeszcze symetryści, którzy przykładają swoją cegielkę tą biernością. Stoją z boku, patrzą, kto wygra, i czasem wygłaszają swoje beznadziejne teksty. Zastanawiam się, jak plastyczne mają sumienia, bo my się posuwamy w tym reżimie z każdym miesiącem.

Najgorsi są ci, którzy świadomie korzystają i pchają się w pobliże tej władzy, żeby zyskać stanowiska, których w normalnej sytuacji nie byłiby w stanie dostać, bo nie mają odpowiednich umiejętności, są często leniwi. To koniunkturaliści, nastawieni na zysk finansowy. Jest też duże grono ludzi, którzy sobie leczyli kompleksy, czyli: no wreszcie dostałem to stanowisko, którego w „normalnych czasach” by mi nie dali. Dlatego musimy ich rozliczyć – ku przestrodze i dla sprawiedliwości, odebrać stanowiska.

Będzie krzyk, ale ja będę w grupie osób, która podejdzie do tego spokojnie, tzn. będziemy się opierać na konstytucji i będziemy trzymać standardy, pilnować procedur, nie będzie polowania na czarownice, tylko rozliczanie przestępców i ich pomocników. Zakładam, że część osób zrozumie, jaki błąd popełnili, i im także trzeba dać szansę. Pewnie będzie też grupa, która koniunkturalnie będzie merdać ogonem do nowej władzy, ci są najgorsi. Dla zachowania stanowisk będą robić wszystko. Potrzebni też będą świadkowie, którzy przez cały ten czas byli blisko i mają dowody. Takie osoby musimy chronić, jak koronnych.

To o środowisku sędziowskim, prokuratorskim, a jak pan oceni całe społeczeństwo w ostatnich latach? Tam też widzi pan taki podział na paserów, bandytów, przywoitów?

– Bardzo dużo osób zrozumiało, że zamach na praworządność to zamach na nich. Jak

– Myślę, że to o wiele cięższe dla nich niż dla mnie. To jest ten case matki czekającej na syna, który jest na wojnie, on jest cały czas na adrenalinie, a ona umiera ze zmartwień. To bardzo trudne.

Nie wiem jak pan, ale gdy nie mam siły, uciekam w smaki dzieciństwa, podobno jedzenie poprawia nastrój... Kiedy jadł pan ostatnio ziemniaki po cabańsku? To regionalny przysmak z pana rodzinnych stron.

– No to ja robię często jajecznicę, to wyniosłem z domu. Chrzanów i okolice miał oczywiście tradycję pieczenia ziemniaków w żeliwnym garnku, mam taki i kilka razy zrobiłem go w domu. Gdy moi rodzice przygotowywali taki gar, to był cały ceremoniał: ziemniaki, kielbasa, boczek, cebula, buraki. Układało się to wszystko warstwami. To się nakrywało liśćmi kapusty, darni się wykopywało w ogródku i nakładało się tę ziemię na liść kapusty, i stawiało na ognisku. To było pyszne danie, najbardziej mi smakowały oczywiście te najbardziej przypieczone ziemniaki. Wspominam też często żurek i rosół mamy. Tęsknię do tych smaków, ale ja też bardzo ograniczyłem te spotkania, bo wiem, że rodziców to bardzo dużo kosztuje, z każdym moim bytem u nich są nowe odsłony ataku na mnie. Jak oglądają te wszystkie paszkwile w TVPiS, to czasem te wizyty są takie, że staramy się bardzo oględnie rozmawiać, raczej o prozie życia, o dzieciach.

A spotkało pana coś przykrego na ulicy ze strony obywatela, który wierzy w narrację Ziobry?

– Spotykało. Byłem przez długi czas twarzą oporu i pamiętam ten cały hejt w naszą stronę. Pamiętam wyzwiska, gdy pod sądem nagrywałem się dla TVN 24. Te osoby nigdy nie podchodziły blisko. Tylko z daleka. W Chrzanowie na Tour de Konstytucja spotkała mnie sytuacja, że pan mi bardzo gratulował postawy, a potem zaczął mnie wypuszczać na temat „żołnierzy wyklętych”. Okazało się, że z ukrycia nagrywał naszą rozmowę i ordynarnie prowokował, bym powiedział na nich coś złego... Powiedziałem mu, że zachowuje się jak ubek.

Wierzy pan w rozliczenie obecnej władzy?

– Zdecydowanie tak, tylko ja się tym nie ekscytuję. Myślę, że to ich doprowadza do największego lęku. Już obserwuję tych akolitów, sługusów władzy autorytarnej i widzę w nich strach. Naprawdę. Od jakiegoś czasu na ulicach spotykam się z sympatią, a nie antypatią, więc zauważam tę zmianę społeczną, która zachodzi. Czuję to na własnej skórze. Widzę, że ci, którzy się tak mocno puszyli, byli blisko ministra Ziobry, to teraz zaczynają się bać. Sędzia, który się zwiąże z politykami każdej opcji, jest człowiekiem naprawdę godnym współczucia. Bo dzień zaczyna od śledzenia sondaży. Prawdziwy sędzia tego nie ma, tego dygotu. Jako sędzia dotknięty przez reżim, bo nie wiadomo, ile moje serce tego jeszcze wytrzyma, na pewno nie chciałbym być tym, który będzie ich sądził. Mógłbym być zbyt łagodny, by nie być posądzonym o to, że jestem zbyt surowy, że to osobista zemsta. A to także będzie niesprawiedliwe, bo wyrok ma być odpowiedni. Mam oczywiście swoje pomysły na przywrócenie porządku, bo nie chciałbym używać słowa „rozliczenia”, tylko przywrócenie praworządności i ukaranie przestępców.

Tak jak jest złodziej i paser, tak ja to dziś rozdzielam: na bandytów konstytucyjnych, którzy zaplanowali, przeprowadzili zamach stanu na państwo, i tych paserów, którzy korzystali z tego pełnymi garściami, wiedząc dobrze, że to bandyterka. W cywilizowanych demokracjach to powinny być wyroki, które będą odgrywały rolę odstraszającą na przyszłość. Trzeba podchodzić do tego pragmatycznie. Bez emocji. Musi powstać niezależna prokuratura, sądzić będą niezależne sądy bez „neo”, których nazywam paserami konstytucyjny-

na skalę propagandy i środki, które na nią wydano, nie oceniam tego źle. Ktoś narzeka, ale spójrzmy na Turcję, na Węgry. Uważam, że społeczeństwo obywatelskie się obroniło. Oczywiście chciałbym, żeby było więcej takich sędziów jak moi przyjaciele i przyjaciółki, walczących, ale wydaje mi się, że ta grupa też wygrywa dzięki tym, którzy stoją za nami, ale nie mają dość odwagi. Mam tu przed sobą list od koleżanek z Warszawy, tych walczących, pelen wsparcia, to też bardzo ważne gesty.

Poznał pan osobiście Zbigniewa Ziobrę?

– Poznałem w różnych odsłonach i moje pierwsze wrażenia za tzw. pierwsze- go Ziobry było takie, że to człowiek, który od początku całą swoją karierę związał z polityką. Pelen kompleksów, chyba porażek i traum. Studiowaliśmy w podobnych latach, pewnie się przecinaliśmy na studiach, ale ja zupełnie go nie pamiętam. Trochę mu współczuję, bo ten cały jego styl bierze się z tych lęków. Fenomenem jest, że do takich stanowisk w Polsce doszedł człowiek, który – według mnie – nigdy nie powinien sprawować funkcji publicznych. To świadczy o tym, że systemy kontroli w naszym państwie nie zadziałały należycie. Żyjemy w świecie populistycznym, i to nie jest nic nowego. Przecież jak zobaczmy różne reżimy autorytarne, to one prawie zawsze opierały się na populistach. To także świadczy, że demokracja nie jest dana raz na zawsze. Ale chciałbym, żeby Ziobro został osądzony nie za to, że jest Ziobrą, tylko za to, co zrobił. Za te wszystkie naruszenia prawa, których się dopuścił.

Czy jest możliwa odpowiedzialność osób, które stały za deformą instytucji prawnych?

– Pytanie, czy jesteśmy w stanie postawić tym ludziom zarzuty karne. To oczywiście zgryz dla niezależnych prokuratorów i naukowców, karnistów. Pytanie też, czy te osoby, które dobrowolnie szkodziły pań-

żeby za szkody, których narobił, odpowiadało państwo z pieniędzy podatników...

Część z tych osób moim zdaniem nie powinna wykonywać dalej nie tylko zawodu sędziego, ale w ogóle zawodu prawnika. Bo to zawód zaufania publicznego.

PiS ma różne pomysły, by się przed tym obronić, choćby walka z Unią Europejską. Czy oni aby nie chcą wyjść z UE, by zwiększyć swoją bezkarność?

– Teoretycznie mogą chcieć, ale większość polskiego społeczeństwa jest przywiązana do wartości, którą niesie Unia, czyli do wolności w ramach prawa – pracujesz i chcesz żyć po swojemu. To widać po młodym pokoleniu, które nie głosuje na autokratów. Niektórzy mają też różne ciągoty nacjonalistyczne i na tym polu trzeba zadbać o edukację, a nie propagandę, nie skreślać tych ludzi... Uważam, że największym problemem obecnie jest obrzydzanie Unii. Oglądam media tzw. rządowe regularnie i to, co się tam wyprawia... Z jednej strony korzystamy ze środków unijnych, z drugiej opluwamy ten system, który dał nam ogromny skok społeczno-ekonomiczny.

Wiele osób na szczęście widzi, że to, co mówi partia rządząca, jest oparte na oszustwie i propagandzie. Choćby ostatnio – w telewizji widzą pełne składy węgla w dobrej cenie, ale jak idą do sklepu, to jest pusty albo cena ścina z nóg. Dlatego ten rok będzie trudny, ale jest też rokiem nadziei na zmianę. Myślę, że to da ludziom wiele do myślenia.

A co do myślenia dały panu ostatnie lata?

– Przede wszystkim to, że wyszliśmy zza stołów sędziowskich i – mam nadzieję – to się nie odwróci. Inaczej się to widzi, gdy się siedzi w todze, a inaczej, kiedy jest się pod sądnym i dostaje się kolejne pismo, trzeba iść do prawnika, usiąść na ławie oskarżonych. To jest lekcja pokory, by nie traktować obywatela z góry. Nigdy tego nie miałem, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że były z tym problemy. Obywatel może się nie zgadzać z naszym rozstrzygnięciem, ale musi wiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, że pochyliliśmy się nad jego sprawą z maksymalną wiedzą i poświęceniem.

A jeśli PiS nie zrezygnuje i przygotowuje zamach na ordynację?

– Po tej władzy spodziewam się wszystkiego, powinniśmy mieć przygotowane różne plany, bo chyba rzeczywiście będą robić wszystko, żeby nawet nielegalnie władzę utrzymać. Musimy być na to przygotowani i mieć pomysły, jak zaważczyć o demokrację. Apeluję do tych, którzy boją się przejęcia władzy – wielu z was już wie, że stworzyliście potwora, jesteście zależni od jednego człowieka, otoczonego żalosnymi pochlebcami, dla którego jesteście tylko narzędziami. Będzie o was dbać do czasu, aż przestaniecie być potrzebni. Opamiętajcie się, bo ten system – potwór – który tworzą, może skonsumować was samych. Nie możecie w tym systemie czuć się bezpiecznie. Nikt nie może. ●

Apeluję do tych, którzy boją się przejęcia władzy – stworzyliście potwora, jesteście tylko narzędziami

stwu, nie powinny odpowiadać w trybie cywilnoprawnym? Kto ze swej winy wyrządził drugiemu szkodę, obowiązany jest do jej naprawienia. To jest fundament prawa cywilnego, odpowiedzialności odszkodowawczej. Jeżeli byleś funkcjonariuszem publicznym, gdy popełniłeś błąd, to jesteś jakoś chroniony. Ale co z tymi, którzy niszczyli instytucje własnego państwa umyślnie i z premedytacją? Co z osobami, które z premedytacją podejmowały działania szkodzące innym osobom? Czy jeśli ktoś był nielegalnym niby-funkcjonariuszem, czy za szkody nie powinien regresowo odpowiadać całym swoim majątkiem? A nie

FOT. GETTY IMAGES

Najbardziej wnikliwa krytyka wychodzi zazwyczaj z wnętrza systemu. Gdy Jacek Kuroń i Karol Modzelewski napisali swój list do partii, spotkała ich sroga kara właśnie za to, że ich tekst oskarżał partię o zdradę ideałów z pozycji lewicowych. W świecie demokratycznym na szczęście za krytykę nie idzie się do więzienia. Amerykański filozof Michael J. Sandel ma natomiast pełne prawo twierdzić, że jego tezy pochodzą z samego jądra demokracji, wolnego rynku i merytokracji – jest wykładowcą Harvardu, pojawiał się też w Oksfordzie i innych intelektualnych „świątyniach” Zachodu. Należy do liberalnych elit i właśnie te elity chłosta.

Nam, tu nad Wisłą, wydaje się, że to Polacy i inne narody ciemnione przez komunistów przyczynili się do upadku Imperium Zła. Tymczasem wśród mieszkańców Zachodu po 1989 panowało przekonanie, że gloria należy się właśnie im – to ich styl życia, ich projekt polityczny i gospodarczy okazał się lepszy. Myszką Miki pokonała Wilka i Zająca.

Zaczęto więc dzielić tych, którzy stali po właściwej i niewłaściwej stronie historii. Zachód stał po właściwej, więc kraje takie jak Polska jedynie mogły się dostosować – co zresztą ochoczo robiły. Sukces zachodniego świata sprawił, że także centrowi i lewicowi politycy musieli przyznać słusność dwójgu piewcom wolnego rynku – Margaret Thatcher i Ronaldowi Reaganowi. „Gospodarka, głupcze!” – to było hasło wyborcze Clintona, a jego administracja „podtrzymała zapoczątkowany przez Republikanów proces zawierania porozumień o wolnym handlu oraz deregulacji sektora finansowego” – pisze Sandel.

I choć odnosi się głównie do świata zachodniego, to jego uwagi o ostatnich 30–40 latach dotyczą także naszego kraju. To pocieszające, że pewne negatywne zjawiska nie są wcale naszą specyfiką, XXI-wieczną wersją plica polonica.

Upadek żelaznej kurtyny umożliwił wolnorynkową globalizację. Polska weszła w ten proces, dokonując jednocześnie transformacji. Projektowali ją ludzie wpatrzeni w Reagana i Thatcher jak w obrazek, uważający globalizację za zjawisko tylko dobre.

Oczywiście Polska, w przeciwieństwie do krajów Zachodu, była bankrutem – transformacja była konieczna. Gdy amerykańskie koncerny przenosiły produkcję nowoczesnej elektroniki do Azji, zostawiając na łodzie bezrobotnych, u nas produkowano maszyny do pisania. Sandel krytykuje zachodnie elity, bo nie podzieliły sprawiedliwie tortu. U nas żadnego tortu nie było.

Krytyka Sandela w naszym przypadku bardziej więc pasuje do okresu po 2004 r., gdy transformacja gospodarcza właściwie się dokonała i do Polski popłynął strumień unijnych pieniędzy.

Generalnie jednak zarówno na Zachodzie, jak i w Polsce „elity” zajmowały się nie tym, jak reformować globalizację, „lecz tym, jak się do niej dostosować”. Hasło Unii Demokratycznej z 1993, „Po pierwsze gospodarka”, było kopią z kampanii Clintona.

Zachód za przyczynę sukcesu uznał wyższość moralną płynącą z pracowitości i wiedzy. W trwającym długie dekady procesie z chrześcijaństwa, zwłaszcza w protestanckim wydaniu, wysnuto przekonanie, że zamożność jest dowodem bożej łaski. W świecie anglosaskim zapanowała teologia sukcesu. Jeśli jesteś zdrowy i bogaty – to znaczy, że jesteś przyzwyczajony, jeśli źle ci się powodzi – coś z tobą nie tak.

Po drodze społeczeństwa zachodnie się zlaicyzowały, ale przekonanie, że dobrobyt jest dowodem zasług, pozostało. Sandel: „triumfalistyczny aspekt merytokracji to swego rodzaju providencjalizm bez Boga. Ludzie sukcesu osiągają wszystko dzięki



Wróciliśmy do XIX wieku

EJ, BIEDACY, CO Z WAMI NIE TAK

Uniwersytety i parlamenty są dziś bardziej zróżnicowane pod względem płciowym i rasowym, ale nie pod względem zamożności

Andrzej Brzeziecki

ki własnej pracy, ale jednocześnie ich sukces stanowi dowód na ich cnotliwość. Taki sposób myślenia podbija moralną stawkę, o którą toczy się rywalizacja ekonomiczna. Uświęca zwycięzców i poniża przegranych”.

W wersji hard zaprezentował takie myślenie prezes Goldman Sachs poproszony o uzasadnienie bulwersujących premii przyznawanych zarządzającym tą firmą. Odparł, że on i jego koledzy „realizują dzieło Boże”.

Jak to dzieło Boże wygląda w praktyce, świadczy kilka danych, które podaje Sandel. Pod koniec lat 70. dyrektorzy generalni czołowych amerykańskich firm zarabiali 30-krotnie więcej niż ich przeciętni pracownicy. W 2014 – już 300-krotnie więcej. Od końca lat 70. większość wzrostu dochodu narodowego trafia do 10 proc. najzamożniejszych obywateli. W ujęciu realnym mediana zarobków mężczyzny w wieku produkcyjnym jest niższa niż 40 lat temu. O ile

więcej 90 proc. ludzi urodzonych w latach 40. zarabiałoby więcej niż ich rodzice, to takie szczęście będzie mieć tylko połowa urodzonych w latach 80. A długość życia przestała rosnąć już kilka lat temu.

Adair Turner, szef brytyjskiej komisji nadzoru finansowego, przyznał: „Nie ma jasnych dowodów, że powiększenie i narastające skomplikowanie systemu finansowego bogatych krajów rozwiniętych ostatnich 20 czy 30 lat w jakikolwiek sposób przyczyniło się do przyspieszenia wzrostu lub zapewnienia większej stabilizacji”.

Ponieważ produkcję przeniesiono do krajów biedniejszych, na Zachodzie liczy się wykształcenie, a nie praca własnych rąk. W teorii brzmi wspaniale. Clinton mawiał: „zarobisz tyle, ile się nauczysz”, a Obama dodawał: „postaraj się, a odniesiesz sukces”. Ale to nie takie proste. Sandel zauważa, że „ponad dwie trzecie studentów uczelni należących do Ivy League wywodzi się z gospodarstw domowych z górnych 20 proc. rozkładu dochodów”. Amerykanie budowali swój system w opozycji do zdominowanej przez arystokrację Wielkiej Brytanii, ale efekt okazał się nie lepszy. Początkowo wierzone w „naturalną arystokrację”, a więc w ludzi, którzy powodzenie zawdzięczać będą nie nazwisku, ale pracy i talentom. W latach 50. zreformowano edukację w USA. Opracowano system obiektywnych egzaminów. Pół wieku później ich wyniki wykazują głównie zależność od majątności dzieci do nich przystępujących.

Dziś większość studentów dobrych uczelni pochodzi z bardzo zamożnych rodzin. Tylko 3 proc. z dolnej jednej czwartej społeczeństwa. Statystyki pokazują też, że łatwiej dostać się na dobry uniwersytet, gdy jest się dzieckiem absolwenta takiej uczelni. „Elity profesjonalne nauczyły się przekazywać przywileje dzieciom” – pisze Sandel. Nad Wisłą śpiewa o tym Mata.

Na Manhattanie jedna godzina korepetycji przygotowujących do egzaminów kosztuje około 1000 dolarów. To skuteczniejsza bariera niż jakikolwiek numerus clausus. Skutkiem tego „z osób urodzonych w dolnych 20 procentach skali dochodowej tylko jednej na 20 osób uda się awansować do górnych 20 procent o najwyższych dochodach. Większość nie osiągnie nawet poziomu klasy średniej”.

O ile w latach 60. jedna czwarta członków Kongresu i Senatu USA nie miała studiów, to teraz odsetek ten jest bliski zera. W Wielkiej Brytanii niemal 90 proc. parlamentarzystów ma dyplom uniwersytecki, z czego jedna czwarta dyplomy Oksfordu albo Cambridge. Tymczasem tylko 1 proc. Brytyjczyków studiuje na tych dwóch uczelniach, a niecałe 10 proc. ma wyższe studia. Parlament przestał odzwierciedlać obraz społeczeństwa. Najbardziej zaskakuje przemiana Partii Pracy. W latach 1979-2017 prawie trzykrotnie zmalała liczba parlamentarzystów bez studiów. Labour Party przestała „stanowić reprezentację klasy pracującej, o której interesy tradycyjnie powinna dbać”.

Podobne statystyki dotyczą Bundestagu. To „powrót do zwyczajów z czasów poprzedzających przyznanie prawa głosu wszystkim obywatelom – zauważa Sandel. – Dominacja osób z najwyższymi kwalifikacjami w dzisiejszych parlamentach europejskich przypomina sytuację z końca XIX w.”.

Uniwersytety i parlamenty są dziś bardziej zróżnicowane pod względem płciowym i rasowym, ale nie pod względem możliwości.

Gdyby tylko skończyło się na zatrzaśnięciu drzwi przed niższymi klasami. Ale przeprowadzone w USA badania wykazały, „po-gardliwym stosunek ludzi z wyższym wykształceniem do osób słabo wykształconych”. Ludzie wykształceni nie są „bardziej oświeceni moralnie”, są tak samo uprzedzeni, jak osoby mniej wykształcone. Potępiają rasizm i seksizm, ale negatywny stosunek do osób gorzej wykształconych nie budzi ich sprzeciwu.

Zapytajmy siebie: ile empatii budzi w nas muzułmański uchodźca, a ile niewykształcony chłopak z sąsiedztwa w koszulce „żołnierzy wykłębnych”? Czy interesuje nas, dlaczego nie szło mu w życie, czy ujrzymy w nim teraz tylko naziola i homofoba?

Hillary Clinton, która wygrała zdecydowanie wśród wyborców z wyższym wykształceniem, twierdziła z dumą: „Wygrałam na terenach, które generują dwie trzecie amerykańskiego PKB” oraz „wygrałam w miejscach, gdzie dominuje optymizm, dynamizm i parcie naprzód”. Sandel podsumowuje: „Partia Demokratyczna reprezentowała kiedyś farmerów oraz robotników w walce z ludźmi uprzywilejowanymi. Teraz pokonana liderka tejże formacji chwali się, że głosowali na nią zamożni, wykształceni obywatele”.

Problem w tym, że formalna wiedza niekoniecznie przynosi owoce w postaci mądrej polityki. John F. Kennedy zebrał doradców po Ivy League, którzy uwikłali go w wojnę w Wietnamie, Obama zebrał podobny zespół ekspertów, którzy „zasugerowali podjęcie działań zgodnych z oczekiwaniami Wall Street, a w rezultacie uratowali banki z publicznych pieniędzy, nie egzekwując od nich żadnej odpowiedzialności za doprowadzenie do kryzysu”.

Liberalni politycy często posługują się argumentem, że ich propozycje są po prostu mądre i słuszne. Jeśli ich są mądre, to znaczy, że innych są głupie. I to zamyka właściwie dyskusję. Wyborcy jednak szermowanie danymi i opiniami ekspertów przyjmują jako poniżanie ich. Sandel cytuje zwolennika brexitu „ludzie w tym kraju mają już dość ekspertów”.

Podobnie rzecz ma się w kwestii klimatu. Wielu ludzi sprzeciwia się działaniom państwa na rzecz ograniczenia emisji tlenków węgla nie dlatego, że nie wierzą naukowcom, ale dlatego, że „nie mają zaufania

do rządu, że ten będzie działał w ich interesie”. Jeśli w czasie kryzysu 2008 ratowano banksterów za pieniądze podatników, to jakie są gwarancje, że kryzys klimatyczny nie posłuży do podobnych akcji?

Można się obrażać na taki tok rozumowania, ale on wpływa na wyniki wyborów. Tak jak różne fobie i stereotypy kierujące zachowaniami społecznymi. Weźmy lęki związane ze szpiegonkami przeciw COVID-owi. Były irracjonalne, ale wpływały na rzeczywistość. Psycholog i noblista z ekonomii Daniel Kahneman twierdzi, że politycy „nie powinni ignorować powszechnych lęków, nawet jeśli są one nieuzasadnione. Lęk – czy to racjonalny, czy nieracjonalny – jest bolesnym i upośledzającym doznaniem, zatem decydenci powinni starać się chronić społeczeństwo nie tylko przed realnymi zagrożeniami, ale także przed lękiem jako takim”.

Oczywiście politycy populistyczni żywią się lękami i je podsycają, lecz politycy liberalni mają tendencję do ośmieszania ludzi myślących irracjonalnie i traktowania ich z góry.

Hillary o wyborcach Trumpa mówiła, że są „godni ubolewania”, Obama wyśmiewał ludzi „kurczowo trzymających się broni i religii”. I gdy Bronisław Geremek po porażce Tadeusza Mazowieckiego w 1990 r. powiedział, że społeczeństwo nie dorosło do demokracji, i gdy trzy dekady później Rafał Trzaskowski podzielił się pretensjonalnym wspomnieniem o profesorze Geremku – by-

Na Manhattanie jedna godzina korepetycji do egzaminów kosztuje około 1000 dolarów

ły to kolejne zwrotki tej samej piosenki: „My, elita – czyli mądrzejszy i lepsi”.

Sandel pisze: „Społeczne rozżalenie nie ma wyłącznie charakteru ekonomicznego, ale również podłoże moralne i kulturowe. Tu nie chodzi wyłącznie o zarobki i miejsca pracy, ale także o społeczne poczucie własnej wartości”.

Co ciekawe, Sandel uważa, że początkowo ludzie gorzej wykształceni i biedniejsi godzili się na przypisanie im miejsce – tyle że natychmiast liberalne elity zaczęły ich oskarżać, że są uprzywilejowani, bo np. są biali, więc teraz muszą ustąpić słabszym, czyli ogólnie rozumianym mniejszościom.

W Polsce to się nazywało: dystrybucja prestiżu. Nasza prawica ciągle narzekala, że tylko jedno środowisko, oślawiony „salon krakowsko-warszawski”, rości sobie pretensje do określania tego, kto jest mądry, dobry i godny szacunku. To była bzdura, ale wpis Trzaskowskiego i jemu podobne dawały paliwo do tego typu argumentacji. Bo „merytokratyczna pycha powoduje u zwycięzców skłonność do zachłystywania się własnym sukcesem”, a „dla osób patrzących z dołu pycha elit jest skrajnie frustrująca”.

Przekonał się o tym Bronisław Komorowski, który beztrudno udzielał porady, by ci, którzy nie radzą sobie finansowo, po prostu zmienili pracę, wzięli kredy i kupili sobie mieszkanie. Ostatecznie to on musiał szukać nowego zajęcia i mieszkania.

Upadek komunizmu sprawił, że wiara w wolny rynek osiągnęła apogeum. „Wkroczenie rynku w sferę zdrowia, edukacji, bezpieczeństwa publicznego i narodowego, systemu sprawiedliwości, ochrony środowiska, rekreacji, prokreacji i innych dóbr wspólnych było nie do pomyślenia jeszcze trzydzieści lat temu. A dziś traktujemy je jak oczywistość” – pisał filozof już dziesięć lat temu. Zdeklarowany liberal powie, że wolny rynek stwarza wolność wyboru, Sandel przekonuje, że dla „osób

o ograniczonych możliwościach wyboru wolny rynek wcale nie jest domeną wolności”.

Harwardzki filozof roztrząsa przypadki służby wojskowej oraz problem surogatek, czyli outsourcing ciąży. Niski przyrost naturalny w Polsce i wojna w Ukrainie czynią tego rozważania aktualnymi nad Wisłą.

Sandel pyta, co jest lepsze – powszechna służba wojskowa, armia zawodowa czy armia prywatna. A przy okazji – czym są wolności i obowiązki obywatela.

W Ameryce, odkąd armia stała się zawodowa, dzieci z dobrych domów rzadko wkładają mundur. Mają inne możliwości realizacji, w armii zaś przeważnie służą ubodzy ludzie skuszeni głównie zarobkami, a nie miłością do kraju. Może mieć to praktyczne skutki. Dzieci senatorów i kongresmenów nie idą na wojnę, więc łatwiej jest wysłać żołnierzy do Iraku i w inne rejony. Gdy Amerykanom brakło ochotników, nie zdecydowali się, jak Francuzi, powołać Legii Cudzoziemskiej, ale uchylili furtkę dla emigrantów mających jedynie wizy tymczasowe. Kuszone ich zarobkami i zwiększeniem szans na obywatelstwo.

Jeszcze dalej poszły prywatne firmy wojskowe. Prezes jednej z nich deklarował, że w kwestii bezpieczeństwa narodowego chciał osiągnąć to samo, co Federal Express w usługach pocztowych. W Iraku zginęło ponad 1,2 tys. pracowników-żołnierzy takich firm, ale nie zostali uwzględnieni w wykazie ofiar Ameryki, ich trumien nie owinię-

to też gwieździstym sztandarem. Czy więc ginąc, naprawdę spełniali obowiązek obro-ny ojczyzny?

Podobne dylematy rodzi problem płatnych cięż. Idea szczytna, ale czy wolny rynek nie wypaczył jej, czyniąc z matki i dziecka towar? Indie zalegalizowały komercyjne macierzyństwo już dwie dekady temu, by przyciągnąć zachodnich klientów. Sandel pisze, że „podobnie jak w przypadku innych produktów i usług w gospodarce globalnej, płatna cięża podlega obecnie outsourcingowi do tanich usługodawców”. Czy ubogie kobiety decydujące się urodzić dzieci dla innych są w pełni wolne w swych decyzjach? Sandel pisze o Hindusce, która będąc w poprzednich ciężach, nigdy nie była u lekarza, a teraz, nosząc w brzuchu dziecko dla pary z Wielkiej Brytanii, deklaruje, że jest ostrożniejsza niż w przypadku własnych dzieci.

Zarówno biedni chłopcy z emigranckich rodzin decydujący się walczyć za Amerykę, jak i ubogie kobiety decydujące się rodzić bogatym ludziom dzieci nie są wolni w swych wyborach. Kieruje nimi chęć poprawy swego losu. Sandel: „To, co zwykle rozumiemy pod pojęciem wolności rynkowej albo wolności konsumenckiej, nie jest według Kanta prawdziwą wolnością, ponieważ polega tylko na zaspokajaniu pragnień, których sami nie wybraliśmy”.

Trump został wybrany, ponieważ odwołał się do lęków, frustracji i uzasadnionych żalów, na które główne partie nie miały dobrej odpowiedzi – czytamy u Sandela. – Cztery dekady prorynkowej globalizacji pozbawiły debatę publiczną głębi, dały szeregowym obywatelom poczucie bezsilności i zachęciły do działania populistów, którzy starają się przykryć nagość dyskursu publicznego nietolerancyjnym i mściwym nacjonalizmem”.

Gdzie szukać odpowiedzi? Oczywiście nie chodzi o to, żeby psy wieszać na reformatorach z lat 90. albo żeby dzieci z do-

brych domów nagle miały zrezygnować z wszelkiego wsparcia, a ludzie, którzy odnieśli sukces, codziennie przeprasza- li, że mają pieniądze.

Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że jakkolwiek ciężko ktoś się uczył i pracował – to jednak często miał łatwiej niż inni. Korepetycje są, owszem, męczące, ale ktoś na nie zawozi i ktoś za nie płaci. Tak jak za lekcje tenisa i za obóz językowy.

Sukcesów nie zawdzięczamy sobie, i to trzeba umieć przyznać.

Druga rzecz, którą proponuje Sandel, to przywrócenie pracy godności. Dziś ludzie definiuje się jako konsumentów, a nie producentów. Produkuje się w Azji, a my dokładamy się do PKB, tylko jeśli kupujemy. „Aby przywrócić pracy godność, trzeba zastanowić się nad moralnymi fundamentami naszego systemu gospodarczego”.

Tu mógłby spotkać się z ks. Józefem Tischnerem. Autor „Etyki solidarności” opisywał, co prawda, absurdy komunizmu, ale jeśli idzie o moralny aspekt pracy, rzeczy widział podobnie. Dla Tischnera praca była walką człowieka z twórczym, a więc produkcją. Pisał: „Dzięki wartości życia, której służy praca, praca uzyskuje wartość i godność”.

Przed wszystkim jednak praca to forma rozmowy człowieka z człowiekiem. Jeśli w świat pracy wkłada się oszustwo i kłamstwo, to praca staje się „jak belkot mowy”. Wyzysk nazywał Tischner kłamstwem. Takim samym kłamstwem jest dziś absurdalne rozwarstwienie dochodów.

Ktoś powie, że rynek finansowy, choć nie produkuje, to jednak pomnaża zasoby społeczeństwa. Jednak, odpowie Sandel, w Wielkiej Brytanii „zaledwie 15 procent środków finansowych przeznaczonych jest na nowe przedsięwzięcia o charakterze produktywnym”. Reszta to renta – czyli bezproduktywne korzyści dla samych siebie. Ludzie z rynków finansowych zresztą i tu są uprzywilejowani. Warren Buffett zauważył, że on jako miliarder ma niższą stawkę podatkową niż jego sekretarka.

Sandel jest zdania, że dzisiejszy polityczny chaos stanowi efekt porażki liberalnych piewców globalizacji. Może przesadza, może nie. Inflacja pędzi, młodzi ludzie żegnają się z marzeniem o własnym mieszkaniu, uchodźcy z Ukrainy gotowi są na wiele, by zyskać szansę na zarobek i pobyt w Europie – kierują się więc pragnieniami, których sami nie wybrali.

Nadchodzi wielki test dla wolnego rynku i społeczeństwa. Może więc warto, by Donald Tusk, Szymon Holownia i Rafał Trzaskowski sięgnęli po książki Sandela. ●

Korzystałem z wydanych przez PWN i Kurhaus książek Michaela J. Sandela „Czego nie można kupić za pieniądze? Moralne granice rynku”, „Sprawiedliwość. Jak postępować słusznie?” i „Tyrania merytokracji. Co się stało z dobrem wspólnym?”



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Brzeziecki

• historyk i dziennikarz, autor książek „Czer-niawski. Polak, który oszukał Hitlera” oraz – wspólnie z Małgorzatą Nocur – „Białoruś – kartofle i dzinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Łukaszenka. Niesdoszły car Rosji”. Właśnie wydał biografię zapomnianego asa polskiego wywiadu „Wielka gra majora Żychonia”

Z **MARCINEM GUTOWSKIM***, AUTOREM KSIĄŻKI „BIEŁMO”, ROZMAWIA **MAŁGORZATA SKOWROŃSKA**

Plakaleś?

– Po papieżu? Plakałem. To nie jest dla mnie obciach. I wcale nie skaczę z radości, że znalazłem kolejną rysę na jego życiorysie. Przeszedłem różne etapy, odkąd zacząłem zajmować się nadużyciami seksualnymi, jakich dopuszczali się duchowni wobec dzieci. Najpierw był szok, zaskoczenie. Potem wahał się poruszać się pomiędzy wściekłością, rozczarowaniem a obojętnością. Teraz jest we mnie coś, co chyba mogę nazwać współczuciem dla nas, tych, którzy po nim płakali, i dla niego, bo wtłoczono go na taki piedestał, z którego spada się długo, głośno i boleśnie.

Im większą ufność w kimś pokładamy, tym większe przeżywamy rozczarowanie, gdy zawodzi. Ciągłe widzę u tych, którzy byli blisko Wojtyły, ten sam mechanizm obronny: otoczenie ukrywało pedofilskie historie, źli ludzie go otaczali...

– Gdy ma się bezpośredni kontakt z czymś tak strasznym jak wykorzystywanie dzieci, to zło pochłania. Nie usprawiedliwiam papieża. Widzę jednak, jak praca nad tym wpływa na mnie. Na początku masz poczucie, że wchodzisz w ciemną przestrzeń, w której zapalisz światło. Potem ta ciemność zaczyna cię coraz bardziej wsysać, przyniatając cię do ziemi. Używając języka Jana Pawła II, to jest tajemnica zła. Wojtyła, jak każdy człowiek, w jakimś stopniu jej uległ.

Jesteś w stanie pogodzić instytucjonalne krycie zła z poczuciem, że obcowaliśmy z kimś wyjątkowym i wielkim?

– Emocjonalnie nie potrafię, ale czuję obowiązek próby zrozumienia. Jesteśmy na początku tej drogi. Jeszcze wielu świadków nie przemówiło. Inni dopiero zaczynają. Jak Anna Karoń-Ostrowska czy prof. Karol Tarnowski. Oboje przyjaźnili się z papieżem, wymieniali z nim listy, jeździli na prywatne spotkania. Teraz zadają sobie pytanie, czy Wojtyła nie miał kilku twarzy. Dla nich twarz nauczyciela, przyjaciela. Dla innych twarz monarchy, który ma swoje priorytety.

Są też tacy przyjaciele Jana Pawła II jak Wanda Półtawska, która nie pozwala pytać o pontyfikat, albo kard. Dziwisz, który ustawił się na pozycji kustosa pamięci.

– Informacje o skandalach pedofilskich docierały do Watykanu. Nie tylko do Jana Pawła II, ale też do poprzedników: Jana XXIII, Pawła VI. To był rozbudowany system chroniący instytucję. Wojtyła i Dziwisz nie robili nic innego. Wpisali się. Po dwóch latach od reportażu „Don Stanisław” jestem jednak przekonany, że Dziwisz nie chroni siebie, jak myślałem. On broni papieża. I nawet jeśli przez ostatnie lata pontyfikatu Dziwisz czy Sodano stali się rządzącymi Watykanem, to wcale nie znaczy, że załatwiali coś poza wzrokiem Jana Pawła II. Nie wydaje mi się, żeby oddany i lojalny sekretarz, a Dziwisz był sekretarzem doskonałym, mógł robić coś wbrew woli mocodawcy.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że papież nie wiedział o kardynałach McCarricku czy Groërze, o założycielu Legionistów Chrystusa Marcialu Macielu Degollado, nie chronił ich. Bo – dowodzą – gdyby wiedział, zareagowałby.

– Relacja Jana Pawła II i jego sekretarza była wyjątkowa. Rozmawiałem z Renato Boccardo, arcybiskupem Spoleto-Norcja, który spędził kilkanaście lat w otoczeniu papieża, a na krótko przed śmiercią Wojtyły był sekretarzem Gubernatoratu Państwa Watykańskiego, urzędu zarządzającego państwem kościelnym. Powiedział mi, że postawa Dziwisza przypomina postawę kobiet, które tracą mężów i w żalobie nawet nie chcą wspominać tego, co było złe czy trudne. Natychmiast z szerokim uśmiechem dodał, że on niczego nie chce sugerować.

Jednak robenie z Dziwisza „czarnego luda” to zbyt proste wyjaśnienie. „Czarnym lu-

NADAL PŁACZĘ PO PAPIEŻU

Nieprawdą jest, że pontyfikat Jana Pawła II to wyłącznie krycie pedofilii i seksualnych drapieżców



FOT. SEAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na początku masz poczucie, że wchodzisz w ciemną przestrzeń, w której zapalisz światło. Potem ta ciemność zaczyna cię coraz bardziej wsysać. Używając języka papieża, to jest tajemnica zła. On, jak każdy człowiek, w jakimś stopniu jej uległ

dem” jest system, którego Dziwisz, Sodano, a przede wszystkim Wojtyła byli częścią. I tu dochodzimy do pytania, na które nie znajduję odpowiedzi. Jan Paweł II, ktoś tak inteligentny, ale też władczy, na tyle, żeby przejechać walcem aparatu kościelnego nieposłusznego teologa w Gwatemali czy Salwadorze, nie potrafił zareagować na płynące bezpośrednio do jego apartamentu doniesienia dotyczące ludzi, których znał osobiście.

Kilka razy Jan Paweł II mówił o pedofilii, ale ani razu nie spotkał się z ofiarą nadużyć seksualnych już po procesie. Dlaczego zabrakło mu wrażliwości?

– Po ludzku nie daję rady wyobrazić sobie, że ktoś, kto był przecież dobrym człowiekiem, dla obrony systemu był w stanie zlekceważyć ofiary księży pedofilów. Mamy jednak obowiązek pytać o mechanizmy, jakie do tej sytuacji doprowadziły.

Ile razy zgniliznę moralną można tłumaczyć systemem? Kiedyś trzeba dorosnąć i przestać zrzucać odpowiedzialność na innych.

– Tylko czy duchowni są przygotowywani do dorosłości? Kształtuje ich zamknięty krąg seminaryjny, wdrukowuje się im, jak ważna jest ochrona Kościoła, pod pozorem zgrzeszenia wiernych nie można złego słowa powiedzieć o duchownych. Młodzi mężczyźni nie są przygotowywani na zderzenie z życiem. A potem po latach w systemie, który zapewnia cieplarniane warunki, dostają parafie czy diecezje do zarządzania, a razem z nimi ogromne sumy pieniędzy.

Wojtyła wszedł w buty, do których przez lata był przygotowywany. I działał tak, jak system go nauczył. Co zrobił, gdy wybuchła afera Paetza? To znaczy wybuchła w Polsce, bo w Watykanie doskonale wiedzano o jego skłonnościach. Właśnie dlatego wyładował w Łomży na początku lat 80. Jan Paweł II, gdy już opinia publiczna huczy, wysłał do Poznania komisję, która ma sprawić wrażenie, że Stolica Apostolska trzyma rękę na pulsie. Ten sam mechanizm widzi przy komisji, która ma zbadać, czy Dziwisz dopuścił się zaniedbań, nie informując papieża o duchownych pedofilach. Do Krakowa przyjeżdża kard. Bagnasco, który jest nie tylko kolegą Dziwisza, ale też na nim samym ciążył zarzuty ukrywania nadużyć seksualnych duchownych. W efekcie komisja stwierdza po zbadaniu „niektórych przypadków”, że żadnych przekroczeń nie było.

Ktoś w końcu rozwali ten system.

– Jeśli ktoś kiedyś zburzy te mury, to kobiety. Zakonnice i świeckie, które pełnią służebne role. One częściej wykazywały wobec mnie odwagę niż księża, którzy mają w Kościele uprzywilejowaną pozycję, a tym samym więcej do stracenia.

Kościelni prawnicy zawsze odpowiadają: to słowo przeciwko słowu. I pozamiatane, w najlepszym razie uda się wynegocjować umowę, jak w przypadku biskupa Jana Szukononia, któremu ze względów formalnych nie dowiedziono molestowania nieletniej, ale archidiecezja zapłaciła ofierze 300 tys. zł.

– Opowiem historię ofiary kard. McCarricka, z którą spotkałem się w narodowym centrum Jana Pawła II w Waszyngtonie. Swoją drogą, to bankrutujące sanktuarium wykupili Rycerze Kolumba, kościelna organizacja, która prowadzi w USA trzecie co do wielkości towarzystwo ubezpieczeniowe, i postawili na nogi. Jeśli w sanktuarium JP II w Krakowie jest w ołtarzu ampulka z krwią papieża, to w Waszyngtonie Rycerze Kolumba mogli sobie pozwolić na ogromną ampulę, którą przywiózł im Dziwisz. W takim miejscu spotkałem się z Jamesem Greinem, wieloletnią ofiarą McCarricka. Usiedliśmy pod pomnikiem papieża. Grein w drugiej połowie lat 80. spotkał się z Janem Pawłem II. Jak twierdzi, powiedział papieżowi o tym,

co go spotkało. Jak zareagował Wojtyła? Podobnie jak w innych tego typu przypadkach, gdy sygnaliści zdawali mu relację z konkretnych przypadków pedofilii: słuchał, kiwał głową, obiecał modlitwę.

Historię Greina można by potraktować jako słowo przeciwko słowu, ale są ważne poszlaki. O tym spotkaniu czytamy w raporcie ws. McCarricka, który zlecił Franciszek. W przypisie zaznaczono, że autorem dokumentu nie udało się potwierdzić, czy do tego spotkania doszło. Watykan pozostawia nas z domysłami. A mnie trudno uwierzyć, że by wpuszczono kogokolwiek do Pałacu Apostolskiego bez odnotowania tego. Zdarzało mi się tam wchodzić i wiem, jak to wygląda. Naprawdę nie można tego zweryfikować? Przecież wiadomo, jak skrupulatnie kard. Dziwisz prowadził papieski kalendarz i że ten kalendarz zachował. Pytaliśmy zresztą o to kardynała na piśmie. Nie odpowiedział.

Podobnie twarzą w twarz o skandalach w Stanach miał w 1995 roku informować papieża były kleryk Wiesław Walawender. Spotkanie z daleka nagrała kamera CNN. Dotarliśmy do tego wideo. Nie słysząc, o czym rozmawiają, ale papież kiwa głową, błogosławi. Zgadza się data, miejsce i okoliczności rozmowy podane przez Walawendera. Jan Paweł II zareagował zresztą wtedy tak samo jak w przypadku Greina i innych, także papieskich przyjaciół, którzy opowiadali mu o skandalach. Za dużo podobnych relacji.

W Polsce wciąż jeszcze mamy problem, żeby obciążać papieża.

– W USA czy nawet we Włoszech już tego problemu nie ma. Tam nawet duchowni widzą jego wielkość, ale też zaniedbania. U nas wciąż obowiązuje wzorzec pomnika ze złotej bryły. To nie służy papieżowi. Im szybciej ten nieprawdziwy pomnik skruszeje, tym więcej ocalimy z wielkości tego człowieka. Nieprawdą jest, że pontyfikat Jana Pawła II to wyłącznie krycie pedofilii i seksualnych drapieżców. To wciąż mnóstwo dobrego, nie tylko historycznie. Wiele jako Polacy mu zawdzięczamy i to od nas zależy, w jaki sposób tę wielkość ocalimy. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Marcin Gutowski

● ur. w 1983 r. Dziennikarz, reportażysta, autor książek, m.in. „Święta ziemia. Opowieści z Izraela i Palestyny”, „Don Stanisław. Druga twarz kardynała Dziwisza”. Reporter magazynu „Czarno na białym” w TVN 24

Czego o pedofilii w Kościele Jan Paweł II nie mógł, a czego nie chciał wiedzieć? „Bielmo”, książka Marcina Gutowskiego, powstało na podstawie materiałów zebranych do cyklu reportaży w TVN 24

Wbrew pozorom ani antykościelna, ani antyreligijna – „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” Artura Nowaka i Stanisława Obirka to historia Kościoła żywiącego się poczuciem winy wiernych, zaleknionego wizją, w której oni decydowali o jego kształcie

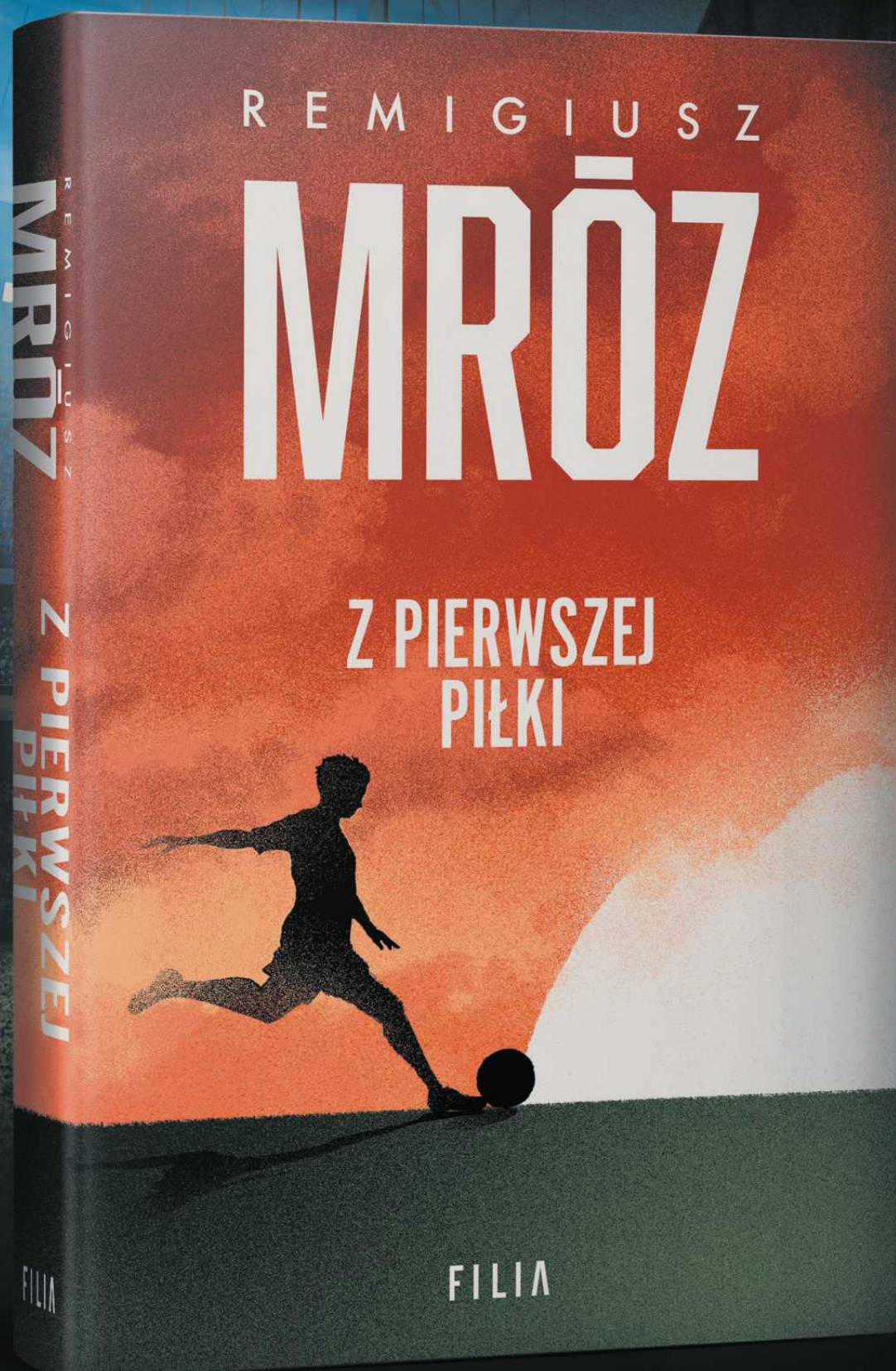


Obie książki dostępne na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

FILIA

NOWA POWIEŚĆ
REMIGIUSZA MROZA

JESTEŚMY JEDNOŚCIĄ,
W KTÓREJ TKWI SIŁA



Dla Polaków informacja, że w naszym morzu żyje coś poza śledziami, była równie szokująca jak egzotyczna. Dla mnie też.

Adam Wajrak

Miarowy warkot zaburtowego silnika ustał nagle i niespodziewanie. Ponton zwolnił i po paru sekundach się zatrzymał. Odwróciłem się do Ivara. Siedział na rufie, przy silniku.
– Dobrze pływasz? – zapytał.
Szare niebo zlewało się ze stalową wodą, a morze nie przypominało w niczym morza. Było gładkie jak lustro. Popatrzyłem zdziwiony. Pogięło cię, Ivar?! Chcesz, żebym w tym wszystkim, co mam na sobie, wskoczył do wody? W kaloszach? Było chłodno jak cholera – jak to wczesną wiosną na morzu. Miałem na sobie flanelową koszulę, gruby wełniany sweter, amerykańską wojskową parkę z watowaną podpinką, kupioną na wielkim targowisku, które chwilę wcześniej wyrosło pod Pałacem Kultury w centrum Warszawy. Na kurtkę narzuciłem szykowny sztormiak. Do stałem go od Ivara. Bardzo mi przypadł do gustu: zielony, zrobiony z pancernej gumy, grubo klejonej na szwach. Co z tego, że trochę sztywny i niewygodny, ale miał sznyt. Sznyt radzieckich matrosów, rybaków i polarników. Ludzi niezłomnych. W takich sztormiakach pływali na Daleką Północ zdobywcy lodowych oceanów z imperium, które trzy lata wcześniej rozpadło się na kawałki.

Z początku płynęliśmy blisko brzegu. Brzegu Saremy, największej estońskiej wyspy, piaszczystego, porośniętego wydmowymi trawami, których nazwy wiele mówiły o warunkach, w jakich rosną. Gdzieś dalej widać było niewysokie sosny – bo co wysokiego może wyrosnąć na piasku smagany wiatrami? Na brzegu było coś jeszcze. Wieże obserwacyjne. Metalowe, trochę pordzewiałe, smukłe u podstawy, zakończone budką. Mijaliśmy jedną po drugiej. Wybijały się ponad zieloną linię lasu na tle czystego nieba, które co chwila przecinały rozgadane klucze dzikich gęsi.

Wieże były dla mnie czymś oczywistym. Dla Ivara jeszcze bardziej. Służyły do tego samego co te w obozach koncentracyjnych. Wypatrywano z nich uciekinierów i strzelano do nich. Stały na granicach okalających cały obóz, w środku którego tkwiła Polska. Od Kamczatki po Łabę. Były na granicy ZSRR z Chinami, Bułgarią z Turcją, Czechosłowacji i Węgier z Austrią, Niemiec jednych i drugich. Były też tutaj, bo przecież z północnych wybrzeży Saremy można było uciec do Finlandii albo Szwecji. Stanowiły część systemu, który trzymał setki milionów ludzi na miejscu. Ten system tu, na wybrzeżach Estonii, nie ograniczał się tylko do wież. W cieśninach między wyspami stały statki najeżone działkami. Z nich także wypatrywano uciekinierów.

Widziałem takie same wieże na granicy dzielącej Niemcy na te wschodnie, komunistyczne, i zachodnie, demokratyczne. Stali na nich strażnicy o zimnych twarzach, wyglądający jak skrzyżowanie gestapowca z enkawudzią. W Estonii było inaczej. Tu nie pachniało potem zestresowanych ludzi, spalinami ani marną benzyną. Tu pachniało morską bryzą i wolnością.

Choć wszyscy byli pewni, że imperium, które zabraniało wypływania na pełne morze, które postawiło wieże, które wysłało do cieśnin statki i które zrobiło mój sztormiak, będzie trwać, ono rozpadło się

FOKA ZNACZY WOLNOŚĆ



• Świat stoi otworem, przyszłość jest jasna – początek lat 90., Wyspa Niedźwiedzia, druga wyprawa polarna Adama Wajraka FOT. ADAM WAJRAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

na kawałki. Ci, co mieli wypatrywać uciekinierów i strzelać do nich, zeszedli z wież i wrócili w rodzinne strony. Statki rdzewiały w dalekich portach, a ja miałem sztywne gumowe ubranie.

Woda była gęsta, jakby ktoś stopił olów. Milczeliśmy. Ivar był skupiony na sterowaniu. Ja gapiłem się na szarą wodę z jedną myślą: zaraz zobaczę fokę i wszystko się zmieni. Tylko nie wiedziałem, co zobaczę i czego mam wypatrywać. Nie miałem pojęcia, jak wygląda taka fokka na wolności. Czy zobaczę kawał cielska, czy tylko czubek nosa? A może machnie mi płetwą? Foki widziałem jako dziecko w warszawskim ogrodzie zoologicznym. Ale przecież betonowego wybiegu z basenem, zielonej od glonów, nie da się porównać z morzem.

Jedno wiedziałem na pewno, a przenikające mnie zimno było tego dowodem. Byłem na prawdziwej wyprawie polarnej. Co z tego, że na Bałtyku? Jak będą foki, będzie to wyprawa polarna na dwieście procent.

Wtedy foki kojarzyły mi się tylko z tym. Były we wszystkich polarnych książkach, którymi się zaczytywałem. Co prawda moi bohaterowie na nie polowali i je jedli, a ja chciałem je tylko zobaczyć.

Tymczasem płynęliśmy i płynęliśmy, a fok nie było. Lecz pomimo tego zimna i braku życia świat był piękny! Przynajmniej my tak go widzieliśmy. Był inny niż ten, w którym się urodziliśmy i dorastaliśmy. Oto nadeszły pełne nadziei lata 90. Czasy, gdy szarość zniknęła, w sklepach i na ulicach zrobiło się kolorowo, a i w muzyce o coś chodziło. Nasze kraje były wolne, my byliśmy wolni. Mogliśmy sobie płynąć wzdłuż brzegów Saremy i nikomu nic do tego. Mogliśmy się gapić przed siebie, gapić się na morze albo w bok na klucze gęsi. Wolność rozlewała się po świecie. W Południowej Afryce upadł apartheid. Nelson Mandela, dobry i skromny człowiek, który spędził blisko 30 lat w więzieniu, został prezydentem. Odwieczni wrogowie – premier Izraela Icchak Rabin i przewodniczący Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jaser Arafat – podali sobie w Oslo ręce. Ten sielski obraz burzyły rzeź w Rwandzie, która zaczęła się właśnie wiosną 1994, albo masakra w Srebrenicy rok później, ale wydawało się, że to tylko przerażające incydenty, z których świat wyciągnie wnioski. Najważniejsze było to, że nie grozi nam wojna, za sprawą której w kilka godzin życie na planecie zostałoby spalone na popiół.

Oczywiście, że świat miał masę problemów. Zatrute rzeki, morza i jeziora, wymierające gatunki, kwaśne deszcze, dziura ozonowa i toksyczne odpady na składowiskach. Zmiany klimatu zwane wtedy efektem cieplarnianym. Ale wydawało nam się, że my, ludzie, dzięki naszej mądrości umiemy sobie z tym poradzić. Bo skoro światu nie grozi już nuklearna zagłada, reszta to bułka z masłem, proszę państwa – tak kombinowaliśmy.

Tymczasem pruliśmy powoli naszą łódką, a na mojej szyi wisiała najważniejsza oznaka tego, kim jestem. Ukochany aparat. Legendarny Nikon FM2. Całkowicie mechaniczny. Sprzęt marzenia. Moja relikwia. Aparat kupił mi Jacek Kuroń za to, że pomogłem mu w jakiejś kampanii wyborczej – jednej z wielu w Polsce na początku lat 90. Zastąpił mi radzieckiego zenita, który też był świetny, ale zostawił na negatywie rysę. Wszystkie zdjęcia wyglądały, jakby ktoś po nich przejechał gwoździem w jednej trzeciej wysokości. Nikon od Jacka tak nie robił. Był z innego świata. Twardy i niezniszczalny jak zenit, ale maksymalnie precyzyjny i delikatny. Przymocowałem do niego radziecki teleobiektyw, który choć tani, miał świetne parametry i pasował do nikonów. Jego radzieckość mi nie przeszkadzała, podobnie jak radzieckość sztormiaka. Poza tym nawet miał całkiem nowoczesny wygląd.

Ja i nikon byliśmy nierozłączną parą. Fotografowałem nim skinów jadących do Szczecina, żeby się tam drzeć, że on „zawsze Polski”, narkomanów wstrzykujących sobie w żyły kompot, czyli wywar z maku zwany polską kokainą, demonstracje i żebrzące rumuńskie dzieci, które pojawiły się w Warszawie zaraz po rozstrzelaniu Ceaușescu. Wiedziałem już, że robota dziennikarza mnie rajcuje, ale wiedziałem też, że gdy będę dziennikarzem piszącym o zwierzętach, będzie mnie rajcować jeszcze bardziej. I teraz właśnie ruszałem na pierwszą ekspedycję.

Gdybym wypadł za burtę, to za nic bym się aparatu nie pozbył. Trzymałbym go w wyciągniętej do góry ręce, żeby jak najdłużej był nad wodą. I poszedłbym na dno jak kamień. Więc czego ten Ivar chce?

– Pływam raczej słabo – odpowiedziałem.

– A ja świetnie, ale w wodzie o tej temperaturze to nie ma żadnego znaczenia. – Ivar uśmiechnął się i pociągnął za linkę rozrusznika.

W latach 90. kwiecień należał do chłodnych miesięcy, mówiło się „kwiecień plecień, bo przeplata trochę zimy, trochę lata”. A na dodatek byliśmy w Estonii. Lodu na morzu już nie było, ale nie dlatego, że się cały stopił. Został po części wypchnięty i wyrzucony z morza przez wiosenne sztormy. Gdzieniegdzie na plażach piętrzyły się białe kopce, czasami kilkumetrowej wysokości.

Dziś, po latach na różnych polarnych wyprawach, za żadne skarby nie wszedłbym na łódkę, która ma pływać po tak zimnym morzu, bez specjalnego kombinezonu. Nagły szkwał, jakaś przeszkoda w wodzie, cokolwiek, co spowodowałoby wywrotkę, oznaczałoby naszą śmierć.

Tylko że wtedy miałem to w nosie. Jak się ma 22 lata, to człowiek mało czym się przejmuje. Takie drobnostki nie zaprzątały mi głowy. Oto płynąłem na spotkanie z przygodą.

Teraz można zobaczyć foki na Wyspie Sobieszewskiej, można w cudownym fokarium na Helu, ale w 1994 roku dla większości Polaków informacja o tym, że w naszym morzu żyje coś poza śledziami, była równie szokująca jak egzotyczna. Dla mnie trochę też. Choć samych fok szarych jeszcze w XIX wieku żyło w nim 100 tysięcy, Bałtyk kojarzył mi się z goframi, frytkami i przyrodniczą nudą sprowadzającą się do tego, że można było na plaży zobaczyć mewy chcące ci ukraść te frytki lub gofra.

Po koniec kwietnia wsiałem w Warszawie do pociągu. Miałem w kieszeni 200 dolarów na paliwo do łodzi i żarcie. Polski, trochę zapyziały pociąg odwiózł mnie do granicy z Litwą. Tam trzeba było się przesiąść, bo tory szersze. Pociąg podstawiony przez Bałtów był czysty i nowoczesny. Litwini, Łotysze i Estończycy bardzo się starali pokazać, że już nie są radzieccy. Poczulem się w nim jak na prawdziwym Zachodzie.

Na dworcu w Tallinnie czekało dwóch facetów. Jeden potężny, z zarostem, drugi niewielki, szczupły i gładko ogolony.

– Ivar – powiedział ten wielki, który wyglądał jak prawdziwy wilk morski.

– Himot – oznajmił ten mniejszy i chudy, trochę przypominający urzędnika.

Wsiedliśmy do ich furgonetki i ruszyliśmy przez Tallinn na zachód, w kierunku wysp, Saremy i Hiumy. Minęliśmy szare blokowiska i skręciliśmy w leśną piaszczystą drogę.

– Podróż długa, to trzeba się wysikać – oznajmił ten wielki.

Wysiedliśmy i sikamy. Nie zdążyłem do końca zapiąć spodni, gdy uczucie ulgi zamieniło się w coś bardzo od niej odległego. Temu chudemu Himotowi spod swetra dyskretnie wystawała rękojeść pistoletu. No to, kurwa, koniec przygód – pierwsza myśl przeleciała mi przez głowę, a po niej kolejne: poproszą grzecznie o te 200 dolarów, a później każą wykopać dół, a może kopania dołu nie będzie.

Byłem przerażony, ale nie bardzo zdziwiony. Imperium pozostawiło po sobie całe magazyny broni i sporo ludzi obeznanych z nią. Życie było tam wtedy tanie. Z braku lepszych zajęć zabrali się za bandyterkę na każdym poziomie: od zabójstw na zlecenie, po wymuszanie haraczy od drobnych handlarzy taszczących olbrzymie torby i mających w kieszeni nie więcej niż 20 zielonych. Rekiet, tak to się nazywało, i to słowo było znane każdemu w Polsce. A może tylko forszę zabiorą? Dadzą kopa w tyłek i zostawią w tym lesie? Boże, oby.

W końcu stało się to, co było nieuniknione. Ten chudy przestał sikać. Zapiął zdecydowanym ruchem spodnie i sięgnął po spluwę.

– To makarow, kaliber 9 milimetrów. Świetny radziecki pistolet. Prosty i niezawodny – powiedział, podsuwając mi broń pod oczy. – A ja go mam, bo jestem inspektorem rybackim. Nie martw się, zobaczysz foki – i obaj ryknęli śmiechem.

Jeszcze tego samego dnia w knajpach Saremy, w których migaly landrynkowe światła, a podstarzali Finowie kleili się do młodych Estonek i Rosjanek, piliśmy, jakbyśmy się znali od lat. A następnego dnia płynąłem z Iwarem po gładkim niczym lustro morzu. Himot nie popłynął, bo w czasie naszych nocnych szaleństw zgubił papiery na ten swój pistolet.

Tam – Ivar wskazał czarny punkcik przed nami.

Morze zmieniło się z ołowianoszarego w ciemnografitowoszare i coraz bardziej falowało. To coś pojawiło się jakieś 50 metrów przed dziobem naszej łódki. Ciemny przedmiot wyglądał jak mała,

Zatrute rzeki,
wymierające
gatunki,
kwaśne
deszcze, dziura
ozonowa,
toksyczne
odpady na
składowiskach,
efekt
cieplarniany?

Skoro światu
nie grozi już
nuklearna
zagłada,
reszta to bułka
z masłem

ciemna boja, piłka albo kaczka. Albo głowa nurka, bo punkcik lśnił, jakby miał na sobie skafander. Nagle zrobiło mi się ciepło.

Foka zniknęła na dłużej, po czym nagle wynurzyła się tuż obok. Patrzyła na nas wielkimi oczyskami. Może minęła minuta i naszą łódkę otaczało przynajmniej kilkanaście fok. Oniemiałem. Niektóre wynurzały się metr od łódki. Miały wielkie szkliste, takie trochę zdziwione oczy, wąsy odstające, jakby zrobione z jakiejś grubej plastikowej żyłki, nozdrza, które się otwierały zaraz po wynurzeniu. Słyszałem ich oddech, przypominający melancholijne „aaaach”.

Nie bały się. Człowiek jest dla nich śmiertelnym zagrożeniem, ale w wodzie czuły się pewnie. To było ich środowisko. Tu mogły sobie pozwolić na gapienie się z bliska na dziwne dwunożne istoty. Foki szare na krótkich dystansach, gdy gonią rybę lub uciekają, mogą płynąć 30 kilometrów na godzinę. Mogą się zanurzać na kilkanaście minut, niektórzy twierdzą, że i na 20.

Głównym problemem nurkujących ptaków i ssaków jest gospodarowanie tlenem. Nie chodzi o to, by mieć olbrzymie płuca. Te niczym balony mogą przeszkadzać w nurkowaniu. Chodzi o to, co dzieje się z tlenem rozpuszczonym we krwi. Gdy naukowcy przyjrzeni się fokom, okazało się, że potrafią „gospodarować” natlenianiem organów. Gdy foka szara zaczyna się zanurzać, jej serce bije z szybkością ponad stu uderzeń na minutę, ale już w trakcie nurkowania – tylko około sześciu razy. Krew z tlenem przestaje być pompowana do nerek, układu trawiennego. Większość otrzymuje mózg. Bo mózg to najbardziej tlenożerny organ i bez tlenu natychmiast by obumarł. Ale nawet mózg foki obniża temperaturę, by zużywać jak najmniej cennego tlenu.

Dlaczego się tak na nas gapiły? Wtedy myślałem, że są zdziwione, ale przecież to bez sensu. To nie była Antarktyda, gdzie foki widzą człowieka raz na wiele lat, gdzie praktycznie nigdy na nie nie polowano. Dziś myślę, że tak naprawdę chciały nas przypilnować. Musiały być zawiedzione, gdy Ivar skierował ponton w kierunku czarnej kreski na wodzie stalowego koloru.

Ledwie zrobiłem parę kroków między kamieniami, gdy nagle jeden z głazów spojrzał na mnie wielkimi ślepiami. Foka! Miała jasnoszare futro z ciemnymi cętkami. Zdążyła wyschnąć i wyglądała jak zamszowa zabawka.

– Ivar, foka! – krzyknąłem i wyrwałem w jej kierunku.

Zrobiłbym jeszcze jeden krok, ale Ivar złapał mnie za ramię.

– Chcesz mieć foczy palec?! Palec albo nogę?! – syknął mi do ucha ostrzegawczo.

Dopiero na łódce wyjaśnił mi, o co chodzi. Foczy palec przydarza się głównie tym, którzy na foki polują. Wystarczy, że się skaleczyli przy polowaniu lub oprawianiu i do rany dostało się trochę foczej krwi, a zaczynały się dzieć dziwne rzeczy. Po paru dniach palce albo dłoń bardzo puchły. Do tego swędziały i piekły, a potem zmiany dotyczyły również stawów i były na tyle poważne, że w dawnych czasach kończyło się amputacją. Teraz podaje się antybiotyki, co ratuje kończyny. To, że działają, wskazuje na bakteryjny charakter tej choroby. Foki muszą mieć we krwi jakieś bakterie, które to wywołują. I w ślinie.

– Widziałem takie palce. – Mina Ivara wskazywała na to, że to nic przyjemnego. – W 1989 roku pod koniec zimy zdarzyła się powódź w okolicach Parnawy. Wezbrała rzeka, podniósł się poziom wody, a później wiatr zawiał od morza. Zrobiła się cofka. Do miasta wlała się morska woda, a wraz z nią wjechał morski lód. Na tym lodzie na place, ulice i do parków przybyły młode foki obrączkowane.

Foki obrączkowane to jeden z trzech gatunków fok w Bałtyku. Najpospolitsze są

foki szare, dość rzadkie są foki pospolite. Były jeszcze foki grenlandzkie, ale po nich pozostały tylko szczątki w osadach łowców fok sprzed tysięcy lat. Takich jak ta w Rzucewie w okolicach Pucka.

Obrączkowane są nie tylko najmniejsze, nie tylko mają niezwykle wzory na skórze, ale też są najbardziej polarne. To naprawdę arktyczny zwierzak. Rodzą młode tylko na lodzie. Matka robi jamkę w śnieżnych zaspach, które powstają na zamrożniętej powierzchni albo w zwalach spiętrzonego lodu. Nikt z zewnątrz nie widzi, co dzieje się w środku, bo samica do dziecka dostaje się przez wychuchany w lodzie przerębel. Schówek ma ustrzec bezbronną małą fokę przed polarnymi lisami i białymi niedźwiedziami oraz mewami.

Foki obrączkowane zaczęły kolonizować Bałtyk 10-15 tysięcy lat temu, kiedy to morze zaczęło powstawać. 15 tysięcy lat temu zaczął ustępować gigantyczny lądolód rozpościerający się na terenie całej Skandynawii i sporo poza nią. Powoli na granicy lodowca powstawało coś, co miało się stać morzem. Foki najpierw pojawiły się w zachodniej części, tam, gdzie dziś są duńskie cieśniny. To, co miało się stać Bałtykiem, było raczej olbrzymim lodowcowym jeziorem. Ten twór różnił się od mórz niskim zasoleniem, niższym niż współczesny Bałtyk, który i tak jest mało słony. Im bardziej lodowiec ustępował, tym większe robiło się jezioro. W końcu woda zajmowała o wiele większy obszar niż dziś Bałtyk. Południowa Szwecja była wyspą i prawdopodobnie istniało połączenie z Morzem Białym – tam, gdzie dziś jest Finlandia.

Klimat się ocieplał. Po polarnych niedźwiedziach nie został ślad. Tylko jakieś kości odnalezione w Danii. Po polarnych lisach śladów jest więcej. Ich szczątki odnajdywane są w jaskiniach na południu Polski albo w Krakowie, gdzie ludzie w zamierzchłych czasach szlachtowali mamuty.

A foki obrączkowane zostały. Przetrwały kolejne ocieplenia. Przetrwały polowania. Jeszcze na początku XX wieku żyło ich w Bałtyku około 200 tysięcy.

Młodych fok obrączkowanych, które wpłynęły do Parnawy, było około 30. Piękne, jak to małe foki potrafią być: z białym futerkiem i wielkimi czarnymi oczami. Ludzie chcieli im pomóc. Ale nie za bardzo wiedzieli jak. Niektórzy zabierali je do domu i trzymali w wannach. W mieszkaniach było dla nich za ciepło, łapały infekcje.

– Przeżyło pięć, może sześć. No i niektóre się broniły i gryzły. Niby foczki maleńkie, drobne ugryzienia, ale wierz mi, nie chciałbyś mieć foczego palca. – Ivar dodał gazu. ●

Podróż w czasie do miejsc i istot, których już nie ma, chłopakie przygody i kawał wiedzy przyrodniczej – **„Na północ. Jak pokochałem Arktykę”**, czyli pierwsza część arktycznej trylogii Adama Wajraka, już dostępna w księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. EAST NEWS

ŚMIERTELNY LEK

Chorzy proszą o eutanazję nie ze strachu przed umieraniem w samotności. A dlatego, że nie radzą sobie z bólem duchowym.

Z KSIĘDZEM **WŁADYSŁAWEM DUDA*** ROZMAWIA
MAGDALENA CZYŻ

„Nie uszlachetnia”. Te słowa ks. Józef Tischner napisał, bo nie mógł już mówić, gdy umierał na raka. Miał na myśli cierpienie człowieka w chorobie.

– Niektórzy sobie tak lekko mówią: „cierpienie uszlachetnia”. Nie wolno tak mówić! Dla wielu ludzi cierpienie jest absolutnym przekleństwem. Spotkałem się nieraz z wyrażeniem, że choroba to taki pocałunek od Pana Boga. To może powiedzieć tylko człowiek, który nie ma pojęcia o cierpieniu i chorobie.

„Pocałunek Pana Boga” w sensie jakiegoś wyróżnienia?

– Tak, tylko że ja nigdy nie słyszałem, żeby osoba chora tak powiedziała. To mówią tylko ci, którzy chorobę znają z filmów.

Przeczytałam gdzieś zdanie, że cierpienie jest jak infekcja, rozprzestrzenia się na bliskich.

– Tak. Często mówimy to w hospicjum, że choruje cała rodzina. Musi sobie poradzić nie tylko ze świadomością choroby bliskiej osoby, ale również, jeśli ten chory jest w domu, trzeba stworzyć i zorganizować opiekę nad nim. I w takiej rodzinie wszyscy stają się wyczuleni, właściwie przeczuleni. O ile ta rodzina chce współpracować, jeśli nie jest rodziną wypierającą.

Ale jestem jak najdalszy od oceniania kogokolwiek. Bo wiem, że są rodziny, które sobie po prostu nie potrafią z tym poradzić ze względu na złożoność wyzwania.

Musimy sobie wyobrazić sytuację, w której bliska osoba jest w szpitalu, wykrywają nowotwór, jest próba leczenia i okazuje się, że choroba nie ustępuje, medycyna jest bezradna. Rodzina nie zawsze zdaje sobie z tego sprawę. Często lekarze do ostatniej chwili są pełni nadziei, że jeszcze da radę i jeszcze może zmiana chemii, i jeszcze może to. Ale przychodzi taki moment, że ten lekarz staje przed ścianą i musi przyznać, że zrobiono wszystko, co można. Wypisujemy chorego pojutrze do domu. I teraz rodzina staje wobec sytuacji, na którą jest zupełnie nieprzygotowana. I z tego przerażenia bierze się to wyparcie. Mówią: to jakaś pomyłka! I zaczynają walczyć, żeby chory został dalej w szpitalu.

Jak zorganizować taką opiekę w domu?

– No właśnie hospicjum domowe ma taką rolę. Do domu przychodzi

pielęgniarka i uczy rodzinę, bo to oczywiste, że rodzina zwyczajnie nie wie, co robić. Podpowiada i pokazuje, jak zmienić pampersa, jak pomóc z przekręceniem się chorego na bok czy z umyciem. Wypożyczamy łóżko i różne sprzęty do domu chorego, które ułatwiają opiekę. No i oczywiście przychodzi lekarz, który stosuje leczenie paliatywne. Wiadomo, że choroby nie da się już wyleczyć, ale można panować nad objawami. Przede wszystkim nad bólem. Najważniejsze jest to, że rodzina wie, że nie zostaje sama z tym chorym.

Jak to się stało, że ksiądz zaczął organizować ruch hospicyjny?

– Jeszcze w seminarium trafiłem na praktyki wakacyjne do parafii w Aninie. Przy parafii rezydentem był ojciec Placyd Galiński, benedyktyn, który wcześniej był opatem w Tyńcu. I gdy ojciec Placyd dowiedział się, że skończyłem studium pielęgniarstwa i uzyskałem dyplom pielęgniarstwa, to podsunął mi chyba pierwszy artykuł prasowy w Polsce o powstającym ruchu hospicyjnym w Czechosłowacji. Snuliśmy plany hospicjum stacjonarnego przy kościele w Aninie i domowego w Warszawie.

Pamięta ksiądz pierwszego pacjenta, któremu towarzyszył przy umieraniu?

– Z moim pierwszym pacjentem hospicyjnym zetknąłem się dużo wcześniej, w 1984 roku. Ojciec Placyd przekazał mi wiadomość, że jest dwudziestoletni chłopak, Ignacy, który mieszka w budynku rządowym, jego rodzice byli wysoko postawionymi urzędnikami partii. Mieszka tylko z matką, a jest już osobą leżącą. Chorował na nowotwór kolana. Ojciec Placyd powiedział mi: tam trzeba pójść.

Poszliśmy najpierw we dwóch. I to, co nas już na klatce schodowej tego eleganckiego budynku uderzyło, to zapach. Znałem ten zapach z neurologicznych i wewnętrznych oddziałów szpitalnych, wtedy to były oddziały bardzo zapyziałe, ci chorzy leżali w zasadzie w umieralniach. To bardzo specyficzny, potworny zapach prawie rozkładających się ciał. I gdy weszliśmy do mieszkania, to nie dawało się wręcz oddychać. Na nodze chorego była wielka rozkładająca się rana. Z jednej strony ten chłopak, który był absolutnie świadomy, w jakiej jest sytuacji, jaki zapach wydziela się z jego ciała, bo on się nawet nie pozwolił zbliżyć do siebie. Potwornie się tego zapachu krępował. A z dru-

giej strony jego matka, koszmarnie niewyspana, przemęczona. Opowiadała nam, że czuwa przy nim w fotelu, bo on z bólu całymi nocami jęczał. Żaden lekarz, żadna pielęgniarka nie chcieli przyjść do tego domu. Mimo że materialnie było ich stać, to nie było takich ludzi, którzy potrafiliby im pomóc.

Udało się tak zaradzić, że studenci medycyny z akademickiego duszpasterstwa przychodzili w ciągu dnia, żeby ta matka mogła odespać. I sprowadzili chirurga, który powycinał martwe tkanki, więc zapach ustał. A chłopak dał się przekonać, że oni potrafią go umyć i są w stanie mu pomóc, i zaczął współpracować. I to było moje pierwsze doświadczenie hospicjum domowego.

Opiekowaliśmy się nim niecałe pół roku w domu, w którym też zmarł. Dzięki opiece medycznej, ale i duchowej ojca Placyda Ignacy i jego matka razem przygotowywali się na jego odejście. Uczestniczyłem w ich rozmowach.

Czym jest opieka duchowa?

– Duchowość często utożsamiana jest z religijnością. Natomiast dla człowieka niewierzącego duchowość nie ma nic wspólnego z religijnością. Pracując w hospicjum, podejmuje się prowadzenia opieki duchowej nad osobą niereligijną, bo nie robię żadnych różnic.

Zdarza się, że rodziny proszą, żeby zamiast zakonniczki pielęgniarki przychodziła świecka pielęgniarka. Naturalnie szanujemy to. Nasz zespół hospicyjny składa się z osób, które mają różne relacje z Kościołem katolickim. Są osoby zarówno bardzo religijne, jak i ta-

kie, które określają się jako „letni chrześcijanie”. Człowiekowi, który pierwszy raz przychodzi do pracy, nigdy nie stawiam sprawy religijności jako jakiegoś warunku.

Osoby nie i religijne tak samo cierpią na chorobę duchową?

– Ból duchowy potrafi być bardzo dotkliwy i bardzo często jest spowodowany żalem. I to jest często żal do Pana Boga albo losu.

Za to, że go ukarał chorobą?

– Tak. Albo żal do Boga za jakieś zdarzenia w życiu, które lata wcześniej miały miejsce. Zdaje sobie sprawę, że zbliża się koniec jego życia i on z tym problemem jest. To powoduje u niego dodatkowy lęk i stres. Człowiek religijny zaczyna bać się tego spotkania z Bogiem, do którego czuje żal, którego osądzał. To czasami potwornie trudne rozmowy, ale zespół jest na nie przygotowany. Chory nie chce wezwać mnie, księdza, bo woli porozmawiać ze świecką osobą, często pielęgniarką, która zdobyła jego zaufanie. Jest u niego często, bo nierzadko trzeba podłączyć choremu kroplówkę i te pół godziny pielęgniarka musi siedzieć przy chorym, gdy ta kroplówka schodzi. Jest to czas, kiedy chory wie, że może porozmawiać i spróbować wyrzucić z siebie to, co go gnębi.

Jeśli dobrze rozumiem, ból duchowy zasadza się właściwie tylko na pretensji do Boga?

– To tylko jeden z przykładów. Bardzo często człowieka męczy nie-
możność przebaczenia samemu sobie różnych zachowań w życiu.

Trzeba mu wtedy pomóc. Przez wysłuchanie. Nie zdajemy sobie sprawy, jak ważne jest stworzenie wokół cierpiącego, chorego atmosfery zaufania, w której on może wyrzucić z siebie żal do samego siebie. On to musi wyartykułować. To jest jedyny mechanizm uporania się z tym. Ten ból duchowy często przejawia się w bólu fizycznym, w bólu serca. Powiedzenie „spadł mi ciężar z serca” ma realne uzasadnienie. Bo chorzy czują niesamowitą ulgę.

Wróćmy jeszcze do Ignacego. Wspomnił ksiądz o jego bólu duchowym. Co się wtedy działo?

– On nie był osobą religijną. Miał żal, dlaczego jego to spotkało. To było pytanie, z którym się nie mógł rozstać.

I co ksiądz odpowiada?

– Że nie wiem. Po prostu: nie wiem, dlaczego akurat jego to spotkało. Tak jest stworzony świat materialny, coś niszczy, aby mogło powstać coś nowego. Nie mamy na to wpływu, natomiast mamy wpływ na naszego ducha i na nim możemy się skupić. Ignacy doskonale czuł sferę ducha i sferę ciała. Dużo czytał poezji, ale w pewnym momencie zaczął czytać Ewangelię. To była wyłącznie jego decyzja. To pomogło mu w jakiś sposób oderwać się od cierpienia fizycznego. Dawało ukojenie.

Wracam do tych pierwszych doświadczeń księdza, bo większość ludzi styka się z tym problemem dwa, może trzy razy w życiu. Jakich błędów wolałby ksiądz uniknąć?

– Najpierwszym lękiem, który miałem, było pytanie: jak się zachować wobec osoby śmiertelnie chorej? Dlatego, gdy widzę dysfunkcyjność rodziny przy chorym, to nie osądzam tego, bo znam rozmiar tego lęku. Nawet jeśli z boku to wygląda tak: o proszę, mają ciężko chorego i się w ogóle nie angażują. Nie! Oni są przerażeni! Najpierw sami ze sobą muszą do ładu dojść, aby móc pomóc. Są często niedospani i to wszystko się na siebie nakłada.

O czym rozmawiać?
– Najmniej choremu potrzebne jest mówienie. Wręcz są sytuacje, że chory nie chciałby nic słyszeć o swojej chorobie i tego ciągłego pytania: jak ty się czujesz? Albo uzalania się nad nim. Owszem, niektórzy to lubią i domagają się tego, ale najbliższa rodzina umie to rozeznaczyć.

Mówić prawdę o chorobie?
– To nieustanny problem. Często słyszymy prośbę: niech ksiądz nie mówi, że przyszedł z namaszczeniem, tylko tak przy okazji, po kółdzie. Chociaż jest czerwiec. Czy mówić zatem prawdę, czy nie mówić? W hospicjum stawia się tę sprawę jasno: mówimy prawdę, ale mówimy jej tyle, ile chory jest w stanie jej przyjąć.

Skąd to wiadomo?
– Chory zawsze da nam znać. To on inicjuje ten temat, a my idziemy pół kroku za nim. Musimy dać mu przestrzeń wolności, jemu nie wolno niczego narzucić. W tych sytuacjach powołuję się zawsze na ks. Tischnera. Film o nim „Życie w przypowieściach” rozpoczyna się od słów: „Najciekawszy problem to, w jaki sposób człowiek może obudzić w drugim człowieku poczucie wolności. Bo zazwyczaj zastanawiamy się nad tym, co ja powinienem zrobić, aby drugim tak, a nie inaczej pokierować. (...) Może nawet zapanować nad nim. Tymczasem najgłębszym problemem wychowawczym nie jest to, w jaki sposób panować nad człowiekiem, ale w jaki sposób obudzić w nim człowieczeństwo. A człowieczeństwem tym jest wolność”. Chodzi o wsłuchanie się w chorego, bo on między zdaniem może mi zasugerować coś, jakąś swoją potrzebę, którą krępuje się wyrazić wprost. Może nie za pierwszym razem, ale drugim, trzecim. I jeśli zobaczy, że ja mu niczego nie narzucam, to łatwiej mu będzie zadać mi pytania, które go nurtują. Pyta: jestem chyba poważnie chory? Tak, jesteś poważnie chory. Nie ukrywamy niczego, ale mówimy tylko to, co jest zawarte w pytaniu. Nic więcej. Bo w tej chwili on tylko tyle jest gotowy przyjąć.

Pytają, bo wychodzą ze szpitala bez pełnej informacji?
– Jest różnie. Czasami nie ma informacji, czasem ma informację przekazaną w sposób

makabryczny. Bo lekarz potrafi rzucić pacjentowi, przechodząc koło jego łóżka: pan jest nieuleczalnie chory, albo nie zatrzymując się nawet przy łóżku: proszę się porządnie wypowiadać, bo to już koniec – to autentyczne przykłady usłyszane od chorych. Ale ci lekarze mają dokładnie ten sam problem, co rodzina chorego, nie czują się na tyle silni, aby usiąść przy chorym i porozmawiać z nim. I to koszmarnie zachowanie lekarza jest jego ucieczką. Oczywiście są lekarze, którzy z wielką empatią potrafią przekazać prawdę o chorobie, ale chory czasami wypiera tę prawdę. Albo jeszcze gorzej: chory wie, ale rodzina to wypiera, gra przy chorym i uprawia teatr. I to też jest ucieczka.

Jak często chorzy proszą albo pytają o eutanazję w księdza doświadczeniu?
– Nasze hospicjum obchodziło w tym roku 25-lecie, przez ten okres spotkał się z pojedynczymi sytuacjami, kiedy pacjent prosił o eutanazję. Jedna na dwa lata, jedna na rok, gdy chory tylko trafiał pod naszą opiekę, z bardzo silnym bólem fizycznym i duchowym. Czasami w ogromnym osamotnieniu.

W hospicjum zawsze mówimy prawdę, ale mówimy jej tyle, ile chory jest w stanie przyjąć

Jak reagowaliście?
– Staraliśmy się wokół chorego stworzyć nadzwyczajną opiekę i rodzinę zmobilizować. Gdy udało nam się przekonać go, że są wokół niego skupieni na nim ludzie i on nie jest sam, to on nie wracał już do tego tematu.

Czyli z księdza doświadczenia wynika, że prośba o eutanazję jest powodowana strachem przed umieraniem w samotności?
– Nie tylko. Właściwie chyba nawet najmniej ze strachu przed umieraniem w samotności. Bardziej z nieporadzenia sobie właśnie z tym bólem duchowym. To jest pierwsza przyczyna.

Bardziej niż z fizycznym?
– Myślę, że bardziej. Chociaż fizyczny oczywiście też jest koszmarem. Zdarzają się sytuacje, że chory i rodzina wypierają chorobę. Chory przez całe miesiące nie przyjmuje lekarstw i gdy zaczyna odmawiać jedzenia i picia, to rodzina dzwoni do nas. Zastajemy takiego chorego zwinętego w kłębek, gdy cały jest już tylko jednym wielkim bólem. Zaczynamy wtedy od ustalenia leczenia przeciwbó-

lowego, nawodnienia i dopiero jak ten chory przestaje odczuwać permanentny ból, nierzadko się to udaje, to wtedy możemy zająć się bólem duchowym.

Wróć jeszcze do eutanazji. Jeśli z księdza bogatego doświadczenia wynika, że gdy chory widzi, że będzie dobrze zaopiekowany i zarówno jego ból fizyczny, jak i duchowy uda się ukoić, to wola eutanazji znika, to skąd tak szeroka dyskusja na ten temat?
– Na to pytanie najlepiej by odpowiedział prof. Zbigniew Żylicz, zaprzyjaźniony z naszym hospicjum. On mieszka w Holandii i tam już w latach 80. organizował hospicja. Z jego wieloletniego doświadczenia wynika, że w pierwszej kolejności trzeba sytuację nieuleczalnej choroby przepracować z rodziną chorego, ponieważ problemem naszej cywilizacji jest niedostateczny kontakt w rodzinie. Oczywiście istnieją rodziny, które są ze sobą bardzo zżyte, ale są i takie, w których członkowie rodziny nie rozmawiają ze sobą. W których postawiony jest nacisk na szaloną wręcz indywidualność. I wola eutanazji narodziła się w tych drugich. Tak to sobie tłumaczę po rozmowach z prof. Żyliczem.

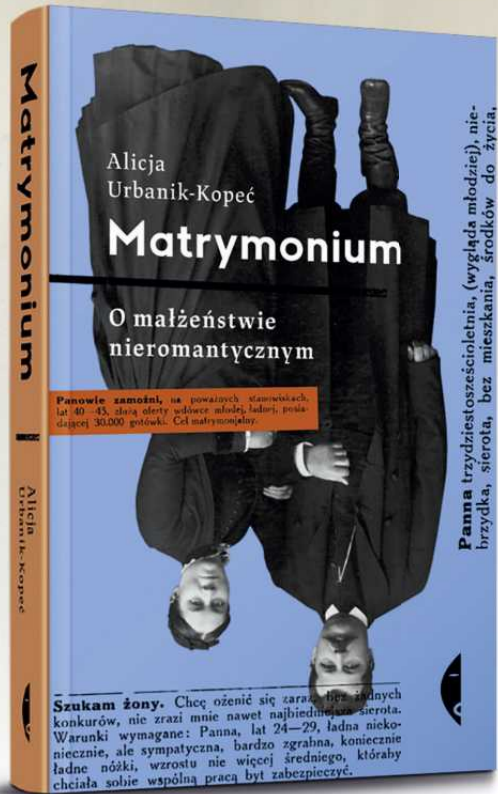
Ale to dość banalne tłumaczenie.
– Banalne, ale mówi nam jakąś prawdę o człowieku. No i zaczyna być dość powszechne u nas w Polsce. I oczywiście jest, że eutanazje są dokonywane w Polsce.

Mamy niezbadaną liczbę tzw. cichych eutanazji, gdy rodzina przestaje karmić lub nawadniać chorego lub gdy nie może się on poruszyć, na noc kładzie mu poduszkę na twarz.
– Tak, ale z tym się wiąże jeszcze szalenie skomplikowany temat terapii uporczywej. Gdzie się ona zaczyna? Każdy pacjent ma tę granicę ustawioną indywidualnie. Dla jednego uporczywą terapią będzie już żywienie dojelitowe albo podawanie mu kroplówki. Spotykam się z sytuacjami, że pacjent już definitywnie odchodzi, a rodzina ciągle jest wypierająca i ma pretensje, że on zupy nie zjadł, a przecież tej zupy potrzebuje. Otóż już nie potrzebuje i gdy próbujemy to powiedzieć, to rodzina nas posądza o próbę eutanazji. To szalenie trudne sytuacje, kiedy trzeba przekonać rodzinę, aby pozwoliła bliskiemu godnie i spokojnie odejść. ●

***Ks. Władysław Duda**, dyrektor Archidiecezjalnego Zespołu Domowej Opieki Paliatywnej (Hospicjum) uhonorowanego Nagrodą ks. Józefa Tischnera za mądre prowadzenie chorych przez trudny proces udręczonego odchodzenia oraz za wspieranie ich rodzin i najbliższych.

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

- 1. Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę***
- 2. Fragmentu książki Alicji Urbanik-Kopeć „Matrymonium. O małżeństwie nieromantycznym”**



Jak wyglądał dziewiętnastowieczny rynek matrymonialny, na którym liczyły się posag, weksle i cenne pamiątki rodzinne? W jaki sposób dochodziło do małżeństwa, które zapewniało kobiecie bezpieczeństwo finansowe oraz złudzenie życiowego sukcesu? Pasjonujący obraz życia kobiet, które próbowały kształtować własne życie: miłosne, rodzinne i finansowe i system prawno-społeczny, który próbował im za wszelką cenę odebrać wolność wyboru.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Alicji Urbanik-Kopeć „Matrymonium. O małżeństwie nieromantycznym” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

AUK22TK

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywować dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytać na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

JUŻ NAPRAWDĘ NIE MA GDZIE SIĘ UKRYĆ

Człowiek, który wytropił Pegasus: Proszę się postawić na miejscu szefa polskiego wywiadu. To musi być uzależniające

Z **RONALDEM DEIBERTEM***,
BADACZEM CYBERINWIGILACJI, ZAŁOŻYCIELEM CITIZEN LAB,
ROZMAWIA **KATARZYNA WĘŻYK**



FOT. SHUTTERSTOCK

Czy prywatność – rozumiana jako prawo do utrzymania w tajemnicy osobistych spraw i relacji – w ogóle jeszcze istnieje?

– Nie. I to nawet nie z powodu możliwości szpiegowskiego oprogramowania, tylko modelu biznesowego. Wszelkie obecne cyfrowe technologie są zaprojektowane tak, by wydobyć od nas możliwie najwięcej prywatnych danych; tak działa kapitalizm inwigilacji.

Zaczynamy więc z poziomu niemal zerowej prywatności. Na to nakłada się fakt, że rządy mogą wykorzystać istniejący system gromadzenia danych, by śledzić konkretne cele. A jest ogromna różnica między tym, co może ci zrobić korporacja, a co państwo, jak już naruszy twoją prywatność. Firma może spróbować ci coś sprzedać, ewentualnie obniżyć rating kredytowy. Państwo może odebrać ci życie i wolność. I dlatego w liberalnej demokracji mamy zazwyczaj system hamulców, który ogranicza zakusy państwa.

A kiedy prywatność zrobiła się teoretyczna? W jakimś konkretnym momencie czy to był proces?

– Pojęcie prywatności ewoluowało przez wieki. Chłopi w średniowiecznej Europie nie mieli jej w ogóle, każdy wiedział, co robią sąsiedzi. Pojęcie prywatnej własności, prywatnej przestrzeni i ochrony praw jednostki pojawiło się wraz z nowoczesnością i liberalizmem. Państwo nie mogło już bez sądowego nakazu czytać listów obywatela.

Ale przez ostatnie 15 lat technologia zmieniła wszystko. Dziś jesteśmy cały czas monitorowani, i to nawet nie przez władze, do celów biznesowych. W smartfonie jest zapisane całe pani życie. Dzięki urządzeniom, które sami stworzyliśmy, już naprawdę nie ma się gdzie ukryć.

Uważaliśmy to za wymianę: ja dam ci trochę moich danych, ale dostanę usługę – platformę do wrzucania zdjęć czy mapę – za darmo. Wiadomo, lubimy darmowe rzeczy. A co dokładnie oddaliśmy?

– Nie powiedziałbym, że mamy do czynienia z racjonalną decyzją konsumenta. Żeby

móc używać aplikacji, musisz zatwierdzić warunki użytkowania. Mało kto je czyta, bo są długie i napisane niezrozumiałym prawniczym żargonem. Klikasz więc „zgoda” i nie myślisz o tym więcej. Ale w tych kontraktach zawarta jest transakcja handlowa. Warunki użytkowania zmieniają twoje dane we własność firmy, a konsument nie do końca rozumie, co jego wybór oznacza.

Co więcej, ma coraz mniej alternatyw. Weźmy latanie: od czasu pandemii, żeby wsiąść do samolotu, coraz częściej potrzebujesz aplikacji mobilnej.

Po wyroku w sprawie Dobbs vs. Jackson Women’s Health Organization, znoszącym federalne prawo do przerywania ciąży, pojawiły się ostrzeżenia przed cyfrową inwigilacją w kontekście aborcji. Jakie dane o kobietach w wieku reprodukcyjnym państwo może zebrać i jak mogą zostać wykorzystane?

– Firmy są w stanie wydobyć ze smartfonów dane dotyczące podejmowanych przez kobiety decyzji o ich własnym ciele na przykład przez aplikacje śledzące cykl miesięczkowy. To bardzo wygodne narzędzia ułatwiające życie, ale zbierają też mnóstwo wrażliwych danych. Sprzedają je potem firmom zajmującym się handlem reklamami, a te mogą je odsprzedać reklamodawcom, ale też organom ścigania. I nagle ktoś ma dostęp do informacji, że spóźnia ci się okres albo że przejechałaś granicę stanu. Na przykład policja.

Tak daleko sytuacja jeszcze nie szła, ale wygląda to niepokojąco. Nagle połowa społeczeństwa narażona jest na więzienie za coś, co niedawno było legalne. Co pokazuje, jak zmiana prawa w połączeniu z możliwościami, jakie daje inwigilacja, zagraża nam wszystkim.

Media doradzały Amerykankom w niechcianej ciąży, żeby używały telefonów na kartę i unikały w wiadomościach konkretnych zwrotów.

– Tak, nagle każda kobieta musi zachowywać jak agentka.

No właśnie – czy można szpiegować całą populację?

– To całkiem łatwe. Masz co prawda ogromne ilości danych, ale analizują je maszyny. Konfigurujesz więc odpowiednie algorytmy sortujące dane i identyfikujące osoby, których postępowanie jest podejrzanym. A potem skupiasz się na tych osobach.

Weźmy mój przyjazd do Wiednia. Trochę się martwię, bo Wiedeń jest znany jako miasto szpiegów.

Wciąż?

– Tak. Nadal nie ma w Austrii prawa zakazującego szpiegowania, z wyjątkiem szpiegowania samych Austriaków. Całą resztę – proszę bardzo. A ja zawodowo zajmuję się wrażliwymi danymi, także na temat ludzi, których życie jest w niebezpieczeństwie. Jak tylko ląduję w Austrii, jest tak, jakby w miejscach, w których przebywam, zapaliło się migające światelko. Pani telefon też wysyła w świat sygnał, że rozmawiamy. Co by było, gdyby to było poufne spotkanie, a pani byłaby źródłem, lub vice versa? I rozmawialiśmy o czymś, o czym nie chcieliśmy, aby wiedziały agencje wywiadowcze?

Spotyka się pan jeszcze ze źródłami?

– Oczywiście.

Aplikacja śledząca cykl miesięczkowy jest przydatna. Ale jej producent sprzedaje dane firmie handlującej reklamami, a ta odsprzeda je państwu. I nagle policja wie, że spóźnia ci się okres albo że przejechałaś granicę

To jak pan zapewnia im bezpieczeństwo i unika podsłuchania?

– Staram się zmniejszać moją widoczność najbardziej, jak się da. Gdybym nosił ze sobą urządzenie z kartami SIM i stale łączył się z sieciami komórkowymi, świeciłbym jak choinka. Są jednak rzeczy, jak podróżowanie z fałszywym paszportem, których nie zrobię, bo jestem naukowcem, a nie szpiegiem.

Polska również ma zakaz aborcji, tylko nie ściga za zamawianie tabletek i wyjazdy za granicę. Gdyby władza chciała przykręcić śrubę, to Polki też powinny zacząć się bać? Czy też europejskie prawo bardziej nas chroni przed inwigilacją?

– W Europie pod pewnymi względami jest wręcz gorzej, zwłaszcza jeśli chodzi o odpowiedzialność służb. Polska, Węgry, nawet Hiszpania nie tak dawno były przecież państwami autorytarnymi. A ludzie i instytucje nie znikają tak po prostu. Rządy się zmieniają, ustroje liberalizują, ale pozostałości służb bezpieczeństwa wciąż funkcjonują. Kilka tych państw w ostatnich latach skreśliło też ostro w prawo. Ten zwrot w połączeniu z bardzo słabym nadzorem nad służbami bezpieczeństwa jest niepokojący.

Jest jeszcze jeden ważny sektor, o którym rzadko się mówi w kontekście inwigilacji, czyli firmy telekomunikacyjne. To biznes ściśle powiązany z organami bezpieczeństwa już od czasów telegrafu. Obywatele nie wiedzą, jak ta współpraca wygląda, wiemy natomiast, że istnieje ogromny popyt na technologie nadzoru, które wykorzystują luki w zabezpieczeniach sieci komórkowych i telekomunikacyjnych. Prywatne firmy sprzedają takie usługi agencjom wywiadowczym.

USA skuteczniej ten rynek regulują?

– Kiedy Citizen Lab ujawniło, że izraelskie oprogramowanie Pegasus było używane do nielegalnej inwigilacji aktywistów, dziennikarzy i polityków, w Kongresie odbyły się publiczne przesłuchania, a Departament Handlu wpisał producenta, NSO Group, na czarną listę. Hiszpania natomiast powoła-

ła w tej sprawie komisję parlamentarną, ale jej obrady były tajne. Szef hiszpańskiego wywiadu podał się do dymisji, ale dalej nie wiemy, kto zlecił szpiegowanie całego katalońskiego społeczeństwa obywatelskiego.

Wasz rząd z kolei bagatelizuje sprawę: „Citizen Lab, jakaś kanadyjska grupa, czemu mamy ich brać poważnie?”. Gdybym był polskim obywatelem, byłbym bardzo zaniepokojony tym, że państwo może sobie wejść do telefonu i nie wiemy, kto to zleca. Martwiłoby mnie to niezależnie od poglądów politycznych, bo kto mi zagwarantuje, że nie będę następny? To kryzys demokracji.

Do niedawna zebranie o kimś prywatnych informacji wymagało skomplikowanej i drogiej operacji, dlatego też niemal monopol miały na nie państwowe agencje. Ten monopol się skończył?

– Tak. Ile ma pani aplikacji w telefonie?

Dużo, obawiam się.

– A każda ma dwie funkcje: podstawową i ukrytą. Podstawowa to ta jawna: Duo Linggo ma nauczyć cię hiszpańskiego, Instagram pomaga udostępniać zdjęcia. Funkcja ukryta robi coś zupełnie innego. Jej celem jest uzyskanie wiedzy o zwyczajach, preferencjach, związkach, ruchach użytkownika. A ludzie mają po kilkadziesiąt aplikacji i nie czytają warunków użytkowania. Ich producenci te dane zbierają, pakują, a potem monetyzują. Do tego, co kiedyś było prywatnym życiem, dostęp ma wiele – naprawdę wiele – prywatnych firm i Bóg jeden wie ile rządów.

To jak inwigilacja Pegasusem różni się od tego, co serwuje mi każda inna aplikacja na moim telefonie?

– Tym, że NSO sprzedaje dane państwowym służbom. A konsekwencje monitoringu biznesowego są zupełnie inne niż państwowego. Państwo może cię wsadzić do więzienia, Nike tylko próbuje sprzedać ci buty.

A jak wygląda współpraca między firmami typu NSO Group a państwami?

– NSO jest jednym z wielu dostawców szpiegowskich technologii. Sprzedają je rządowi, organom ścigania i agencjom wywiadowczym, deklarując oczywiście, że jedynie pomagają w zwalczaniu przestępczości i terroryzmu. Problem w tym, że branża prywatnej inwigilacji jest pozbawiona regulacji, a rządy mogą z usług takich firm korzystać w dowolny sposób. Także, a wręcz zwłaszcza, rządy skorumpowane, nieliberalne i autorytarne. Efekt jest taki, że używają tych technologii do szpiegowania nie przestępców, ale opozycji politycznej, dziennikarzy, obrońców praw człowieka. Było tak w każdej sprawie, którą przez ostatnią dekadę badało Citizen Lab.

Na przykład?

– Najbardziej znany to Jamal Khashoggi, zamordowany saudyjski dziennikarz. Z bliskimi osobami komunikował się przez kanały, które uważał za prywatne – WhatsApp i Signal – ale rozmowy zostały przechwycone. I niekoniecznie dlatego, że to jego telefon został zhakowany; tego nie wiemy, bo skonfiskowały go tureckie władze. Wiemy jednak, że Pegasusem monitorowano ludzi z jego kręgu. Takie działanie nazywamy targetowaniem relacyjnym. Zbadaliśmy telefony jego żony i narzeczonej i oba były zhakowane. Oprogramowanie szpiegowskie znaleźliśmy też u współpracownika Khashoggiego. A Arabia Saudyjska jest klientem Pegasusa.

Czyli albo totalna samotność, albo musisz się pogodzić z tym, że jesteś szpiegowany?

– Jest jeszcze trzecia możliwość: wprowadzimy regulacje. Wcale nie musimy żyć w akwariu. Ten system został stworzony przez ludzi i ludzie mogą go rozmontować.

Mądre regulacje zmuszą Dolinę Krzemową do zmiany modelu biznesowego, który polega na wyciąganiu od nas podstępem danych. A branża prywatnej inwigilacji to po prostu najemnicy i należy ich traktować tak jak prywatne armie do wynajęcia. A dziś mamy znacznie więcej przepisów dotyczą-

cych najemników w wojsku niż tej potężnej technologii, która potrafi dostać się do twojej głowy. Oprogramowanie typu Pegasus to nadzór na skalę nuklearną – i go nie regulujemy? Liberalne demokracje muszą połączyć siły i zacząć wprowadzać zasady.

Dlaczego dziś mamy wolnoamerykanke?

– Ponieważ brak regulacji jest wygodny dla rządów. Wszystkie państwa mają tajne służby i nie lubią, jak grupy takie jak Citizen Lab zadają im pytania. Jeśli nie mówi się o inwigilacji, służby mają więcej swobody.

Konsekwencje monitoringu biznesowego są zupełnie inne niż państwowego.
Państwo może cię wsadzić do więzienia, Nike tylko próbuje sprzedać ci buty

Nie chcą oddać tej władzy?

– A pani by chciała? Proszę się postawić na miejscu szefa polskiego wywiadu, który może tak po prostu wiedzieć wszystko o cudzym prywatnym życiu. To uzależniające.

Trochę zabawa w Boga.

– Monitorujesz kogoś 24 godziny na dobę, jesteś obok niego, gdy śpi, gdy uprawia seks czy klóci się z żoną. Masz dostęp do najbardziej intymnych momentów, a ta osoba nie ma o tym pojęcia. To bezprecedensowe.

Kiedyś, by usłyszeć, o czym właśnie rozmawiamy, tajne służby musiałyby wiedzieć z wyprzedzeniem, że umówiliśmy się w tej kawiarni, umieścić pluskwy pod stolikami i może kamerę pod sufitem.

A przy stoliku obok siedziałby ktoś z mikrofonem w długopisie.

– A dziś mogą sobie darować wszystkie te drogie przygotowania, wystarczy zhakować mój lub pani telefon i usłyszą wszystko – bo nie ma przepisów, które im to zabronią.

A jak pan odpowie na tradycyjny argument za inwigilacją: że rządy potrzebują jej, by ścigać terrorystów czy pedofilów?

– Jasne, na świecie jest wielu złych ludzi, dlatego potrzebujemy dobrze wyposażonych i wyszkolonych organów ścigania. Potrzebujemy też wymiaru sprawiedliwości, który będzie egzekwował prawo. Pytanie brzmi...

...kto pilnuje strażników?

– Otóż to. Pod tym względem USA są lepsze od niektórych państw Europy, bo mają w Kongresie komisje z uprawnieniami do wzywania świadków, mają niezależnych sędziów i społeczeństwo obywatelskie. Czy o Polsce można powiedzieć to samo? Czy wiecie, co dzieje się w waszych służbach? Podobnie zresztą jest w Kanadzie, też nie wiemy, co nasze służby robią, jakie mają możliwości inwigilacji i czy ktokolwiek naszych strażników pilnuje.

Oczywiście powinniśmy ścigać pedofilów, sam mam czwórkę dzieci i chcę, żeby policja monitorowała osoby, które chciałyby je skrzywdzić, i żeby miała środki, by to robić. Ale musimy mieć pewność, że inwigiluje pedofilów, nie panią czy mnie.

Albo czy nie umieszczają dziecięcej pornografii w czyimś telefonie?

– Też. Bo jak już wejdiesz do cudzego urządzenia, to możesz zrobić z nim wszystko. Opisałem taki przypadek w Indiach: w komputerach aktywistów umieszczono sfałszowane dowody działalności terrorystycznej i trafili do więzienia.

Można takie włamanie udowodnić?

– Jeśli wiesz, że sprzęt został zhakowany, możesz prześledzić ten proces i znaleźć przesłany plik. Ale też można taką opera-

cję tak zamaskować, że będzie niewidzialna. Najbardziej wyrafinowane wersje oprogramowania szpiegowskiego potrafią usunąć wszystkie ślady swojej obecności.

Czyli co, zmierzamy równym krokiem w stronę dystopijnego świata pełnej inwigilacji, Pax Despotica?

– Niewykluczone, zwłaszcza jeśli połączysz technologię z powrotem autorytaryzmów i neofaszyzmu. Ale nie jest tak, że jedziemy po ruchomych schodach i nie ma odwrotu. Wciąż możemy pójść w innym kierunku.

To co możemy zrobić?

– Zacząć od wprowadzenia ścisłych regulacji dla platform technologicznych, ponieważ to one stworzyły model biznesowy kapitalizmu inwigilacji. I ten proces już się zaczął. Europa ma RODO, Digital Markets Act czy Digital Services Act. W USA pojawiają się projekty ustaw mających rozbić monopole cyfrowych gigantów.

Pilnie potrzebujemy zreformowania nadzoru nad służbami bezpieczeństwa. Nie mówię, że należy się ich pozbyć, ale należy się im uważnie przyglądać.

I musimy uregulować sektor prywatnej inwigilacji. Wprowadzić prawa, które chronią ludzi przed inwigilacją, na przykład umożliwiając im dochodzenie sprawiedliwości w sądzie. Polska mogłaby uchwalić prawo umożliwiające ofiarom Pegasusa pozwanie, w polskim sądzie, firmy, która dostarczyła rządowi tę technologię. Gdyby każdy kraj to zrobił, NSO poszłoby z torbami, bo musiałoby wypłacać wielomilionowe odszkodowania. Już zresztą pozwała ich żona Khashoggiego, a także Apple i WhatsApp.

Miał pan okazję rozmawiać z ludźmi zajmującymi się prywatną inwigilacją? Mają w ogóle problem z tym, że sprzedają narzędzia pozwalające zniszczyć komuś życie albo przyczynić się do śmierci?

– Większość to najemnicy, którym zależy wyłącznie na zysku, nieliczni kierują się jakąkolwiek etyką. Ludzie, którzy zarządzają tą branżą, zazwyczaj mają w CV długą historię nadużyć i zaniedbań. No i regularnie kłamią. Nie chcę z nimi rozmawiać.

Mimo wszystko wydaje pan się optymistą co do szansy odwrócenia trendu powszechnej inwigilacji.

– Jestem naukowcem: badam trendy, patrzę na układ sił i mówię: „To moja ocena sytuacji. O to powinniśmy się martwić”. Nie wiem, co się wydarzy za rok lub dziesięć lat, ale już teraz możemy wpłynąć na to, jak ta rzeczywistość będzie wyglądać. Możemy załamać ręce, zostać w domu i zostawić przyszłość przypadkowi albo możemy działać.

Weźmy USA: demokracja jest w największym niebezpieczeństwie od czasów wojny secesyjnej. Istnieje realne zagrożenie, że władzę przejmie faszystowski reżim, co, jako że jestem Kanadyjczykiem, wielce mnie przeraża. Boję się, że jeśli Trump ponownie zostanie prezydentem, Kanada może stać się kolejną Ukrainą.

Aż tak?

– Kryzys klimatyczny już powoduje, że w USA zaczyna brakować wody. Widziała pani mapę Kanady? Same rzeki i jeziora. Nie mówiąc już o tym, że perspektywa nuklearnej supermocy pod rządami faszystów może oznaczać w ogóle koniec gatunku ludzkiego.

OK, czyli nie chcę takiej przyszłości. Co mogę zrobić? Mogę dalej ujawniać przypadki inwigilacji, rozmawiać z dziennikarkami, lobbować za rozwiązaniami. Niedawno Citizen Lab wystąpiło przed komisją ds. wywiadu Izby Reprezentantów i komisja wysłała do prezydenta Bidena list rekomendujący te regulacje dla szpiegowskiego oprogramowania, które wymienilem. To bardzo pozytywny sygnał i duże zwycięstwo dla nas. I dobry przykład, że jednak można coś zmienić.

Citizen Lab ujawnia nielegalne praktyki i uderza w interesy bardzo potężnych ludzi. Nie próbowali was zniechęcać?

– Próbowali. Black Cube, firma byłych agentów Mosadu – ta sama, którą wynajął Harvey Weinstein do zdobycia brudów na piszącego o nim dziennikarza Rona Farrowa – wzięła na cel moich współpracowników, ale ich zdemaskowaliśmy.

Widzę, że ma pan smartfona. Z pańską wiedzą o inwigilacji patrzy pan na niego jak na odbezpieczony granat czy niczym dr Strangelove przestał się pan martwić i pokochał bombę?

– Ależ ja kocham technologię. Ba, uważam, że potrzebujemy internetu bardziej niż kiedykolwiek. Dziś największym problemem jest kryzys klimatyczny: jeśli nie zrobimy czegoś bardzo szybko, jesteśmy zgubieni, a żeby przeprowadzić takie wspólne działania, musimy się komunikować i organizować na poziomie globalnym.

Niestety, w obecnej postaci internet jest dysfunkcyjny jako narzędzie do racjonalnej komunikacji. Mamy toksyczny, zafiksowany na przyciąganiu uwagi ekosystem mediów społecznościowych. Proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy nie rozmawiali we dwoje, twarzą twarzą, tylko przez Facebooka. Pewnie już byśmy na siebie wrzeszczeli. Musimy stworzyć takie platformy komunikacyjne, które nie promują konfliktu.

To możliwe?

– Oczywiście. Dlaczego w ogóle potrzebujemy modelu biznesowego? Dlaczego nie możemy mieć internetu i smartfonów bez tych wszystkich toksycznych algorytmów, które napędzają polaryzację?

Bo ludzie są chciwi?

– Ludzie bywają źli – ale bywają też i dobrzy. I odpowiedzialni. Przyszłość naprawdę nie jest przesądzona. ●



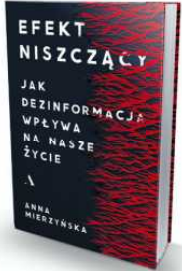
FOT. REPUBLICA/GREGOR FISCHER, CC-BY-SA 2.0

*Ronald Deibert

• profesor nauk politycznych, założyciel Citizen Lab, kanadyjskiej organizacji, która od ponad 20 lat bada technologie cyberinwigilacji i ich stosowanie wobec polityków, dziennikarzy i aktywistów. To Citizen Lab poinformowało, że telefony m.in. Romana Giertycha i prokurator Ewy Wrzosek zainfekowano Pegasusem. Wywiad odbył się w Wiedniu podczas Humanities Festival.

Nie miejmy złudzeń: wszyscy stajemy się ofiarami dezinformacji. Podejmujemy decyzje, opierając się na fałszywych danych, a nasze emocje falują zgodnie z interesami innych ludzi.

Jak działa rosyjska propaganda? Jak stworzyć teorię spiskową i zmienić w zaraźliwy wirus? Jak szczuć przeciwko osobom LGBT? Książka cenionej analityczki **Anny Mierzyńskiej** to precyzyjna analiza internetowych manipulacji, które służą sianiu nienawiści, wywoływaniu i podsycaniu chaosu. **„Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie”** w przedsprzedaży na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



DRUGI MARSZ NA RZYM



• Październik 2022. Uczestnicy przemarszu pod cmentarzem w Predappio, na którym pochowany jest Mussolini, prezentują salut rzymski FOT. PIERO CRUCIATTI / AFP

Piewcy Mussoliniego:
Giorgia Meloni wygrała dzięki nam, niech teraz spłaca dług.

Mateusz Mazzini

Do stowarzyszenia Marsz Niepodległości, organizatora przemarszu narodowców przez Warszawę, przychodzi list z kancelarii premiera Włoch. Osobiście do Roberta Bąkiewicza pisze Giorgia Meloni, nowo wybrana, postfaszystowska szefowa włoskiego rządu. W trzech zdaniach dziękuje mu za poparcie przed wyborami i za zaproszenie na Marsz Niepodległości. Przyjechać nie może, zaslania się obowiązkami, ale „życzy udanej manifestacji” i przypomina o jej „przyjaźni z polskim narodem”. Wagę listu pompuje Bąkiewicz, który pisze, że 11 listopada odczyta publicznie „pozdrowienia dla uczestników Marszu Niepodległości”, które przysły z Rzymu.

PARLAMENT W KRYPCIE

13 października w stolicy Włoch po raz pierwszy zebrał się nowo wybrany parlament, w wyborach większość w obu izbach zdobywa prawicowa koalicja Braci Włochów, Forza Italia i Ligi. Ta pierwsza partia osiąga 26 proc. poparcia, dzięki czemu jej szefowa i współzałożycielka, Giorgia Meloni, zostaje pierwszą kobietą premierem. Na mównicy pojawia się jednak najpierw Liliana Segre, najstarsza parlamentarzystka,

92-letnia dożywotnia senatorka. Jest włoską Żydówką, przeżyła Auschwitz, gdzie deportowano ją z rodziną z dworca głównego w Mediolanie. Mówi dużo o potrzebie pokoju i zjednoczenia – zwłaszcza że czasy trudne, w Europie znowu wojna. Na koniec pyta retorycznie, czemu daty takie jak rocznica wyzwolenia Włoch od faszyzmu i Dzień Republiki muszą dzielić, a nie łączyć. Segre dostaje aplauz na stojąco i zaczynają się wybory szefa Senatu, wygrywa Ignazio La Russa, współzałożyciel Braci, znany między innymi z bycia zagorzałym militarystą i kolekcjonerem pamiątek po Mussolinim.

Tydzień później ponad dwa tysiące osób, głównie mężczyzn, zbiera się na placu przed kościołem w Predappio, w mieście koło Bolonii. To miejsce narodzin i pochówku Benita Mussoliniego. Na cmentarzu jest krypta otwierana dwa razy do roku: w rocznicę urodzin i śmierci Il Duce, z demonstracją włoskich neofaszystów. Z reguły jest ich kilkuset, dokładnie obserwowanych przez różne formacje policyjne, w tym najbardziej znienawidzoną przez włoską prawicę – DIGOS. To tamtejszy odpowiednik CBŚ, głównie tajnicy infiltrujący mafie, gangi sutenerskie, ale też prawicowe bojówki. Tym razem nostalgików faszyzmu jest znacznie więcej, bo i okazja nie była jaka. Stulecie marszu na Rzym, który utorował Mussolinemu drogę do przejęcia władzy. Od tamtego momentu we włoskiej historii rozpoczyna się okres faszyzmu.

ETUI Z MUSSOLINIM

Kim dzisiaj jest Mussolini dla włoskiej prawicy? I czy upatrywanie w Meloni i Bra-

ciach Włochach spadkobierców faszystowskich władz z czasów II wojny światowej jest zasadne?

Włochy nigdy nie oczyściły się w pełni z faszystowskiej symboliki i nostalgii. Choć teoretycznie prawo zakazuje publicznego nawiązywania do ideologii totalitarnych – a za taką uchodzi faszyzm – oraz propagowania ich symboli, bez żadnego problemu można na Półwyspie Apenińskim zaopatrzyć się w ubrania, książki, etui na telefon czy memorabilia po Mussolinim, Republice Salò, a jak się głębiej poszuka – również po nazistowskich Niemczech.

**Bez problemu można
na Półwyspie Apenińskim
kupić ubrania, książki,
etui na telefon
z wizerunkiem Mussoliniego**

Kopalnią jest tu włoska odsłona serwisu aukcyjnego eBay. Zaczyna się od flag z Il Fascio, jednym z symboli faszystowskich władz, są rasistowskie i antyimigranckie T-shirty, medale i wisiorki z wizerunkiem Mussoliniego, szaliki z hasłami w stylu „boia chi molla”, co w luźnym tłumaczeniu oznacza „śmierć zdrajcom”. Ci sami sprzedawcy oferują też z reguły prawicowe artefakty z innych krajów, od amerykańskiej flagi konfederatów po autentyczne nazistowskie opaski na ramię. Czerwona tkanina, biały okrąg, pośrodku czarna swastyka. Flagi, proporce, plakaty. Szeroki wybór, do-

stawa w ciągu siedmiu dni na terenie całej Europy. Działa – sam sprawdzałem na potrzeby wcześniejszych projektów reporterskich. W bonusie często dostaje się gratisy, które słabiej schodzą, na przykład nakładki na iPhone'a starszej generacji z wizerunkiem Mussoliniego.

Koneserów włoskiego faszyzmu eBay raczej jednak nie zadowoli. To dla nich powstała strona Mussolini.net, której mottem są słowa „Duce zawsze w moim sercu”. Tu wybór jest tak szeroki, że zakrawa na groteskę. Nie tylko zapalniczki i T-shirty, ale nawet śliniaczki dla noworodków z nadrukowanym chłopcem wykonującym salut rzymski i hasłem „Edukujmy ich od małego”. Jest też szeroka gama butelek czerwonego wina. Różnią się nie tylko szczeniem, ale przede wszystkim nadrukiem na etykiecie. Mussolini we wszystkich pozach. Z profilu, en face. Na stulecie marszu na Rzym właściciele przygotowali specjalną ofertę – kolekcję rocznicowych pamiątek z wyszytymi bądź wygrawerowanymi datami 1922-2022. Są książki, flagi, proporce, medale, sygnety. Wszystko w faszystowskiej symbolice. Ceny – od 5 euro.

Istnieje też stacjonarna odsłona tego sklepu, mieści się oczywiście w Predappio. W nocy z 20 na 21 września nieznan sprawcy oblali go benzyną, wybili szyby i podpalili, odcieła się od tego ANPI, organizacja kultywująca pamięć o partyzantach antyfaszystowskich.

POKOJOWA TĘCZA

Podczas demonstracji antyfaszystów na placu przed kościołem w Predappio atmosfera była w tym roku piknikowa: mężczyzna z gitarą odgrywał skoczne piosenki, de-

mografia – głównie 50+, trochę weteranów. Flagi: włoska, ale też Partii Komunistycznej, jest sierp i młot. Mniej liczni młodzi niosą flagi tęczone, ale, uwaga: tutaj tęcza to nie tylko symbol LGBT+, ale też pacyfizmu. Zresztą jak Włochy długie i szerokie, można było w tym roku zobaczyć na balkonach tę samą konstrukcję. Tęczowa flaga, w środku białe koło i czarny napis „pokój”. Nic w tym dziwnego, włoscy antyfaszyści potępiają każdą wojnę, w tym tę toczącą się od lutego w Ukrainie. ANPI współorganizuje zresztą wiele innych wydarzeń, których symbolem jest tęczenio-pacyfistyczna flaga.

5 listopada lewica przemaszewowała przez Rzym pod hasłem „Europa dla pokoju”, które na oficjalnych transparentach wypisane było również cyrylicą. Podobną demonstrację zorganizowali na początku października w Ravnennie. Wszędzie mottem była odezwa do zaprzestania jakichkolwiek walk: „Porzućcie broń i natychmiast zacznijcie negocjować”. Biorąc pod uwagę to, że na plakatach reklamujących wydarzenie widniała biała mapa Europy z zaznaczoną na czarno Ukrainą, nie ma wątpliwości, że włoscy antyfaszyści do rozpoczęcia rozmów pokojowych wzywają również Wołodymyra Zelenskigo.

WESOŁA NIENAWIŚĆ

Dwa dni później na placu przed kościołem w Predappio jest już znacznie poważniej. Są czarne koszule, niektórzy mają nawet na sobie pełne wersje mundurów z czasów faszystowskich. Dzień wcześniej w Salò nostalgicy Mussoliniego zebrali się na kolacji w jednej z restauracji, gdzie w ukryciu przedostał się też reporter kanału telewizyjnego La7. Przyspiewki z czasów wojennych, okrzyki ku chwale Il Duce, obowiązkowo też salut rzymski. Od faszystowskiego pozdrowienia rozpocznie się także zbiórka w Predappio. Wcześniej, na rozgrzanie, uczestnikom obchodów jeden z lokalnych restauratorów oferuje kieliszek Amaro del Duce – gorzkiego likieru twórnego podobno według mającej równo sto lat receptury. Alkoholem częstuje mężczyznę w koszulce z napisem „Komunistów zabijam za darmo”. Kiedy reporter pyta go, czy koszulka nie jest przeciwnie, bo może odstraszyć część klientów, ten odpowiada: „Nie obchodzi mnie to. Nienawiść mnie rozwesela”.

Łęskniący za Mussolinim uczestnicy obchodów nie ukrywają radości z bieżącego obrotu spraw we włoskiej polityce. Wielu z nich mieszka zresztą w Predappio i okolicach, a Bracia Włosi wygrali tu wybory ze zdecydowaną przewagą. 36 proc. poparcia, o 10 pkt proc. więcej niż w skali całego kraju. O Giorgii Meloni wyrażają się z sympatią, choć podsztytą rezerwą i dystansem.

– My kochamy Włochy – mówi restaurator od Amaro del Duce. – Kiedy rano wstajemy, jeszcze przed pocałowaniem żony oddajemy hold Duce.

Mówiąc to, wykonuje przed kamerą salut rzymski, koledzy pospiesznie dołączają. – Nie mamy nic do ukrycia – kontynuuje. – Bóg, ojczyzna i rodzina to nasze symbole. [Musimy odkręcić] całe to zamieszanie, które zorganizowała nam lewica. Migranci? Włochy to już nie Włochy, w naszych miastach nie da się wyjść na ulicę. Po godz. 21 jest godzina policyjna. Meloni? Bez naszego poparcia nie doszłaby do władzy.

Inny z uczestników obchodów dodaje: – My obdarzyliśmy ją zaufaniem. Teraz niech spłaci dług. Niech zrobi to, co ma zrobić.

Zza kamery pada pytanie o stosunek pani premier do faszyzmu. Oficjalnie odciała się od faszystowskich korzeni, zwłaszcza swoich własnych. Choć w internecie znaleźć można zapisy jej przemówień z okresu nastoletniego zaangażowania w postfaszystowską formację Alleanza Nazionale – Meloni narzeka tam, że Mussolini w innych krajach nie byłby potępiany, tylko wychwalany – ona sama wyrzekła się jakiegokolwiek formy totalitaryzmu i segregacji rasowej. Przynajmniej na potrzeby publicznej międzynarodowej. W sierpniu, w środku kampanii wyborczej, opublikowała krótki filmik, w którym potępia faszyzm w imieniu swoim i partii. Zrobiła to jednak po hiszpańsku, francusku i angielsku. Nie po włosku.

– Jasne, wysłuchaliśmy tego, co Meloni ma do powiedzenia o faszyzmie – mówi restaurator, sarkastycznie się przy tym śmiejąc i dając do zrozumienia, że to tylko gra pozorów. – Okej, zachowała dystans. Ale umówmy się. Szefem Senatu został La Russa, to gwarancja naszych interesów. Szefem Izby Deputowanych jest Lorenzo Fontana z Ligi – tak samo. Ci ludzie to dla nas gwarancja.

W materiale La7 z Predappio padnie jeszcze kilka identycznych opinii. Jeden z przepytanych mężczyzn z nadzieją mówi, że nawet jeśli Meloni dotrzyma polowy z kampanijnych obietnic, to on będzie zadowolony.

Sam marsz w kierunku cmentarza, choć spokojny, ma wyraźnie wyższą rangę niż w poprzednich latach. Kiedy uczestniczyłem w nim w 2019 r., obserwując członków neofaszystowskiej organizacji Ostatni Legion, leśną drogą za miasto szło może 200 osób. Dzisiaj jest ich dziesięć razy więcej, są też akcenty międzynarodowe. W kondukcji są hiszpańscy falangiści, faszyci z Belgii, dwóch mężczyzn niosących flagę amerykańskiej Konfederacji. Oskarżonych o propagowanie faszyzmu zostało osiem osób.

DZIENNIKARZ POD OCHRONĄ

Włoski ekosystem skrajnej prawicy w niczym nie przypomina jednak silnych, utuczonych na państwowych pieniądzech instytucji, które znamy z Polski. To raczej

drobne organizacje, rozproszone po całym Włoszech, często bez pieniędzy i jakiegokolwiek zaplecza. Swoją działalność opierają na zaangażowaniu członków, ich – często rodzinnej – pamięci o czasach faszyzmu, mobilizacji na zasadach wolontariatu. Na skalę ogólnokrajową działają tak naprawdę tylko dwa podmioty: Forza Nuova i CasaPound. Oba otwarcie odwołują się do faszyzmu, segregacji rasowej, żądają zamknięcia granic dla ludzi o innym od europejskiego pochodzeniu etnicznym. Zwłaszcza z CasaPound, nazwaną od imienia Ezry Pounda, amerykańskiego poety i piewcy faszyzmu, włoskie państwo dotychczas walczyło w sposób otwarty – również dlatego, że akurat ta organizacja stanowi zagrożenie dla porządku publicznego. Kontestują demokrację, powszechne wybory uważając za zbędną biurokrację

W marszu faszystów we Włoszech szło dwa lata temu 200 osób, teraz dwa tysiące

– są przekonani, że legitymizacja ich rządów pochodziłaby z ludu, gdyby tylko lud mógł w pełni wyrazić swoje zdanie. Regularnie wysyłają też pogróżki pod adresem swoich krytyków. Najbardziej znanym ich odbiorcą jest dziennikarz gazety „La Repubblica” Paolo Berizzi, który od ponad dekady zajmuje się włoskimi neofaszystami. Berizzi objęty jest 24-godzinną ochroną policyjną. Dla nowej pani premier i całego prawicowego internetu jest dzisiaj synonimem lewicy, kosmopolityzmu, ojkofobii, zgnilizny moralnej. Pracy nie przerwał, w ubiegłym roku opublikował kontrowersyjną książkę o tym, jak neofaszyści rozgościli się w Weronie, przejmując kontrolę między innymi nad grupami ultrasów miejscowej drużyny piłkarskiej.

Już dwa lata temu Guido Crosetto, współzałożyciel i prominentny działacz Braci Włochów, ale też krytyk Berizziego, na przykładzie dziennikarza nawoływał na Twitterze do ponownej ewaluacji decyzji o policyjnej eskorcie, stwierdzając, że ma

ją we Włoszech stanowczo zbyt wiele osób. Trzy tygodnie temu Crosetto został ministrem obrony w rządzie Giorgii Meloni.

Ale postaci interesujących pod kątem zaangażowania w ruchy faszystowskie jest we włoskim rządzie więcej. Jak chociażby Galeazzo Bignami, nowy wiceminister infrastruktury i zrównoważonego transportu. W 2005 r., w czasie swojego wieczoru kawalerskiego, dał się sfotografować ze swastyką na ramieniu. Do parlamentu wszedł w 2018 r. z list Forza Italia Silvia Berlusconi, rok później przeszedł do Braci Włochów. Wcześniej był członkiem Alleanza Nazionale, pierwszej włoskiej partii postfaszystowskiej, do której należała też Meloni. Dzisiaj radykalizmu się wypiera, twierdzi, że „faszyzm to najgorsze zło”. Oprotestowana została również nominacja na stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie pracy Claudia Durigona, który jako samorządowiec walczył o nazwanie parku w swojej miejscowości imieniem Arnalda Mussoliniego, wpływowego faszysty, brata Il Duce.

Sami Bracia Włosi mają zresztą historię ciepłych wspominków o faszyzmie. Choć Meloni odcina się dziś na wszystkie sposoby od przypisywanego jej partii radykalnego rodowodu, tajemnicą poliszynela jest, że od powstania Braci w 2012 r. kierownictwo formacji toleruje celebracje upamiętniające Mussoliniego organizowane przez partyjne doły i szeregowych członków.

W 2019 r. liczna grupa samorządowców z Braci Włochów zebrała się w okolicach Ascoli, żeby na wspólnej kolacji uczcić 97. rocznicę marszu na Rzym. Było to samo, co w Predappio: faszystowskie przyspiewki, hasła wychwalające reżim i samego Duce, pokaz pamiątek z epoki. Do szczegółów kolacji dotarł Berizzi, wszystko opisała „La Repubblica”. Komentarz partii? Nie nasza sprawa, nie odpowiadamy za to, co nasi członkowie robią w czasie wolnym.

● ● ●

A jak na wygraną Meloni zareagowały polskie władze? Mateusz Morawiecki, premier: „Osobiście cieszę się i gratuluję z całego serca zwycięstwa Giorgii Meloni. Wygląda na to, że w Europie nadchodzi czas zmiany”.

Marcin Wójcik, minister w kancelarii premiera: „Prawica wygrywa wybory we Włoszech! Kończy się nienormalność w UE. Kończą się powoli rządy manipulacji i szaleńców w KE”.

Janusz Kowalski, wiceminister rolnictwa: „Prawica włoska wygrywa! Prawica w UE rośnie w siłę. Odzyskamy UE dla narodów państw członkowskich UE. Pokonamy komunistów, lewactwo i lobby LGBT – wszystkich, którzy niszczą naszą cywilizację”. ●

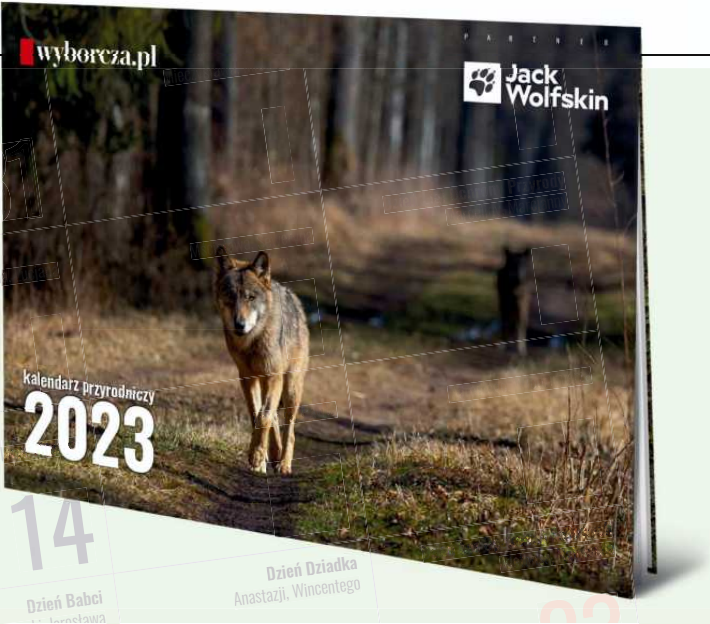
WE WTOREK W „WYBORCZEJ”

CALENDARZ PRZYRODNICZY 2023

ze zdjęciami Adama Wajraka

PARTNER:  **Jack Wolfskin**





CZUŁE SŁÓWKA

Drewno

Barbara Nowak: „Wyrzućmy do kosza bzdury o klimacie, eksperymenty z płciami. Wolność, a nie niewola jest nam dana od Boga”.

Michał Rusinek*

W sierpniu tego roku Lasy Państwowe ogłosiły konkurs pod tytułem „Drewno jest z lasu”. Do rozdania było 11 milionów złotych. Można było wygrać po 100 tys. na remont drewnianych obiektów „posiadających szczególne walory kulturowe i społeczne” i służących lokalnym społecznościom. Organizator określił w regulaminie konkursu jego cele, a więc promocję gospodarczej funkcji lasu i „polskiego modelu trwale zrównoważonej gospodarki leśnej”, promocję drewna i promocję obiektów drewnianych, a przede wszystkim – promocję Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe.

Można się czepiać, że walory się „ma”, a nie „posiada”, i można zadawać pytania, na czym polega „polski model” gospodarki leśnej i czym się różni od modeli niepolskich, no i można na różne sposoby szydzić z tytułu konkursu, ale to już zostawiam większym szydercom niż ja. Można też baczniej przyrzyć się informacjom zamieszczonym na stronie internetowej organizatora.

„Drewno – niezwykle surowiec i synonim ekologicznego stylu życia” – tak brzmi pierwsze zdanie informacji o konkursie. Po pierwsze, raczej nie synonim, ale symbol, ale te pojęcia często się mylą specjalistom od marketingu i PR-u. Po drugie, drewno jest ekologiczne tylko wtedy, kiedy jego pozyskanie nie naruszyło ekosystemu. Po trzecie, nie o „styl życia” chodzi organizatorom, ale o wartość kulturową, ze szczególnym uwzględnieniem sakralnej, bo zaraz przypominają, że z tego materiału zostały wykonane „najcenniejsze polskie zabytki i obiekty kultu”. Wymienione zostają następnie wyłącznie obiekty kultu: „ołtarz Wita Stwosza, małopolskie kościoły UNESCO czy częstochowska ikona Matki Bożej”, stanowiące – zdaniem Lasów Państwowych – „fundament narodowego dziedzictwa”. Chodzi tu z pewnością o Wita Stwosza, czyli Veita Stofsa, niemieckiego rzeźbiarza, którego imię zawsze zapisywano przez jedno t. Być może to zwykła literówka, a być może czynność pomyłkowa: któż z nas nie kochał się skrycie w 4-krotnej mistrzyni świata, 6-krotnej mistrzyni Europy i 8-krotnej mistrzyni NRD w łyżwiarstwie figurowym Katarinie Witt?

W każdym razie nie ma się co dziwić, że adresatorem tak sprofilowanego konkursu oprócz samorządów, organizacji pozarządowych i zakładów opieki zdrowotnej są przede wszystkim parafie. I tym bardziej nie ma się co dziwić, że 85 proc. laureatów konkursu to właśnie parafie katolickie, domy zakonne, diecezje, archidiecezje, kościelne fundacje i stowarzyszenia. Łatwo obliczyć, ile to jest 85 proc. z 11 milionów. Jacek Dehnel uważał na Facebooku, jak wiele nazw beneficjentów konkursu ma drewniane konotacje: parafie św. Józefa (z zawodu cieśli), parafia Podwyższenia Krzyża Pańskiego, Centrum Duchowości Archidiecezji Częstochowskiej „Święta Puszcza”, a także instytucje świeckie, jak gminy Jodłownik czy Laski. Być może był to dodatkowy klucz doboru laureatów, których nazwy doskonale komponują się z promocyjnymi celami konkursu.

To jednak tylko domysły. Faktem jest, że co najmniej jeden z celów miał charakter jawnie ekologiczny. Tymczasem beneficjentami konkursu były głównie instytucje kościelne, choć polski Kościół ekologicję traktuje jak wroga i wspólnie z prawicowymi publicz-

stami posługuje się deprecjonującym pojęciem „ekologizmu”. Oczywiście, wyraz ten istnieje w słownikach, a w jego znaczeniu trudno znaleźć coś niepokojącego. To, po pierwsze, XX-wieczny kierunek filozoficzny, stanowiący rozwinięcie humanizmu o „nowe przyrodnicze sumienie człowieka”, po drugie, pogląd zakładający możliwość wpływu środowiska społecznego na cechy psychiczne i zachowanie człowieka, a także, po trzecie, działania promujące ekologię. W środowiskach prawicowych ekologizm oznacza co innego. Jest mianowicie pojęciem ukutym na takiej samej zasadzie jak np. „lewactwo”, czyli jeden z wielu cepów służących do okładania tych, którzy mają inne poglądy – nazywane pogardliwie ideologią. W przypadku cepów nie są ważne ani żadne słowniki, ani uzusy. Cepy mają służyć do walki a to z „tęczową zarazą”, a to z „neomarksizmem”, a to z „kłamstwem klimatycznym”, czyli kłamstwem założycielskim ekologizmu. Ten ostatni jest z gruntu zły, bo lewacki, a wszystko, co lewackie, jest złe. I już. Trzy lata temu arcybiskup Jędraszewski mówił, że „w tym całym ekologizmie” chodzi o zburzenie odwiecznego porządku świata stworzonego przez Boga i podważenie biblijnych słów o uczynieniu sobie ziemi poddanej. I na nic encyklika Franciszka „Laudato si” z 2015 roku, w której papież przestrzega przed „grzechem ekologicznym”, polegającym na niszczeniu przez człowieka dzieła Stworzenia. Ba, na nic nawet słowa Jana Pawła II, który w 2001 roku mówił o konieczności „nawrócenia ekologicznego” i tłumaczył, że z biblijnej frazy nie wynika, że człowiek jest panem świata, ale że jest jego pasterzem i wobec natury – rozumianej jako dzieło Boże – ma pełnić funkcję służebną; za naturę powinien być po prostu odpowiedzialny.

Wierna żołnierka arcybiskupa Jędraszewskiego, małopolska kuratorka oświaty Barbara Nowak, napisała niedawno na Twitterze: „Niedługo Święto Wszystkich Świętych. Zaprosimy ich do domów, na polskie ulice. Niech oczyszczą je z niewoli ekologizmów, hasel mordowania najsłabszych, demoralizowania ludzi. Wyrzućmy do kosza bzdury o klimacie, eksperymenty z płciami. Wolność, a nie niewola jest nam dana od Boga”. Nawołuje więc ona do walki z niewolą, jaką narzuca nam między innymi ekologizm – a nawet ekologizmy, bo widocznie jest ich kilka. Polska będzie prawdziwie wolna dopiero wtedy, gdy polskie domy i ulice polskich miast będą wolne od rozmów o korekcie płci i katastrofie klimatycznej, czyli ekologii. Do walki o tę wolność kurator Nowak proponuje zaprząć świętych Kościoła katolickiego.

Po pierwsze, nie wiem, czy dadzą się zwerbować ci święci, pod wezwaniem których kościoły, kapliczki i klasztory są właśnie remontowane za miliony z konkursu Lasów Państwowych. Konkursu, który promował przecież „ekologiczny styl życia”. Dodajmy – zważywszy na beneficjentów konkursu – że raczej nie styl życia doczesnego, lecz wiecznego. Po drugie jednak, do walki z ekologią nie są wcale potrzebne istoty o odmiennym statusie ontologicznym. Konkurs pokazał, że wystarczą partyjni urzędnicy, którzy pieniądze na ekologię przekazują instytucji z ekologią walczącej. Instytucji, która jest i tak niebywale hojnie wspierana przez państwo, więc zasilanie jej dodatkowymi dotacjami jest – metaforycznie mówiąc – jak wożenie drewna do lasu. Śmiałościę się, szydercy, z idiotyzmu nazwy konkursu „Drewno jest z lasu”? Wcale nie jest idiotyczna: trafnie opisuje rzeczywistość. To jej autorzy śmieją się teraz z nas wszystkich. I wtóruje im zapewne kuratorka Nowak. ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Prawdziwa niepodległość

Określaj siebie przez to, co kochasz, nie przez to, czego nienawidzisz.

Marcin Matczak

Istnieje patriotyzm nowobogacki. Niepewny swojego statusu, jak nuworysz, który niby się dorobił, ale ciągle musi podkreślać, jaki jest dorobiony. Nowobogaccy patrioci odmieniają niepodległość przez wszystkie przypadki, szczególnie w okolicach 11 listopada. A im bardziej mętna ta niepodległość, tym lepiej dla ich celów. Nowobogacki patriota uwielbia bowiem być sfrustrowany, a wiadomo przecież, że nic tak nie napędza frustracji jak zaciemnienie pojęć.

Weźmy „wstawanie z kolan”. Jest świetne, bo nigdy nie wiadomo, czy już całkiem wstaliśmy. Nie wiadomo, czy jesteśmy jeszcze zgięci wpół, czy już wyprostowani, i dokładnie o to chodzi, bo ciągle jest do czego dążyć. Tak samo z „Polską w ruinie”. Nawet jak co nieco już się odbudowało, pojęcie ruiny jest tak mętne i pojemne, że zawsze jakaś ruina się znajduje. Jak już z kolanami lepiej, z szyją gorzej. A to Polska zrujnowana jarzmem unijnym, które wisi nam u szyi, a to polska dziecinność zrujnowana dawaniami w szyję. I tak w koło, Jarosławie.

Podobnie jest z pojęciem „smoleńskiej prawdy” czy tam „kłamstwa” – już nie wiadomo przecież, co lepsze, a może gorsze. Przez dwanaście lat byli tego prawdokłamstwa coraz bliżej, ale nie dopuścili, by prawda ich wyzwoliła. Ciągłe się zbliżali, może nawet ją minęli. To prawdokłamstwo było ciągle niezrealizowane, obiecane, a więc mętne. Nawet teraz, po raporcie komisji, jest majaczące. Czy to całe kłamstwo pełne półprawd, czy półprawda pełna kłamstw? Niby jasne jest, że zamach był. Ale dalej jest mętne, kto ten trotyl podłożył, bo przecież wiadomo, że – mimo podejrzeń – nie Gmyz.

Mętna jest „reforma sądów”. Ciągłe niezrealizowana, mimo siedmiu lat reformowania. Mętna jest „sądowa dekomunizacja”. Tak jest zdefiniowana, albo raczej niezdefiniowana, że nigdy nie może się udać. I o to chodzi. Jak już nie będzie ani jednego rzeczywistego członka PZPR w sądach, trzeba będzie pogonić sędziów mianowanych albo choć wykształconych w PZPR. Jak i tych się usunie, to żeby dekomunizacja nie zginęła, będzie się gonić sędziów, których uczyli sędziowie wykształceni w PRL, a potem dzieci tych sędziów wykształconych przez sędziów wykształconych w PRL, a jak się skończy – to ich wnuki, czyli szóste pokolenie SB. I o to chodzi – by pojęcia budzące frustrację były jak niewyczerpana studnia.

Ale najgorzej, jak zmętniają niepodległość, jak czynią ją zakłamaną, żeby zamiast satysfakcji budziła frustrację. Bo przecież ciągle jest zabierana (nie wiadomo przez kogo). Stąd to śpiewanie w niepodległej już Polsce: „ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”. Cóż to za beczelność wobec Boga i jego papieża, który przecież Ducha Świętego na tę ziemię skutecznie przywołał! Cóż to za niewdzięczność niewytłumaczalna!

Bo to niepodległość unikatowa, zamazana, niby polska, ale nie do końca. Z obrzydzeniem patrząca na to, co obce, ale jednak niepodległość trochę angielska, brexitowa: taka „independence”, a więc raczej niezależność. Od racjonalności, a nieraz i od myślenia całkiem. Od jakiegokolwiek standardu, szaleńcza niezależność liberum ve-

to, która tylko wtedy czuje się spełniona, gdy niszczy, nie buduje. Niepodległość od inności – bo w tej wolnej Polsce, której Bóg ciągle nie chce nam wrócić, wszyscy mają być wolni, byleby byli tacy sami.

Niepodległość, która nie może niczemu podlegać, a więc arbitralność i dowolność: niepodlegająca złożonym obietnicom, zawartym paktom i przyrzeczeniom. Może dlatego ta zakłamaną niepodległość to niepodległość prawu, które wspólnie stanowimy, a więc niezależność od wspólnie ustalonych wartości? Niepodległość od porządku, czyli chaos. Niepodległość niepodlegająca nawet autorytetowi języka, który jest utrwalony tradycją – bo zamach na pojęcia niszczy i tę nikłą stabilność. W ramach tej niepodległości im bardziej przegrywamy, tym bardziej zwyciężamy, a najbardziej zwyciężamy wtedy, gdy przegrywamy 1 do 27. Porażka staje się triumfem, wiedza ignorancją, a wojna pokojem.

Synonimem zamazanej niepodległości jest dowolność, nie samostanowienie. Bo nie o samostanowienie w niej chodzi, ale o samoprzewracanie raczej, czy samozniszczenie nawet.

Niepodległość, która buduje, jest przecież niebezpieczna, bo podlega osądowi i ocenie, czy się udało. Wielkie niepodległościowe projekty są najlepsze, gdy są niezrealizowane: na papierze albo w polu. Idealna niepodległość *in statu nascendi*, jak wielki łuk triumfalny, który nigdy nie powstaje. Małostkowa mania wielkości.

Tak sobie myślę, że by tę prawdziwą niepodległość uratować od zbezczaszczania, trzeba przyjąć, że są dwie – zakłamana niepodległość ludzi, którzy dokonują gwałtu na naszym języku, i ta prawdziwa niepodległość, którą trzeba ocalić.

Jaka jest ta prawdziwa niepodległość? To pewna siebie zależność od rozumu, standardu, prawa, a także odwaga budowania. To niepodleganie tej wyniszczającej potrzebie, by określać siebie przez to, co kochasz. Niepodległość wobec potrzeby hejtu – i tego kierowanego do rodaków, i tego kierowanego na zewnątrz. Niepodległość od swojego ego, a więc zdolność, by otworzyć się na potrzeby innych. Niepodległość od nاپuszczania jednych na drugich – niezależność od tego fałszywego poczucia zwycięstwa, gdy się kogoś zgnoi.

Prawdziwa niepodległość to nie separacja, ale bliskość przyjaciół. U nas niezależność jest często rozumiana jako niepotrzebowanie innych, złe pojęta autarkia. Taka niezależność zapomina, że autarkia w sąsiedztwie Rosji to autarkia kryły polykanego przez pletwa-ła błękitnego. Dzięki Ukrainie widzimy, że niepodległość zależy od pomocy i wsparcia innych. Ukraina skłócona ze wszystkimi, biorąca wzór z Polski, niepokłóconej tylko z Bałtykiem, nie była by niezależna.

Wreszcie prawdziwa niepodległość to także wolność od krętaczy, o których pisał Tuwim w „Kwiatach polskich”. Wolność od zaciemnionych pojęć, wolność od niejedyności i nieprawdziwości słów. Bo od zaciemnienia języka do zaciemnienia rzeczywistości droga krótka. A po ciemku trudno zmierzać w dobrą stronę. ●

***Marcin Matczak** – profesor nauk społecznych, zajmuje się filozofią prawa, teorią konwencji społecznych, filozofią języka i teorią interpretacji. Wykłada na UW

Mały Książę kocha Trojandę

Ukraina miała króla, leleka zjada żaby, a najbliższy wulkan jest tylko 600 kilometrów od Warszawy.

Chcieliśmy uczyć ukraińskie ośmiolatki, sami dostaliśmy lekcję

Na przełomie lutego i marca naszła nas myśl.

Znamy rosyjski, dogadamy się po ukraińsku, pracujemy z domu, więc dwie, trzy godziny tygodniowo na „coś dla nich” można wyrwać. Tylko na co? Odpowiedź pojawiła się, gdy do klasy naszego ośmioletniego synka w jednej z warszawskich szkół dołączyło czworo uchodźczych dzieci. A nam się przypomniało, że wychowawczyni już dwa lata temu szukała rodzica, który czytałby podczas przerwy śniadaniowej. Połączyliśmy kropki. Będziemy czytać i tłumaczyć trudniejsze słowa, może nawet przyjdziemy z prezentacją i lekturę poprzedzimy rozmową. Po polsku, rosyjsku i ukraińsku.

Pozostało wybrać książkę dla ośmiolatków. Zaczęliśmy od własnych pólek. Może przygody Doktora Dolittle albo „Chłopcy z Placu Broni” lub coś z „Magicznego drzewa” Andrzeja Maleszki? Były one ważne dla naszych dzieci, ale w każdej widzieliśmy teraz haczyki mogące rozedrzyć świeże rany. Tę najlepszą podsunęła nam najstarsza córka. A „Mały Książę”? – zapytała dwunastolatka i uznaliśmy, że to świetna propozycja po trzykroć. Po pierwsze, to lektura modułowa – krótkie rozdziały zakończone puentą, w sam raz na kwadrans, no i nic się nie stanie, jeśli dziecko jakiś pominie. Po drugie, fabuła Saint-Exupéry, choć obfituje w trudne tematy, nie pozostawia czytelnika samego, razem z nim płacze autor. A gdy już lzy się wyleją, wspólnie się śmieje. A po trzecie i najważniejsze – jest wpisane w tę książkę partnerskie podejście do dziecka.

W klasie wśród dwudziestu pięciu znanych twarzy cztery nowe. Ihor i Wład, Gala i Dasza. Gdyby jakiś rodzic nie znalazł koleżanek i kolegów swojej latorośli, nie umiałby od razu ich wyłuskać. W minionych latach, gdy ukraińskie dzieci zaczęły pojawiać się w naszych szkołach, dało się jeszcze rozpoznać je po wyglądzie. U dziewczynek rzucał się w oczy sznyt ruskiej uczennicy, włosy związane w ogonek gumeczką i nie żęby z wielką kokardą, ale na przykład pluszowymi kulami, postrzępiona grzywka i złote kolczyki. W szatniach widywało się też lakierowane buciki z błyszczącymi klamrami. Chłopcy mieli materiałowe spodnie, ni to od dresu, ni to džinsowe i sweterki bliskie słynnym tureckim. A bywało, że wystarczyło spojrzeć na buzie albo sylwetki. I piszemy to w pełni świadomie, bowiem męska część naszego duetu jest Podlasiakiem i gdy się weseli, na twarzy maluje mu się kartoszka smile. Jednak po 24 lutego coraz więcej było typów urody innych niż te znane też z polskich Kresów. Pojawiły się wyższe niż statystyczna Polka kobiety z Charkowszczyzny z równie wysokimi dziećmi albo jasnowłosi, trochę jak Skandynawowie, półprzezroczystości, ni to rudawi, ni to blond przybysze spod Odessy czy Mariupola. Widywało się osoby o ciemniejszej o ton karnacji, czarnych włosach i orlich nosach, jakby z Półwyspu Iberyjskiego. Na ulicach odkrywaliśmy, jak innym od nas narodem, bardziej urozmaiconym etnicznie, są Ukraińcy.

U naszych nowych dzieci kolejne różnice pojawiły się podczas pierwszych rozmów. Dasza, z wsi pod Tarnopolem, opowiedziała o sobie po ukra-

ińsku i otwierała szeroko oczy, gdy słyszała rosyjskie słowo, bo zwyczajnie nie rozumiała. Gala, drobniutka szatynka, mówiła z oporami. Kiedy przeszła na rosyjski, skrupulatnie wszystko wypunktowała: była z Charkowa, pokazała miasto na mapie, lubiła literaturę, miała siostrę i brata.

Ihor i Wład pochodzili z Kijowa, pierwszy mówił po ukraińsku, drugi po rosyjsku. Obaj lubili piłkę oraz gannianego i dziwili się, że bieganki w naszej szkole są źle widziane. Wład okazał się też przyzwyczajony do innego sposobu prowadzenia lekcji. Przybiegał pod tablicę, kładł się na podłodze i kilka razy zrywał, żeby się tulić. Kiedyś na fali tych emocji wyciągnął telefon. „To moja młodsza siostra w naszym domu w Kijowie”. Śześcio-, góra siedmioletnia dziewczynka. Stoi w salonie, w tle telewizor. Na szyi ma zawieszony, wyraźnie jej ciężący, karabin maszynowy.

Tylko Gala orientowała się na mapie i umiała coś powiedzieć o historii swego kraju. To podsunęło nam myśl, aby wybierać z „Małego Księcia” słowa kojarzące się z Ukrainą i Polską, a potem je omawiać.

Zaczęliśmy od króla. Uznaliśmy, że lepiej będzie pokazać kogoś z polskich monarchów, bo Ukraina – jak sądziliśmy – nie miała królów. Ale wystarczyło chwilę poszukać i wszyscy wspólnie poznaliśmy Daniela Halickiego, pierwszego i jedyne go króla Rusi. Jego imię nosi teraz jedna z brygad walczących o niepodległość Ukrainy.

Takie przerwienie mostów od średniowiecza do współczesności spodobało się dzieciom. Ale jeszcze bardziej – historia wulkanów. Na planecie Małego Księcia były one miniaturowe, a bohater czyścił je, aby nie stanowiły zagrożenia. To okazja do pokazania naszej Ostrzycy, wygasłego wulkanu na Pogórzu Kaczawskim, oraz również wygasłych, ale bardziej imponujących wulkanów krymskich. Jednak najbardziej dzieciaki zainteresował twór, o którym nikt z nas nie miał wcześniej zielonego pojęcia – wulkaniczek, niezwykle relikty przyrody, czynny ukraiński wulkan. Co prawda to wulkan błotny i nie ziośnie lawą, a raczej pluje szlaczem, ropą i ozokerytem, za to reaguje na zjawiska sejsmiczne w promieniu aż 6 tys. km. Okolice Iwano-Frankiwska, gdzie się znajduje, Rosjanie ostrzeliwali rakietami i wulkaniczek bryzgał błotem, jakby ze złości. Dzieci słuchały tego niczym baśni.

Z zainteresowaniem obejrzały wideo ze stacji kosmicznej, skąd widać piętnaście wschodów i zachodów słońca na dobie, jako ilustrację do wschodów i zachodów z „Małego Księcia”. Przy okazji

pokazaliśmy im zegary na kijowskim dworcu i warszawskim Pałacu Kultury. Ale samej książki słuchały już w kratkę i klasa podzieliła się na trzy grupki: zainteresowanych, okazujących i tych, którzy chcą do toalety. Za to wszystkich wyjątkowo cieszyły gify, a więc ruchome obrazki wstawiane do prezentacji. Hitem nie stało się wcale nagranie z USG z ziewającym płodem, jako rozwinięcie wątku z „Małego Księcia”, ale grafika z ziewającym kotem.

Aż między Galą i Daszą doszło do rywalizacji językoznawczej.

Zaczęło się od nagrania, na którym aktor czyta po śląsku „Lokomotywę” Tuwima: „Damfmaszyna stoi na glajzach...”. Chcieliśmy pokazać, że i w Polsce są inne języki. Była też druga motywacja. Synek opowiedział nam, że na przerwach ktoś krzyczał do ukraińskich chłopców „Putin!”. Zamierzaliśmy więc użyć analogii – pokazać, że jeśli ktoś w Rudzie mówi po śląsku lub w Hajnówce z białoruska, to nie oznacza, że nie jest Polakiem.

Po filmiku ze słonsko gadką na tablicy wyświetliliśmy fragment „Lokomotywy” w przekładzie na ukraiński Iwana Małkowycza. O przeczytanie poprosiliśmy Galę, która z zapalem wyszła zza ławki. Nie sylabizowała, choć ukraiński nie był jej pierwszym językiem, czytała płynnie. Już po kilku wersach Dasza machała ręką i wykrzykiwała, że tam jest błąd. „Pomilka, znowu pomilka!”. Przygotowując prezentację, pośpieszyliśmy się i zamiast skopować utwór, wstawiliśmy zrzut z ekranu, ucinając w linijce „słon i czotiri żirafi” (słoni i cztery żyrafy) ostatnie „i” oraz niżej w „powno-pownis’ko bananiw” (pełno, pełniaśko bananów) ostatnie „w”. I na to zwróciła uwagę Dasza.

Tego samego dnia mieliśmy do przeczytania rozdział IX, który rozpoczyna się od wyjaśnienia, jak Mały Książę opuścił swoją planetę. Miały mu w tym pomóc wędrowne ptaki, a zatem mandriwni ptachi. Ale dzieci ukraińskie nie знаły tego zwrotu, więc jako przykład podaliśmy bociany, symbol naszej Europy. Sądziłyśmy, że po ukraińsku, tak jak po rosyjsku, ten ptak będzie się nazywał aist; kiedyś w Mińsku nawet produkowano taki rower. Chłopcy i Gala zrozumieeli od razu, ale Dasza znów zrobiła wielkie oczy. Kiedy usłyszała, że chodzi o dużego, białoczarne go ptaka, zakładającego gniazda na słupach energetycznych i jedzącego żaby, zakrzyknęła „leleka!”.

Róża, ukochała Małego Księcia, po ukraińsku, inaczej niż we wszystkich słowiańskich językach oraz przeważającej większości języków europejskich, nie powstała od łacińskiego „rosa”. Róża u naszych

wschodnich sąsiadów zwie się trojanda. „Jak imię księżniczki” – zgodziliśmy się z uczniami. Za to ukraińska róża – dowiedzieliśmy się od uchodźczych dzieci – to ani róża, ani nawet z rosyjskiej „morda” i jak w „Przedwiośniu” źródło językowych lapsusów, ale po prostu nasza malwa. Już w domu doczytaliśmy o trojandzie oraz jej greckiej etymologii i o róży, a więc malwie, która, jak się okazało, należy do rodziny słazowatych, a jej bliskim kuzynem jest wielki baobab. Nie inaczej, to właśnie drzewo, z którym Mały Książę walczył na śmierć i życie, bowiem zagrażało nie tylko planecie, ale też bezpieczeństwu jego Trojandy. Nie dość na tym, do famillii malwy należą także kakaowce.

Z tą wiadomością wróciliśmy do klasy i u progu prawosławnej Wielkanocy zapowiedzieliśmy dzieciom, że jedziemy na Podlasie, a tam wokół domu już wykielkowały malwy. Któreś zastanawiało się, czy malwa może smakować jak kakao. Prawosławnym i grekokatolikom złożyliśmy życzenia i wszystkim obiecaliśmy spróbować liści.

Malwa nie smakuje jak kakao, o co od razu zapytały dzieci, gdy się znów zobaczyliśmy. Ale spotkanie przyniosło inne ośnienia. Szczur to po ukraińsku paciuk, a nie żadna rosyjska krysa, i wracając, zaśmiewaliśmy się, że Trojanda zyskała nazwisko i od teraz będzie Trojandą Paciuk.

Oddzielny tekst należałby się wychowawczyni. Nauczycielka, którą od emerytury dzieliły bardziej miesiące niż lata, okazała się belfrem doskonałym. Niezle знаła rosyjski, od dwóch lat przechodziła przyspieszony kurs z elektronicznych narzędzi, więc nie tylko umiała się porozumieć z nowymi uczniami, ale też sprytnie włączyła je do klasy. Nie na siłę ani też poprzez samą zabawę, tylko na równi z równym, jak w „Małym Księciu”, gdzie ani pilot, ani bohater nie zapominają, że jeden jest dorosłym, a drugi dzieckiem, a mimo to pomagają sobie, uczą jeden od drugiego i zaprzyjaźniają.

Była też jakaś mądrość nauczycielska w samym zaaranżowaniu miejsc w klasie. Jeden z większych rozrabiających siedział w pierwszej ławce z Galą i stał się jej adwokatem; tłumaczył, a przynajmniej myślał, że tłumaczy, to, co mówiła po rosyjsku, pomagał otworzyć książki na odpowiedniej stronie, co jakiś czas głaskał po drobnej głowce i rozśmieszał. Ona zaś – to się zwyczajnie czuło – była bardzo uzdolnioną osobą i jej szybkość zapamiętywania i kojarzenia mogły, poprzez ławkową osmozę, odcisnąć ślad w chłopcu.

Zbliżyły się wakacje. Polskim dzieciom pachniały już, jak w szkolnym wierszu Kubiaka, „lasy zielone, rzeki błękitne”, ale przed ukraińskimi nie było tak świetlistych perspektyw. Najczęściej czekały ich dwa miesiące na osiedlowym placu zabaw, ale bywało, że znów się przeprowadzały, zwykle do innej dzielnicy Warszawy albo innego regionu Polski. Ihor i Wład jeszcze nic nie wiedzieli, ale Gala ostatnie dwa tygodnie była smutna i kilka razy nie udało się jej powstrzymać łez. We wrześniu do klasy trzeciej wróciła tylko miłośniczka kotów i kwiatów, opiekunka ukraińskiej mowy, wesoła Dasza. ●

Marta Panas-Gowska, Andrzej Goworski

• **Pomnik Małego Księcia w Kijowie autorstwa Konstantina Skretuckiego**



NASZA EUROPA



Bono:

JAK PRZESTAŁEM SIĘ BAĆ
I POKOCHAŁEM ATOM

– Jeśli chodzi o mój aktywizm działacza, przeżyłem otrzeźwienie. Uświadomiłem sobie, że może mam do tego niewłaściwą pleć, niewłaściwe pochodzenie etniczne, a ostatnio także niewłaściwy wiek. Że facet taki jak ja jest niekoniecznie wiarygodny, a na pewno irytujący – wyznaje lider U2.

FOT. BEN STANSALL / AFP

Martin Scholz

WELT

Spośród wszystkich postaci popkultury Bono – dla przypomnienia młodszymi czytelnikami: lider i wokalista zespołu rockowego U2 – poznał pewnie największą liczbę wpływowych ludzi na tym świecie. Od Billa Clintona i George’a W. Busha, kiedy obaj sprawowali urząd prezydenta USA, przez Billa Gatesa i Steve’a Jobsa, papieża Jana Pawła II i Franciszka, po Nelsona Mandelę czy Warren’a Buffetta. Perswadował różne sprawy czterem kolejnym prezydentom Francji i dwójgu kanclerzom Niemiec. Robił to w ramach swojej roli aktywisty, apelując o wsparcie w walce ze skrajnym ubóstwem i AIDS w Afryce. W jego nowej, liczącej 670 stron autobiografii „Surrender” opisy możliwości tego świata zajmują sporo miejsca. Ale ze swoich „spotkań na szczycie” Bono ma też jedno nieprzyjemne wspomnienie: rozmowę z Władimirem Putinem.

W ogóle „Surrender” jest w dużej mierze o zwątpieniu w siebie – i obawie przed wypadnięciem z obiegu, czyli także utratą znaczenia. W autobiograficznej książce Bono organizuje swoje życie w 40 rozdziałów, z których każdy jest zatytułowany jedną z piosenek U2. Nigdy dotąd nie widzieliśmy tego gwiazdora dokonującego takiej samokrytyki. Czy zespół założył jedną ze swoich firm w Holandii ze względów podatkowych? „Posunęliśmy się za daleko”. Kto namówił koncern Apple do tego, by pół miliarda użytkowników iTunes dostało nowy album U2 na swoje smartfony – za darmo, ale bez pytania? „To moja wina”. Tak jak wybuchy wściekłości na scenie (raz nawet rzucił w publiczność fragmentem perkusji, a gitarzystą, The Edge, publicznie go za to spoliczkował). Gwiazda rocka i aktywista, filantrop i ekscentryk, family man i ego-

tyk, obywatel świata i mieszkaniec Dublina – które oblicze Bono jest prawdziwsze?

...

Autobiografię zaczyna pan jakby od końca: od ośmiogodzinnej operacji serca w szpitalu w Nowym Jorku w Boże Narodzenie 2016, kiedy w pańskiej aorcie utworzył się jakiś pęcherzyk...

– Bo to wtedy pomyślałem: „Tym razem było blisko”.

Opisuje pan to doświadczenie dość literacko, z surrealistycznym wręcz zacięciem, to brzmi najpierw jak opowiadanie Stephena Kinga, ale potem już bardziej jak Samuel Beckett, wtedy, gdy snuł rozważania o końcu wszystkiego.

– Ambitnie podszedłem do tych wspomnień, chciałem poruszać się między potocznym językiem Dublina a trochę wyższym rejestrem językowym irlandzkiej angielszczyzny. James Joyce traktował język angielski, jakby to była guma do żucia: przeżuł ją i wypluł, że tak powiem. Samuel Beckett zaś posiekał go na drobne kawałki. Był minimalistą. Zawsze lubiłem bawić się obiema tymi wariacjami.

Rok po operacji, polegającej m.in. na otwarciu klatki piersiowej, wrócił pan na trasę koncertową. Szybko.

– Nasz gitarzysta The Edge często mówi, że traktuję swoje ciało jak niedogodność. W przeszłości Bóg co jakiś czas wbijał mi łokieć w żebra – jako ostrzeżenie, żeby zwolnić, żeby cieszyć się zapachem kawy, póki mogę. Na razie nie zastosowałem się do tej rady. Ale pracuję nad tym. Dziś czuję się trochę sprawniejszy niż 25 lat temu. I postanowiłem, że skupię się bardziej na U2, a mniej na aktywizmie.

W książce jest pan często dość dla siebie surowy. Ta samokrytyka obejmuje m.in. „częściowo arogancką postawę” jako aktywisty, pisze pan, że miał „syndrom białego mesjasza”. I dalej: „Musi budzić podejrzenia, gdy gwiazdy rocka, supermodelki czy aktorzy lub miliarderzy ustawiają się w kolejce, by zrobić sobie zdjęcie z chorymi lub umierającymi ludź-

mi”. Używa pan na to określenia „poverty porn”. Co się nagle zmieniło?

– Jeśli chodzi o moją formę aktywizmu, przeżyłem swego rodzaju otrzeźwienie. Uświadomiłem sobie, że może mam do tego niewłaściwą pleć, niewłaściwe pochodzenie etniczne, a ostatnio także niewłaściwy wiek. Że facet taki jak ja jest niekoniecznie wiarygodny, a na pewno irytujący. Jako aktywista nie zamierzam się poddawać, ale będę się kręcił już raczej tylko za kulisami, a nie na wielkiej scenie.

Samokrytyka w tej książce idzie dalej, obejmuje relacje rodzinne i przyjaciół. Nie miał pan wątpliwości, czy to nie za dużo publicznego załatwiania prywatnych spraw?

– No, mówią, że jestem dla siebie twardy. Powiedziałbym, że byłem też twardy dla wszystkich innych. Trzeba uważać na ludzi takich jak ja, ludzi, którzy mają dobre maniere, mówią łagodnie, ale noszą za plecami duży kij. To taka moja wariacja na temat znanego cytatu...

Z Theodore’a Roosevelta, który opisywał tak swoją politykę zagraniczną: dyplomacja tak, ale wciąż demonstrując siłę.

– Mów cicho i noś duży kij. Kolejne wspomnienie zdanie, które mnie inspirowało, napisał Nietzsche: jeśli chce się stworzyć coś wielkiego, trzeba podążać przez długi czas w jednym kierunku. Tak jest niezależnie od tego, czy chodzi o piosenkę, książkę czy drużynę piłkarską. Nie mam tatuaży, ale gdybym kiedyś się zdecydował, to pewnie na to hasło. Chcę przez to powiedzieć: było wiele kierunków, które obrałem w życiu i które sporo ode mnie wymagały. Ale wymagały też wiele od innych osób z mojego otoczenia. Napisałem tę książkę także po to, by się im wytłumaczyć.

Podczas jednej z moich nieobecności w domu jedno z moich dzieci wskazało kiedyś na samolot na niebie i powiedziało komuś: „Mój tata pracuje w jednym z nich, leci na stadion. Ale on nie jest piłkarzem”.

Książka jak spowiedź, terapia czy jedno i drugie?

– To autoportret piosenkarza, autora tekstów i aktywisty, chuligana, megalomana i pielgrzyma. Czy ktoś pamięta jeszcze czasy, kiedy w szkołach trzeba było dokonywać sekcji żab? Już tego nie robią. Ja w pewnym sensie dokonałem czegoś podobnego na sobie. Jedni oczekiwali klasycznej rock’n’rolowej autobiografii, inni woleli podręcznik dla aktywisty typu: jak skłonić rządy do działania. A ja sobie dodałem historię miłości. Do mojej żony Ali.

Znacie się od czasów szkolnych, pobraliście się w 1982 r., gdy mieliście nieco ponad 20 lat, dziś macie czworo dorosłych dzieci. Taka stałość to rzadkość w branży rozrywkowej.

– Zawsze byłem pod wrażeniem pisarzy latynoskich, tych spod znaku realizmu magicznego. U nich jest sporo takich związków na zawsze. Irlandczycy są w pewnym sensie magicznymi realistami z natury. Kiedy piszę o swojej młodości, szukam naiwności, którą wtedy miałem.

Wracając do pana aktywności politycznej: brał pan udział w kampaniach na rzecz pomocy Afryce w czasie prezydentury Busha, udawało się panu znajdować wspólny język z ludźmi w konserwatywnych stanach, tych samych, które potem głosowały – i nadal głosują – na Trumpa. Kiedy Trump był prezydentem, tylko raz spotkał się pan przelotnie z jego zastępcą, Mikiem Pence’em. Czy dwupartyjny kompromis w jakiegokolwiek sprawie stał się niemożliwy?

– Żyjemy w epoce postprawdy, ostrej walki za pomocą kłamstw. Nazwanie tego powrotem do walki na pięści nie jest trafne, bo nawet bokserzy mają zasady. Ta polaryzacja wymaga od ludzi podpisywania się pod całymi pakietami skrajnych poglądów, bez żadnych wątpliwości czy niuansów. Nie mam na myśli konserwatystów, mówię o ludziach, którzy nie mają już absolutnie żadnego szacunku dla prawdy. To jest nowy gatunek polityczny. Kiedy zetknąłem się z nim, poczułem, że już niewiele zdziałam jako aktywista.

Niestety, jest wielu irlandzkich Amerykanów, którzy są zaangażowani w ten pro-

NASZA EUROPA

ces. Np. kluczowe twarze Fox News, jak Sean Hannity i Bill O'Reilly. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego powstała taka stacja jak Fox News. Mainstreamowe media w Stanach były zawsze raczej liberalne, a ktoś taki jak Rupert Murdoch dostrzegł lukę na rynku i chciał stworzyć dla nich lukratywną alternatywę. Ale od tego czasu sprawy wymknęły się spod kontroli – osiągnęliśmy czasy postprawdy. Czasy, kiedy ogólnokrajowe stacje telewizyjne twierdzą, że potwierdzone przez cały system zwycięstwo wyborcze było oszustwem, a szturm na Kapitol to wyraz troski o amerykańską wolność. To nie jest konserwatyzm. To jest coś zupełnie innego. Nie jest to też jakaś nowa norma.

Co chce pan przez to powiedzieć?

– Mamy powrót sytuacji, kiedy półtonowe goryle rządziły dżunglą, bo były najsilniejsze. W świecie, w którym ludzie czują strach lub niepewność spowodowaną zbyt szybko zachodzącymi zmianami, wielu tęskni za gorylem, który załatwi im poczucie bezpieczeństwa – i wybierają tyrana, jeśli tylko wierzą, że działa w ich interesie. Obserwując ten proces, można dojść do wniosku, że faza, w której demokracja narzucała rytm naszej cywilizacji, to był tylko krótki etap, ślepa, bo mało efektywna, uliczka. W tym świecie ostatnie kilkadziesiąt lat to być może najbardziej niezwykły okres w historii ludzkości. Kiedy staraliśmy się o równouprawnienie kobiet, prawa mniejszości, a przede wszystkim wydawało nam się, że szacunek dla ludzi o różnych poglądach skłoni ich do podobnego myślenia o nas.

Mówiąc o czasach przełomu: jeszcze w 1993 r. U2 brało udział w proteście przeciwko brytyjskiemu kompleksowi nuklearnemu Sellafield nad Morzem Irlandzkim.

– Owszem, razem z Kraftwerkiem.

Ale obecnie uważa pan elektrownie jądrowe za niezbędne w walce ze zmianami klimatu.

– To wynika z przyspieszenia katastrofy klimatycznej i poglądu, że musimy ponownie przemysśleć wykorzystanie energii jądrowej. Wielu ludzi w ruchach ekologicznych zaczyna myśleć podobnie. Kryzys klimatyczny zniweczy wszystko, o co tak ciężko walczono przez te wszystkie lata w polityce zrównoważonego rozwoju. Wzmocni to istniejące niesprawiedliwości, ponieważ ludzie w najbardziej niebezpiecznych krajach, którzy mieli najmniej wspólnego z generowaniem zmian klimatycznych, ostatecznie zapłacą najwyższą cenę, i to jako pierwsi. Jako osoba racjonalna w obliczu skali tego kryzysu uważam, że należy rozważyć wszystkie dostępne opcje.

Bo naprawdę z pomocą samej energii słonecznej i wiatrowej nie uda nam się nigdy zredukować emisji CO₂ do zera netto. Natomiast technologia poszła do przodu, istnieją nowe generacje elektrowni jądrowych, małe reaktory modułowe, takie jak te opracowywane przez Seaborg Technologies w Kopenhadze. Wiem, że np. Bill Gates wspiera rozwój reaktorów jeszcze kolejnych generacji. I nadal wierzę, że innowacje rozwiążą problemy związane ze zmianami klimatu. Po prostu przy tak wielu kryzysach dziejących się naraz musimy szukać skutecznych rozwiązań wszystkich jednocześnie – a są one ze sobą powiązane. Są całe dekady, w których nic się nie dzieje, i są tygodnie, w których dzieją się całe dekady – wiedział to nawet Lenin.

Wielu ludzi jest teraz przytłoczonych tymi równoczesnymi kryzysami.

– W takich sytuacjach trzeba uważać na fundamentalistów. Bo fundamentaliści nigdy nie zmieniają swojego stanowiska. Nie ważne, czy religijni, czy polityczni, rynkowi, czy klimatyczni. Jest to również kwestia pokoleniowa. Znam genialnych młodych inżynierów pracujących w MIT, na Stanfordzie czy Harvardzie, wszyscy mówią o no-

wych osiągnięciach w dziedzinie energii jądrowej. W większości to raczej starsze pokolenie wciąż odrzuca z góry jakąkolwiek energię jądrową. Ale przecież dziś nikt nie jeździ samochodami z lat 60. Używają dalece bardziej wyrafinowanych.

Ujmijmy to w ten sposób: nie lubię, gdy zamieniamy dyskusję w konkurs świętych krów. Nie lubię dogmatyczności. Znajdujemy się teraz na rozdrożu jako społeczeństwa i jednostki. Ja też. I stwierdzam, że radzenie sobie z tym dobrze mi robi. Teraz trzeba słuchać ludzi, których opinie burzą nasze przyzwyczajenia. Bo to może pomóc nam iść na przód.

W książce pisze pan także o artystycznych kryzysach. I o dziwnych pomysłach, które uratowały U2. Np. kiedy zespół przeżywał głęboki kryzys podczas nagrywania „Achtung Baby”, w 1990 r. w berlińskim Hansa Studios graliście nago, jedynie najcenniejsze części ciała zakrywając taśmą.

– To było w służbie sztuki. No i trzeba pamiętać, że nie było jeszcze aparatów w telefonach komórkowych. Wtedy gwiazda rocka mogła jeszcze wyjść w nocy na miasto i potknąć się, i nikt się o tym nie dowiadywał. Pomimo wszystkich trudności, jakie mieliśmy z „Achtung Baby”, nadal byliśmy czwórką Irlandczyków, którzy potrafili śmiać się z samych siebie. Lata 90. były dla U2 ważne, bo na nowo polubiliśmy muzykę i odkryliśmy na nowo poczucie humoru, które nas kiedyś połączyło. W latach 80. traktowaliśmy się za poważnie.

To był czas, kiedy Anton Corbijn zrobił ikoniczne zdjęcia, na których stoi pan na pustyni, wyglądając tak ponuro, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata, chociaż czasy były dość optymistyczne.

– Pamiętam, jak nasz menedżer Paul McGuinness stwierdził: „Nie powinniście wyglądać na weselszych, skoro jesteście numerem jeden na listach przebojów na całym świecie?”. W końcu to do nas dotarło.

Dlaczego nie ma wideo z tej nagiej sesji w Berlinie? Red Hot Chili Peppers zrobili kiedyś coś takiego, tylko założyli na genitalia skarpetki.

– Bo byli w lepszej formie fizycznej niż my.

Wspomina pan z detalami o basiście U2 Adamie Claytonie, że zdarzało mu się paradować nago po korytarzach waszej szkoły. Kiedy Keith Richards opowiedział o długości penisa Micka Jaggera, trafiło to na pierwsze strony gazet na całym świecie. Czy dał pan te fragmenty Claytonowi do przeczytania?

– Adam jest cudownie bezpruderyjny. Był nim nawet jako nastolatek. Pamiętam, że tak samo jego siostra i młodszy brat byli odważni i złośliwi. Byli protestantami w bardzo katolickiej Irlandii. Uwielbiali szokować ludzi. Adam do dziś tak jeszcze trochę ma.

Prawie 30 lat temu pojechaliście zagrać do oblężonego Sarajewa. Koncert był transmitowany przez satelitę. Nie wszystkim się to podobało. „Oni się bawią i zaraz wyjadą, podczas gdy my tu umieramy” – mówili. Kilka miesięcy temu, na zaproszenie Wołodymyra Zelenskiego, pojechał pan do Kijowa, który był ostrzeliwany przez rosyjską armię, i dał koncert na stacji metra z ukraińskimi muzykami, którzy wszyscy mieli już wojskowe mundury i wybierali się na front.

– W tekstach U2, w pomysłach na ten zespół zawsze był motyw, by okazać solidarność z ludźmi, którzy są uciskani, są ofiarami przemocy. Kiedy jechaliśmy z Edge'em po ciągiem do Kijowa, w pierwszej chwili nie myślałem o Sarajewie. Ale stopniowo wspomnienia wracały. Czy muzyka, jakąkolwiek sztuka może mieć znaczenie dla ludzi, którym przyszło żyć w warunkach egzystencjalnego zagrożenia? Ja pamiętam z Sarajewa, że punk rock, MTV, głośna muzyka metalo-

wa, a nawet U2 odegrały ważną rolę w życiu tamtych ludzi w tamtym czasie.

Niedawno oglądałem z moim synem Janem film zmontowany z tamtych nagrań. Zapytał: „Po co stawiałeś się w tak trudnych sytuacjach?”.

I co mu pan odpowiedział?

– „Bo artyści często tak postrzegają swoją rolę: stanąć pośród ludzi w sytuacji zagrożenia i ucisku”. To, co musieli znosić wtedy mieszkańcy Sarajewa, dla mieszkańców Kijowa dopiero się zaczyna. Inspirujące jest to, że Ukraina dziś to 40-milionowa armia, cała populacja jest jej częścią. Wszyscy zdają sobie sprawę z wartości wolności, wszyscy jej bronią. Jest to najbardziej heroiczna walka.

W 2001 r. spotkał pan Putina, na szczycie G8 w Genui, gdy promował pan projekt oddłużenia najbiedniejszych krajów. Podobno na stronie zapytał, czy pomoże mu pan anulować dług Rosji.

– To było w czasach, zanim oficjalnie stał się globalnym szwarccharakterem

A później spotkał się pan również z Dmitrijem Miedwiediewem, który obecnie jest najradzykalniejszym orędownikiem jak najbezwzględniejszej wojny. Wielu zadaje sobie ostatnio pytanie, czy był w tym czasie taki przegapiony moment, w którym Rosja mogła się zintegrować z Europą.

– Tak, uważam, że w stosunkach z Rosją, a raczej Rosjanami, sporo sieprzyliliśmy. Zachód nie rozumiał np., co w Rosji wynikało z faktu, że większość cywilnych ofiar II wojny światowej to byli Rosjanie. Wychowywano nas w przekonaniu, że zwycięstwo z Hitlerem to głównie dzieło Anglosasów. I Rosjan musi to boleć. A potem nastąpiła klęska lat 90. Wiem z rozmów z Margaret Thatcher i George'em W. Bushem, że dyskutowano o zastosowaniu gospodarczej terapii szokowej, aby pomóc temu krajowi w transformacji. Ale była też swego rodzaju milcząca zgoda, że Rosję należy upokorzyć – na wypadek, gdyby chciała wrócić do gry jako geopolityczny wróg. Wróciła tak czy owak.

Najlepsza książka, jaką czytałem o Putinie, to ta autorstwa Mashy Gessen, „Człowiek bez twarzy”. Muszę żyć z faktem, że istnieje to zdjęcie ze szczytu G8 z tamtego okresu, na którym szeroko uśmiecham się do człowieka, który potem stopniowo zmienił się w masowego mordercę i teraz jest winny zbrodni wojennych.

Ale mimo wszystkich kryzysów, które nas obecnie zajmują, są też pozytywne wiadomości. Np. Niemcy pokazują teraz światu, że są twardsze, bardziej odporne, niż wielu się spodziewało. W USA i reszcie Europy ludzie martwili się, czy Niemcy utrzymają nerwy na wodzy w obliczu pierwszej zimy bez rosyjskiego gazu. To naprawdę imponujące, co Niemcy robią w tej chwili.

O czym pan myśli?

– Na konferencji Światowego Funduszu na rzecz Walki z AIDS, Gruzlicą i Malarią, która odbyła się przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, Niemcy zobowiązały się do przekazania w ciągu trzech lat 1,3 mld euro, co stanowi wzrost o 30 proc. Dla mnie to wygląda na prawdziwe przywództwo. Wiem, że Niemcy na ogół mają trudności z przyjmowaniem komplementów. I wiadomo, będzie się to wiązało z kosztami, ale jest teraz świetny moment, aby pokazać, że Niemcy są ostoją – także jako wsparcie dla Ukrainy, która broni wolności.

Pisze pan, że kiedyś chciał zostać korespondentem wojennym. Czy to pragnienie zostało jakoś zrealizowane później, gdy jako aktywista jeździł pan do regionów kryzysowych, w Etiopii, Salwadorze, do Nigerii w regiony kontrolowane przez bojówki Boko Haram?

– Mieliliśmy taką piosenkę „Cedry Libanu” – to było o psychice reportera wojen-

nego. Zainspirowało mnie dwóch prawdziwych reporterów. Jeden z nich, Robert Fisk, mieszkał wtedy w Dublinie, ulicę od nas. Poznałem go trochę. Drugi, Thomas L. Friedman, pisze dziś publicystykę dla „New York Timesa”. Zawsze interesowali mnie ludzie, którzy poświęcili swoje życie na poszukiwanie prawdy. Pewnie zostałbym dziennikarzem – gdyby moje ego nie było takie rozдуте... Zawsze chcę zobaczyć rzeczy z bliska, ale oglądanie z bliska wojny – wiem, że nie dałbym rady.

To, co zawsze charakteryzowało piosenki U2, to fakt, że nigdy nie polegały na atakowaniu oczywistych wrogów. O, wygooglałem tekst tego utworu. „Wybierz swoich wrogów ostrożnie, bo będą cię definiować, uczyni ich interesującymi, skoro mają ci przeszkadzać; kiedy twoja historia się skończy, okaże się, że trwali z tobą dłużej niż twoi przyjaciele”. Nie kształtują nas ci ludzie, których bliskości szukamy, ale ci, przy których nie chcemy być. W prawie każdej dziedzinie mojego życia próbowałem przekraczać barykady, by spotkać się naprawdę po drugiej stronie z ludźmi, których poglądów nie podzielałem. Zawsze miałem liberalne zaplecze polityczne, ale to właśnie rozmowy z konserwatystami często pozostawiały we mnie najtrwalsze wrażenie. A z drugiej strony spotkałem na lewicy ludzi, którzy zupełnie mi nie pasowali.

Porozmawiajmy o pańskim znajomym, Salmanie Rushdii, który niedawno został poważnie ranny w zamachu. W 1993 r. wprowadził go pan na scenę na stadionie Wembley, w czasie gdy wciąż musiał żyć w ukryciu i pod ochroną z powodu fatwy irańskich ajatollahów. Wyciągnął go pan z mroku w światła reflektorów.

– Widziałem go po zamachu. Nie mogę powiedzieć, gdzie to było. Mogę jednak powiedzieć, że jego odwaga i zaangażowanie na rzecz wolności słowa są niezmiennie – podobnie jak jego wdzięki i poczucie humoru. Mimo poważnych obrażeń. Ułożyłem mu krótką playlistę, która, jak uznałem, mogłaby go podnieść na duchu. Salman lubi muzykę. Kiedyś napisaliśmy razem piosenkę.

Jest zatytułowana jak powieść Rushdiego: „Ziemia pod jej stopami”. Rushdie opowiedział mi kiedyś, jak postulował, by do amerykańskiego PEN Clubu przyjmować także autorów piosenek, takich jak Bob Dylan. On sam był w tym czasie prezesem amerykańskiego PEN i zaprosił pana na festiwal literatury. Niektórzy pisarze marudzili, co tam ma do roboty gwiazda pop. Rushdie na to: „Bono napisał ponad 300 utworów, z których większość reszta świata potrafi wyrecytować z pamięci. Ilu poetów może to powiedzieć?”.

– No, nadal uważam, że Salman zostałby cieplej przyjęty na rockandrollowej arenie niż ja, gdybym pojawił się na targach książki.

Na końcu książki pisze pan, że wielka rana z młodości, która uczyniła z pana muzyka, teraz się zagoiła. Że zniknęła ta złość spowodowana wczesną śmiercią matki. Co to oznacza dla przyszłości U2?

– Nie sądzę, aby rozsądny, racjonalny człowiek kiedykolwiek pomyślał o zostaniu wokalistą zespołu rockowego. Co do tej wczesnej utraty – jest wiele osób, które przeszły to znacznie gorzej niż ja. Dałajlama powiedział kiedyś: „Medytację nad życiem zaczynamy od śmierci”. Dla mnie po prostu stało się to wcześniej, niżbym chciał. Mam przyjaciela, który mawia: „Niepewność jest najlepszym przyjacielem wokalisty”. W tym sensie bardzo łatwo poddaję się psychoanalizie. Jeśli potrzebujesz 20 tys. ludzi krzyczących twoje imię każdej nocy, aby czuć się spełnionym, to nie jest dobrze. Ale rock'n'roll pozostaje dla mnie wyrazem vitalności, przekory i jest esencją romantyzmu. Ta czysta radość w piosenkach jest naszą próbą zagłuszenia ciemnych myśli, które wszyscy w sobie mamy. ●

Kilka refleksji polskiego 44-latka po wyborach do Kongresu

NASZE DZIECI PORADZĄ

FOT. EAST NEWS

Gdy miałem 10 lat, świat ratował nadzwyczajny facet w kapeluszu. Gdy moja córka ma 10 lat, świat ratuje dziewczyna, której darem jest zwyczajność.

Maciej Jarkowiec

Mój pierwszy raz: „Indiana Jones i poszukiwacze zaginionej arki”. Kino Panorama, Leszno, styczeń 1984. Miałem sześć lat, byłem chyba jedynym dzieckiem na wypełnionej po brzegi sali. Nie nadążałem czytać dialogów, ale wiedziałem, że film jest amerykański i bohater jest Amerykaninem. W kapeluszu na głowie, jak kowboj, rozwałił hitlerowców. W jednej scenie lysa głowa potężnie zbudowanego Niemca wpadła pod rozpędzone śmigło. Krew bryzgnęła wprost na mnie. W nocy nie mogłem spać – oglądałem film jeszcze raz, scena po scenie.

Gdy niedługo później zamieszkałem w Stanach, nie wiedziałem jeszcze, że w Ameryce rzeczywistość ściga się z kinem na najbardziej nieprawdopodobne historie. Nie miałem pojęcia, że rządzi Reagan. Aktor słynny ze starych westernów został szefem imperium. Jego administracja potajemnie sprzedawała broń Iranowi, który sama objęła embargiem na broń. Kasę z przemytu łądowała w prawicową partyzantkę w Nikaragui. Scenariusz spiskowego thrilleru klasy B.

Drugą kadencję Ronald Reagan zdobył, wygrywając z demokratą Walterem Mondaléem w 49 z 50 stanów. Uwiódł Amerykę jak nikt od czasów Kennedy’ego, choć statystyki rabunków, gwałtów i morderstw szybowwały pod niebiosami. Szczyt fali przemocy miał przyjąć w 1991 r., kiedy w USA dokonano prawie 25 tys. zabójstw, co daje średnią 68 dziennie. Za Reagana w setkach dzielnic metropolii trwała też epidemia cracku – jak nazywano najbardziej uzależniającą, zażywaną poprzez palenie kokainę.

Najlepsi hollywoodzcy scenarzyści nie wymyśliliby też takiej historii zamachu: w 1976 r., gdy John Hinckley ma 21 lat, na ekran wchodzi „Taksówkarz” Martina Scorsese. Opowieść o wariacie, który chce zabić kandydata na prezydenta. Ikoniczna kreacja De Niro, ze słynną sceną pyskówki do lustra: „You talkin’ to me?”.

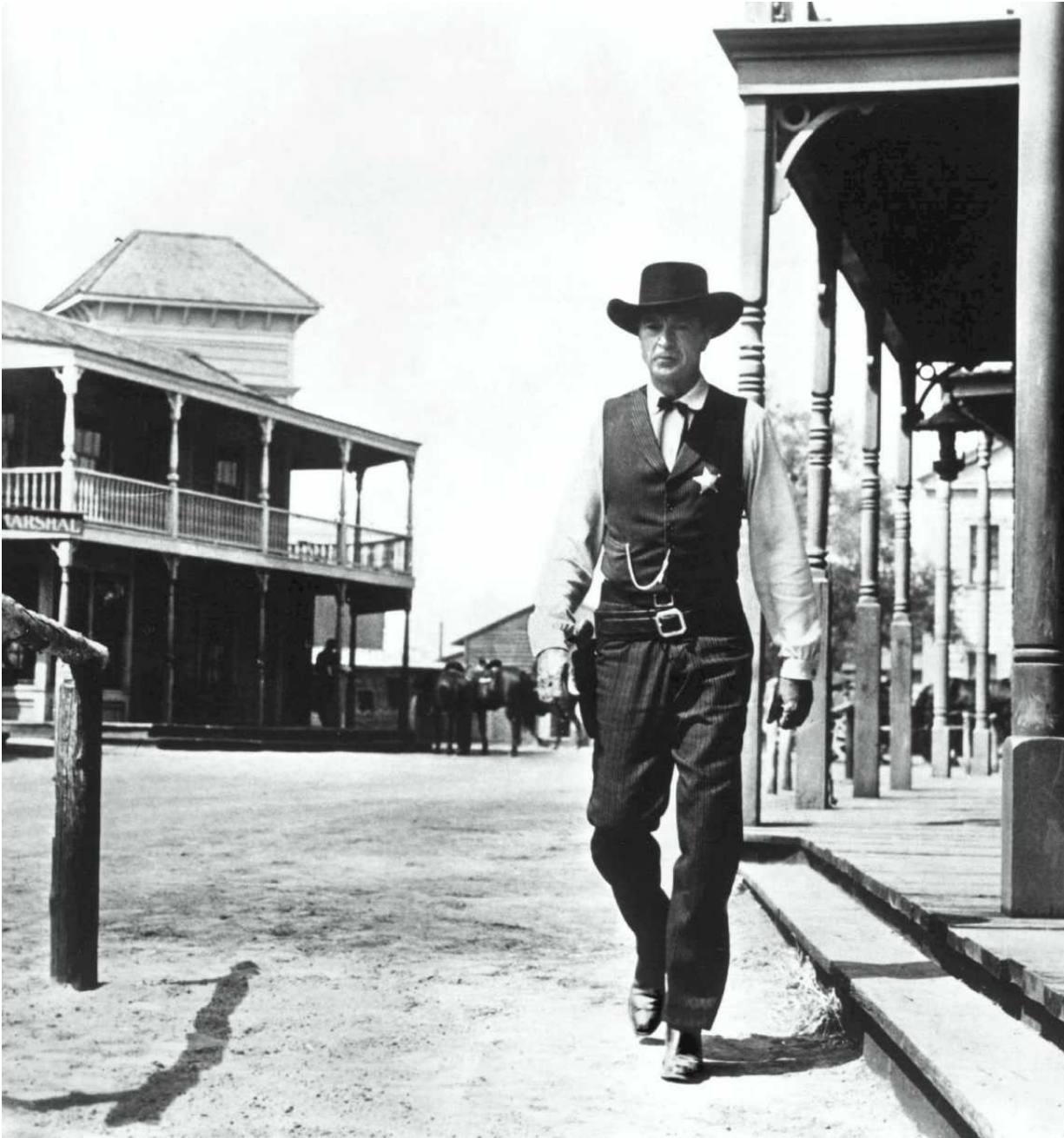
Drugoplanową rolę gra 14-letnia Jodie Foster. Hinckley się zakochuje. Przez kilka lat śledzi aktorkę, pisze do niej listy, wysyła wiązki. Gdy ona nie odwzajemnia uczuć, Hinckley, żeby ją zdobyć, postanawia zrobić coś szalonego – zastrzeli polityka, jak filmowy taksówkarz. 30 marca 1981 r., gdy Reagan wychodzi z hotelu Hilton w Waszyngtonie, Hinckley oddaje w jego kierunku sześć strzałów z rewolweru zakupionego za 29 dolarów. Żaden nie jest celny, Hinckley to przecież poeta, a nie terrorysta, ale jedna z kul odbija się od prezydenckiej limuzyny i wpada w ciało Reagana. Roztrzaskuje żebro, przebija płuco. Lekarze walczą o życie prezydenta.

Reagan kochał kino. W prezydenckiej rezydencji Camp David, gdzie z żoną Nancy spędzali weekendy, co tydzień odbywały się projekcje. Prezydent nie przepadał za skomplikowanymi historiami. „Pluton” (1986) albo „Wall Street” (1987) – obrazy Olivera Stone’a nakręcone na przełomie erze optymizmu – wzbudzały jego irytację. Pierwszy dawał pełne gorzkości i humanizmu rozliczenie z Wietnamem. Drugi obnażał kapitalizm, dociekając, czy chciwość aby na pewno jest dobra.

W Camp David najchętniej oglądano hity z happy endem. „Indiana Jones” (1981), „E.T.” (1982), „Ghostbusters” (1984). Reagan lubił, gdy świat był czarno-biały. W drugiej części „Rambo” (1985) Sylvester Stallone ratuje amerykańskich jeńców, którzy utknęli w Wietnamie. Przy okazji unicestwia całe sowiecko-wietnamskie bataliony. Film pozwała Ameryce rozpętać wojnę na nowo i tym razem zwyciężyć. W kraju wybucha rambomania: jak bułki z masłem idą repliki luków, noży, plastikowe figurki, koszulki, opaski na głowę. Reagan kilka razy przyjmuje Stallone’a w Białym Domu. Ten odwdzięcza się, gwiazdorząc na bankietach, na których Republikanie zbierają fundusze na kampanię. W 1985 r. wychodzi czwarta część opowieści o bokserze Rockym, w której Stallone rozkwasza sowieckiego pięściarza Ivana Drago. W tym samym roku Reagan rozpoczyna serię spotkań z Gorbaczowem. Reaganowska strategia wyścigu gospodarczego i zbrojeniowego sprawiła, że Sowietci wylewają siódme poty. Gorbaczow przyjeżdża na szczyty ze pchnięty do narożnika. Przywódcy inicjują dwustronny program redukcji arsenałów jądrowych.

Po latach najbliżsi ludzie Reagana opowiedzą autentyczną ponoć anegdotę: prezydent, który uwielbiał filmy science fiction, w czasie spaceru wokół Jeziora Genewskiego bierze Gorbaczowa pod ramię.

– Michaił, gdy Amerykę zaatakują kosmici, pomożecie?
– Pomożemy, Ronaldzie.
– My wam też.



Komunę obaliliśmy z pomocą kowbojów. Na pierwsze półwolne wybory prowadził nas Gary Cooper ze znacznikiem „Solidarności” wpiętym pod gwiazdą szeryfa i z kartą do głosowania w dłoni zamiast rewolweru. Dzień nie kroczył przed siebie przegnać złoczyńców, a my za nim. Slogan na plakacie: „W samo południe 4 czerwca 1989”.

Reagan uważał „W samo południe” (1952) za swój ukocha-

**Tylko
w amerykańskiej
rzeczywistości,
bo przecież nie
w filmie, ktoś mógł
powołać do życia
sektę złożoną z niemal
połowy społeczeństwa.**

**We wtorkowych
wyborach do Kongresu
i władz stanowych
ludzie sekty zdobyli
dziesiątki stolików**

ny film. Kilka dekad przed nim Dwight Eisenhower co roku organizował w Białym Domu pokaz. Ponoć w kulminacyjnych scenach podrywał się z fotela i krzyczał.

Film rozgrywa się w czasie rzeczywistym podczas gorącego niedzielnego poranka w miasteczku Hadleyville w Nowym Meksyku. Pozornie opowieść jest zgodna z prawidłami gatunku: niezłomny szeryf samotnie pokonuje zło. Politycy odnajdywali się w jego postaci. Ale mit został w „W samo południe” dobitnie zakwestionowany.

Pionierska wspólnota, budująca nową cywilizację na zdobytych ziemiach zachodu, jest tchórzliwa, pełna hipokryzji, kieruje się chęcią zysku. Bandyci chodzą wolno, wypuszczani przez skorumpowanych sędziów. Zdrada, jakiej miasto dopuszcza się wobec człowieka, który uratował je od przemocy, dokonuje się w kościele. Najbliższy przyjaciel w momencie próby odwraca się plecami. John Wayne, największy patriota pośród hollywoodzkich patriotów, dostrzegł to, co umknęłozydentom: film nazywał „najbardziej antyamerykańskim, jaki widział w życiu”.

Bill Clinton był odmiennego zdania. W czasie ośmiu lat prezydentury 17 razy wyświetlał „W samo południe” dla gości. Pewnie identyfikował się z osaczonym sze-

ryfem, bo sam znalazł się w potrzasku, kiedy Republikanie próbowali pozbawić go władzy za to, że kłamał w sprawie romansu ze stażystką.

Kino i rzeczywistość jak zwykle się splotły. Gdy prezydent, a nawet jego żona całą winę za niewierność i wynikający z niej kryzys państwa zwalali na zbyt uwodzicielską według nich Monicę Lewinsky, oszalamiającą karierę w Hollywood rozkręcał producent nazwiskiem Harvey Weinstein. Zbyt uwodzicielskie aktorki zapraszał na rozmowy o karierze do apartamentów na najwyższych piętrach najlepszych hoteli i gdy nie chciały dawać, czego żądał, brał siłą. Ale o tym mieliśmy się dowiedzieć dopiero ćwierć wieku później. W latach 90. w czasie oscarowych gal Weinsteinowi – choć całe Hollywood wiedziało o jego praktykach – dziękowano częściej niż Bogu. Wśród jego najwybitniejszych podopiecznych był Quentin Tarantino.

Pulp Fiction” (1994) jest jedynym filmem, na który poszedłem do kina (o dziwo nadal istniejącego Apollo w Poznaniu) trzy razy z rzędu, dzień po dniu. Później zajeżdżaliśmy go na studenckich stacjach aż do wytarcia taśmy VHS, tak jak „Chłopców

SOBIE BEZ KOWBOJÓW



trze i rzeki, coraz większa tolerancja, podróże dookoła świata, pokój gwarantowany przez NATO. Nowy wspaniały świat urodził się i rósł na naszych oczach. Naszej wiary w przyszłość nie był w stanie obalić nawet „Matrix” (1999).

Jaki scenarzysta wymyśliłby taki film: terroryści porywają samoloty, żeby wykorzystać je jako bomby. Dwa boeingi wbijają się w najwyższe, bliźniacze drapacze Nowego Jorku, jeden w Pentagon. Ostatni kieruje się na Biały Dom, ale samobójcza misja bohaterских cywilnych pasażerów wyrывa maszynę z rąk zbrodniarzy i rozbija ją na polach Pensylwanii, 150 mil od stolicy.

Historia skończyła się tylko po to, żeby od razu zacząć się na nowo.

Sporą część pierwszej dekady XXI wieku spędziłem w Stanach. Wojna z terrorem – prawdziwa, nie filmowa – leciała na okrągło w telewizorach. Uciekałem do kin studyjnych i sali kinowej nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej, żeby zanurzać się w klasycie. Złoty okres filmu noir z lat 40. i 50. – „Sokół maltański” (1941), „Podwójne ubezpieczenie” (1944), „Gilda” (1946), „Wielki sen” (1946), „Zabójcy” (1946), „Dotknięcie zła” (1958) i inne perły, w których bohaterowie nie byli ani dobrzy, ani źli i takie też były zakończenia. Albo nowe Hollywood lat 60. i 70. Penn, Nichols, Ashby, Friedkin, Hopper, Rafelson, Altman, Scorsese, Bogdanovich, Coppola – reżyserzy z generacji, która – jak głosi podtytuł genialnej książki na jej temat – „seksiem, narkotykami i rock’n’rollem uratowała amerykańskie kino”.

Teraz Hollywood znów musiało się zająć polityką. W 2008 r. Kathryn Bigelow w „The Hurt Locker” opowiedziała o elitarnym oddziale saperów w Iraku. Film okrzyknięto iracką wersją „Plutonu”. Cztery lata później reżyserka pokazała „Wroga numer jeden” – kronikę polowania na Osamę bin Ladena. Kino i rzeczywistość znów się splotyły, tym razem dosłownie – twórcy dostali tajne akta CIA. Korzystali z nich pilnie – powielili przekonanie bossów Agencji o tym, że tortury są najskuteczniejszą metodą pozyskiwania informacji. Bez nich – wynikało z fabuły – bin Laden nadal by żył i zabijał.

Protestowali intelektualści i weterani, w tym najznamienitszy z nich, republikański senator John McCain, który był torturowany jako jeniec w Wietnamie. Z senackiego pulpitu powiedział, że film przyprawił go o mdłości. Powtórzył to, co było jasne dla ekspertów spoza wywiadowczej bańki: poza tym, że program tortur nie był efektywny i w zdecydowanej większości przypadków prowadził do fałszywych tropów, zrujnował też reputację Ameryki.

Doniesienia z frontów wojny z terrorem – o tajnych więzieniach, torturach, atakach z użyciem dronów, śmierci tysięcy cy-

wilów, korupcji i ostatecznej klęsce – dały nawóz pod nowy, globalny antyamerykanizm. W Pekinie i w Moskwie zacierano ręce i pisało strategię, które miały go wykorzystać.

Co na to Hollywood?

Pod koniec drugiej kadencji Obamy i na początku rządów Trumpa Oliver Stone – człowiek, który w latach 80. nakręcił „Pluton” i „Wall Street” – regularnie spotyka się z Putinem. Rozmawiają w kremlofskich salach, w biurach, na siłowniach, w hali sportowej, gdzie rosyjski prezydent gra w hokeja, czy w samochodzie, który sam prowadzi. Efekt: czterogodzinny dokument „The Putin Interviews” (2017). Polski tytuł – „Oliver Stone vs. Władimir Putin” – jest mylący, bo rozmowa nie jest pojedynkiem. Jak zauważył recenzent, Stone wygląda jak fan zachwycony tym, że może spędzić czas z ulubionym celebry-

Waszyngton. Tak jak Reagan wołał, gdy świat jest czarno-biały. W krytyce polityczno-gospodarczych porządków na Zachodzie osiedli na intelektualnej mieliźnie rodem z Hollywood: skoro Ameryka jest czarnym charakterem, jej przeciwnik musi być święty jak Rambo.

Zanim wybuchła nowa wojna, rzeczywistość jak zwykle wyprzedziła kino. Szefem imperium został szemrany biznesmen i telewizyjny celebryta, który kiedyś zagrał samego siebie w „Kevinie samym w Nowym Jorku” (1992). Słynął z tego, że nie płaci na czas albo nie płaci w ogóle podwykonawcom swoich deweloperskich ekstrawagancji i kelnerom w restauracjach swoich bankrutujących kasyn. Oraz z romansów opisywanych przez tabloidy. A także z tego, że kocha mówić „Zwalniam cię!”.

Burzliwe czteroletnie rządy zakończył popchnięciem tłumy

My, wchodzący w życie w latach 90., mieliśmy świadomość, że wszystko przed nami: otwarte granice, studia na zachodnich uniwersytetach, pensje jak na Zachodzie, samochody jak na Zachodzie, coraz większe mieszkania i domy, coraz trwalsza i dojrzalsza demokracja, coraz czystsze powietrze i rzeki, coraz większa tolerancja, podróże dookoła świata, pokój gwarantowany przez NATO

cią. Putin wygłasza prawdy, a Stone pomrukuje. Gdyby pokazać film kosmicznie, pomyślałby, że Putin to anioł – w dodatku wysportowany – któremu należy oddać władzę nad wszystkimi Ziemią, aby zapanały pokój i powszechne prawo człowieka.

Gdy Stone próbuje się dowiedzieć, czy rosyjskie służby ingerowały w amerykańskie wybory, Putin odpowiada z uśmiechem:

– W przeciwieństwie do naszych partnerów nie wtrącamy się w sprawy innych państw.

– Dziękuję, proszę pana – kończy tę sesję reżyser.

W późniejszych wywiadach Stone powtarzał, że w każdej kwestii wierzy Putinowi na słowo. Nazywał go „zaszczutym i gnębionym”. Gdy zbliżała się inwazja na Ukrainę, mówił, że dobrze zna Putina i żadnej inwazji nie będzie. Gdy stała się faktem, uznał to za błąd, zaznaczając jednak, że Rosja chce się z Ukrainą porozumieć – uniemożliwiają to Amerykanie.

Jeden z najbardziej wnikliwych twórców amerykańskiego kina ostatniego półwiecza, dekonstruuje amerykańską mitologię, skonstruował nowe kłamstwo – mit o dobrym Putinie. Nie tylko on. Naomi Klein, Noam Chomsky i inni intelektualni celebryci lewicy również winę za wojnę zvalili na

uzbrojonych wariatów do szturmu na Kapitol. Tylko w amerykańskiej rzeczywistości, bo przecież nie w filmie, ktoś taki mógł powołać do życia sektę złożoną z niemal połowy społeczeństwa.

We wtorkowych wyborach do Kongresu i władz stanowych ludzkie sekty zdobyli dziesiątki stołków. Będą współrządzić Ameryką, nie uznając prawa przeciwników do współrządzenia. Według nich prezydent Biden nie został legalnie wybrany. To sytuacja bez precedensu w historii USA, zagrażająca fundamentom państwa.

Czy w Polsce władza, gdy utraci władzę, pójdzie ścieżką Trumpa? Nasze – czterdziestolatków – dzieci są dziś w wieku, w którym my byliśmy w hiperoptymistycznych latach 90. Jaka czeka je przyszłość? Skończyła się dwuletnia pandemia, ale w każdej chwili może przyjść nowa. Część granic jest otwarta, ale na innych rosną mury. Niedźwiedź nie wszedł do NATO, lecz rzucił się na sąsiada, tuż za naszą granicą. Etap redukcji arsenałów jądrowych gładko przeszedł w nowy nuklearny wyścig zbrojeń. Chiny nie pokochały się z Ameryką. Nowa amerykańska doktryna określa je jako największe zagrożenie dla imperium. „Historia uczy nas, że gdy nowe supermocarstwo zasadza się do przejścia władzy od

starego, lepiej zapinać pasy” – pisze jeden z ekspertów. Jak długo Ameryka i NATO pozostaną strażnikami naszej suwerenności?

Zawsze dostawałem się na filmy dozwolone od 18 lat. Panie bileterki chyba się domyślały, że kocham kino. Latem 1989 r., gdy miałem lat 12, spędzałem turnus w Jastarni i w kinie Żeglarsz przy ulicy Portowej leciał największy hit sezonu pod obiecującym polskim tytułem „Wirujący seks”. Oczywiście wszedłem.

Ponad trzy dekady później, w minione wakacje, ze zdumieniem odkryłem, że Żeglarsz nadal działa. Zabraliśmy 10-letnią córkę na disneyowskie „Nasze magiczne Encanto” (2021).

Do niedawna Disney słynął z powielania rasistowskich stereotypów – jak w „Aladynie” (1992) czy „Pocahontas” (1995). W ostatnich latach producenci wytwórni zatrudniają zespoły ekspertów z miejsc, o których chcą opowiedzieć. Dbają, żeby film w najmniejszym szczególe był wierny kulturze, z której czerpie. Badania terenowe do „Encanto” trwały cztery lata. Publiczność w Kolumbii, gdzie rozgrywa się film, była zachwycona. My też.

W nocy, zamiast spać, Gaja oglądała film jeszcze raz, tak jak ja „Indianę Jonesa” dawno temu. Wtedy świat ratował nadzwyczajny facet w kapeluszu. Teraz dziewczyna, której darem jest zwyczajność.

Ameryka dla naszych dzieci nie jest punktem odniesienia. Zamiast Hollywood mają TikToka. Sztuczna inteligencja, na razie nie tak bezwzględna jak w „Matrixie”, podaje im kolejną piosenkę do odsłuchania, podróżuje przez Kolorado, klip, serial, przedstawia nowego przyjaciela.

Można załamywać ręce i martwić się o ich przyszłość. Ale to z ich pokolenia jest zwyczajna dziewczyna Greta Thunberg. To oni organizują strajki klimatyczne i „Tęczowe piątki”. To oni spostrzegli, że PiS chowa nutellę do lodówki. Poradzą sobie bez kowbojów. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl.





• Itamar Ben-Gwir, przywódca partii Żydowska Siła, zapewne przyszedł koalicjant Netanjahu
FOT. AP

Po wyborach w Izraelu

KTO TU JEST GOSPODARZEM?

Szefem MSW Izraela ma zostać człowiek, który chce, by forsowanie dobrowolnej emigracji Arabów było oficjalną polityką państwa. Nie tylko Arabów, w ogóle „wrogów państwa”.

Konstanty Gebert*

My! – odpowiada na tytułowe pytanie Itamar Ben-Gwir, przywódca partii Żydowska Siła, która – w koalicji z Religijnym Syjonizmem Beca-lela Smotricza i malariką partią Noam rabina Cwi Thaua – triumfalnie wprowadziła do Knesetu 14 posłów.

Jeszcze do ubiegłego roku Religijny Syjonizm (RS) miał dwóch posłów, które wcześniej wykluczały z izraelskiego obszaru demokratycznego konsensusu (poprzedniczka RS, partia Kach, została w latach 80. rozwiązana, a gdy jej przywódca, rabin Meir Kahane, przemawiał, pozostali posłowie opuszczali salę Knesetu), już nie tylko nie powodują napiętnowania, ale cieszą się oficjalną aprobatą. Już można.

Tak Likud, partia Netanjahu, zyskał nowego koalicyjnego partnera i odzyskał większość. Wynik wyborów z 1 listopada – piątych w ciągu czterech lat – zmieni nie tylko rząd, ale też ustrój państwa. Izrael dołączy

do takich krajów jak Węgry czy Turcja, gdzie formalnie odbywają się nadal wybory, lecz władza się zmienia tylko o tyle, o ile sama chce. Zmieniać się mają za to obywatele, by się dostosować – np. poglądami czy orientacją seksualną – do oczekiwań władzy.

„WROGOWIE PAŃSTWA” DO DEPORTACJI

Żydowska Siła jest nie tylko rasistowska, ale wręcz faszystowska. Głosi, że gospodarzami w Izraelu są jedynie Żydzi, a pozostali muszą się podporządkować, a najlepiej wyjechać: forsowanie dobrowolnej emigracji Arabów ma być oficjalną polityką państwową. Nie tylko Arabów zresztą: „wrogowie państwa” mają być deportowani po odsiadce. Ben-Gwir odmawia zdefiniowania tych wrogów i zamierza sam o tym decydować na bieżąco: żąda dla siebie stanowiska ministra bezpieczeństwa publicznego.

Z pewnością nie będą jednak wrogami, na przykład, żydowscy terroryści: Ben-Gwir jako adwokat przez lata bronił ich przed sądami, a portret Barucha Goldsteina, który w 1994 r. w Hebronie zamordował 24 Arabów modlących się w Grocie Patriarchów, do niedawna wisiał u niego w salonie.

Żydowska Siła domaga się też aneksji Zachodniego Brzegu bez przyznania jakichkolwiek praw Palestyńczykom oraz przyję-

cia ustawowego zakazu wszczynania przeciwko członkom rządu śledztwa z podejrzenia o korupcję. To nie tylko zabezpieczenie na przyszłość, ale też fundamentalny gest pod adresem szefa mającego powstać rządu: Netanjahu ma trzy sprawy o oszustwo i nadużycie zaufania przed sądem, a postulowana ustawa ma działać wstecz.

PRECZ Z KASTĄ W SĄDACH!

Na tle Ben-Gwira jego koalicyjny partner Becelel Smotricz robi wrażenie nieledwie umiarkowanego. Ot, domaga się jedynie odrębnych sal porodowych dla Arabek i Żydówek czy ograniczenia żydowskiej imigracji do ludzi, których jeden z rodziców jest Żydem. Obecnie wystarczy dziadek lub babcia, co sprawia, że obywatelstwo otrzymują też ludzie, którzy w świetle żydowskiego prawa religijnego Żydami nie są. To, że jeden dziadek wystarczał Hitlerowi, nie robi na krytykach tego stanu rzeczy wrażenia.

Religijni Syjoniści pragną też potępienia homoseksualizmu: gdy w Jerozolimie maszeruje Gay Pride, partia Smotricza przepędza ulicami stada zwierząt. Ucieszy ich to, że religijna partia Zjednoczony Judaizm Tóry odzyska zapewne ministerstwo zdrowia i cofnie rozporządzenia, które zezwalały na pobieranie krwi od gejowskich dawców, a zakazują stosowania wobec gejów tzw. te-

rapii konwersyjnej – teraz będzie dokładnie odwrotnie.

Dla zachowania pozorów szefem MSZ prawdopodobnie zostanie Amir Ohana, jedyny otwarcie gejowski poseł Likudu. Całkiem natomiast możliwe, że Smotricz zostanie ministrem finansów i zadba, by publiczne pieniądze nie szły do instytucji niespełniających jego oczekiwań. Jego partia chciałaby też mieć resort sprawiedliwości, ale ten obejmie zapewne Jariw Lewin, autor doktryny głoszącej, że „niewybrana kasta sądownicza” nie może ograniczać suwerenności obywateli – a więc Kneset musi mieć prawo odrzucania, zwykłą większością głosów, wyroków sądu najwyższego. Jako że Izrael nie ma konstytucji, zniknie wówczas ostatnie ograniczenie samowoli władzy.

IZRAEL SKRĘCA CORAZ BARDZIEJ NA PRAWO

W demokracjach konstytucja lub ustawa z reguły zabrania istnienia partii takich jak Religijni Syjoniści. To istotnie stanowi ograniczenie praw wyborczych obywateli, które jednak jest uzasadnione dużo większym zagrożeniem dla ich praw obywatelskich i praw człowieka, jakim skutkować by musiała realizacja programu takich partii.

W Izraelu, naznaczonym doświadczeniem europejskiego faszyzmu, długo nie by-

ło dla takich partii elektoratu, a rządząca lewica delegitymizowała jako faszystów swoich przeciwników. Ale w ciągu 75 lat istnienia państwa europejskie straciły moc odniesienia, za to konflikt z Palestyńczykami nasiłał nacjonalizm, a wewnętrzny konflikt między religijnymi a świeckimi Żydami – fundamentalizm. Nieco podobnie w II RP konflikty etniczne i kulturowe sprzyjały ideologii katolickiego państwa narodu polskiego.

Dominacja lewicy skończyła się w latach 70., gdy wyczerpał się etatystyczno-kibucowy model gospodarczy, a klęska, o jaką kraj się otarł w wojnie Jom Kippur, pokazała, że lewica nie ma już cudownej recepty na bezpieczeństwo państwa. Prawica, która stopniowo przejmowała władzę, mieściła się jak najbardziej w demokratycznym spektrum.

Kryzys nastąpił, gdy lewica podpisała w 1996 r. porozumienia pokojowe z Palestyńczykami, które prawica uznała za zdradę. Fala demonstracji protestacyjnych zalała kraj. Młody Ben-Gwir dał się wówczas sfilmować z ozdobą maski samochodu premiera Icchaka Rabina, którą własnoręcznie urwał. „Dorwaliśmy to i jego też dorwiemy” – zapewnili. Rabina „dorwał” kto inny: premier, który podpisał pokój, zginął zamordowany przez młodego prawicowego ekstremistę Igala Amira. Równocześnie kraj zalała fala terroru palestyńskich fundamentalistów z Hamasu, wymierzzonego tak w Izraelczyków, jak i w świecką palestyńską OWP, które umowy pokojowe z Rabinem zawarła.

KLĘSKA POKOJU

Udało się nad podziw: Hamas przekonał Izraelczyków, że pokój z Palestyńczykami oznaczać będzie: utratę biblijnej Judei i Samarii – czyli Zachodniego Brzegu, gdzie, obok Gazy, miało powstać państwo palestyńskie – i wzrost, a nie spadek zagrożenia przemocą.

Izrael wybrał więc rządy, które odmówiły wprowadzenia porozumień w życie, czym potwierdziły w oczach Palestyńczyków, że Hamas miał rację.

Okupacja, przez pierwsze ćwierćwiecze wymuszona konfrontacją zbrojną, przetrwała kolejne ćwierćwiecze jako konieczność polityczna – aż Izrael się przyzwyczaił. Palestyńczykom, którzy jakoś nie umieli przywyknąć do utraty i ziemi, i praw, Izraelczycy odpowiadali: „Było się nie wysadzać w powietrze”, a potem przestali odpowiadać. Raczej palowali, aresztowali czy strzelali.

Klęska pokoju skompromitowała tych, którzy go podpisali. Elektorat lewicy i centrum jął się kurczyć, tym bardziej że okazało się, iż z permanentną okupacją da się żyć, no, chyba że się jest Palestyńczykiem, ale Palestyńczycy nie głosują. Co więcej, da się żyć nie tylko z okupacją, ale też w niej: na Zachodnim Brzegu mieszka dziś pół miliona Izraelczyków. Nawet dla tych, którzy nie byli osadnikami, pokój zaczął oznaczać wypędzenie Izraelczyków z ich domów, by dać je Palestyńczykom, którzy będą na nas odpalać rakiety, jak z Gazy. By tego pragnąć, trzeba było – mówiła prawica – nie być Żydem. Jak ci z Tel Awiwu, co jedzą trefne, głoszą „ideologię LGBT”, gardzą religią i idą na pasku zagranicę, która ich przeciwko własnemu krajowi oplaca. Konflikt z politycznego (jak zawrzeć pokój z Palestyńczykami?) stał się ideologiczny (kto tu jest gospodarzem?).

NETANJAHU, CZYLI MIEĆ CIASTKO I JE ZJEŚĆ

To wszystko nie musiało jeszcze doprowadzić do triumfu Ben-Gwira i Smotricza, gdyby nie procesy Netanjahu, który zdążył zostać najdłużej urzędującym premierem. Nawet jego zwolennicy nie mają raczej wątpliwości, że jest winien – ale nie zmniejsza to ich poparcia dla premiera, który nie tylko doprowadził, wprawdzie za cenę drastycznego wzrostu nierówności, do bezprecedensowego rozkwitu gospodarczego kraju, ale zapewnił mu też polityczną stabilność. Nie dosyć, że udało mu się uniknąć poważ-

nej wojny, to nawiązał – dzięki Trumpowi – stosunki z czterema państwami arabskimi, bezpowrotnie przełamując dotychczasowy bojkot Ligi Arabskiej. Co więcej, zrobił to, nie płacąc żadnej ceny w relacjach z Palestyńczykami, którzy dla władców Bahrajnu czy Maroka się przecież nie liczą. Można więc ciastko mieć i je zjeść, i jeszcze drugiemu dać ugryźć.

Tak jak osiągnął sukces dyplomatyczny za frajer, tak w polityce wewnętrznej umiał stroić się w szaty obrońcy tradycyjnych wartości, samemu ich nie przestrzegając. Netanjahu jest świecki, koszeru nie przestrzega, jarmulkę zakłada, jak musi – ale poparcie religijnych kupił i za finansowanie ich instytucji ze środków publicznych, i za ostentacyjne publiczne przestrzeganie ich zasad.

Komunikacja publiczna (z nielicznymi wyjątkami) nie jeździ w szabat – a w zamian religijni nie czepiąją się, że ludzie jeżdżą w szabat samochodami, byle nie przez ich dzielnice. Wszystkie instytucje państwa są koszerne, ale do prywatnych lodówek nikt nie zagląda. Religijni nie służą w wojsku – ale wojsko służy religijnym i ochrania bezprawnie przez nich budowane osiedla.

Czyli sojusz tronu z ołtarzem w najgorszym, korumpującym obie strony wydaniu. Tak żyje jednak wielu, może większość Izraelczyków. Szanują tradycję, ale dobierają z niej to, co uznają za właściwe, i pomijają resztę – tyle że się nie zgadzają, by ta reszta była publicznie kwestionowana, bo to godziłoby też i w to, czego przestrzegać pragną. Znow: mieć ciastko i zjeść ciastko.

I mieliby się dać pozbawić takiego premiera tylko dlatego, że jest mu zarzucane, iż za łapówki załatwiał zwolnienia podatkowe, a za zwolnienia podatkowe korzystne ar-

kryminacyjnymi konsekwencjami – choć zarazem samą ideę dyskryminacji haniebnie legitymizowała. Ale gdy pojawiło się – zakazane dotąd przez dominującą kulturę polityczną – pytanie: „kto tu jest gospodarzem?”, z którego Żydowska Siła uczyniła hasło wyborcze, dalsze poleganie na dobrej woli przestało być możliwe.

To pytanie pojawiło się, bo zabiegi Netanjahu, by żaden głos oddany na prawicę nie został zmarnowany, okazały się skuteczne.

W wyborach startuje kilkadziesiąt partii, z których większość nie ma szans na pokonanie 3,25-procentowego progu. Cały kraj jest jednym okręgiem wyborczym, co sprawia, że kandydaci reprezentują swoje programy, a nie wyborców. Ci z małych partijek startują jedynie po to, by promować program lub przywódców, a jeśli mają szczęście – zebrać minimalny kapitał polityczny, który się przyda następnym razem.

Netanjahu toczył jednak walkę na śmierć i życie: musiał odzyskać stołek premiera przed wyrokiem, a kolejna przegrana mogła go pozbawić stanowiska szefa Likudu. Dlatego też już w poprzednich wyborach doprowadził do sojuszu skrajnych nacjonalistów, fundamentalistów i homofobów, licząc na ich głosy w Knesecie. Okazało się jednak, że czterech posłów to za mało, by odzyskać większość – ale starczyło, by wejść w publiczną debatę. Stąd hasło o gospodarzu.

W kraju demokratycznym odpowiedź na zawarte w tym hasło pytanie jest tylko jedna: obywatele. Ale tę odpowiedź znaczna część żydowskich Izraelczyków odrzuca, gdyż oznaczałaby ona realne równouprawnienie 20-procentowej arabskiej mniejszości. Zarazem jawne głoszenie drugiej możliwej odpowiedzi (Żydzi, bo nas jest większość) nie było

Wynik wyborów z 1 listopada – piątych w ciągu niecałych czterech lat – zmieni nie tylko rząd, ale też ustrój państwa. Izrael dołączy do takich krajów jak Węgry czy Turcja, gdzie formalnie nadal odbywają się wybory, lecz władza się zmienia tylko o tyle, o ile sama chce

tykuły w mediach? A kto sobie nigdy czegoś nie załatwił? A ta opozycja, co się ma za coś lepszego i od premiera, i od zwykłych Żydów, to niby taka święta? Jakby nawet miała ciastko, toby innym ugryźć nie dała.

Dla części prawicy dalsze rządy skorumpowanego premiera były nie do przyjęcia – i dlatego była ta seria kolejnych wyborów, częściej niż raz do roku, które regularnie dawały ten sam wynik: podzielony Kneset, z minimalną przewagą dla Netanjahu.

Dopiero w ubiegłym roku przeciwnikom premiera udało się przełamać impas, gdy zaprosili do koalicji rządowej arabskich fundamentalistów z partii Ra’an. Po raz pierwszy w historii Izraela Arabowie byli nie tylko w Knesecie, ale też mieli realny wpływ na politykę rządu.

Dla nadal kurczącej się lewicy był to przełom i triumf, decydujący krok ku demokratycznemu państwu wszystkich obywateli.

Dla prawicy, w tym nawet po części i tej, która nie cierpi Netanjahu, był to cios w plecy zadany idei państwa żydowskiego.

OSTATNIA SZANSA BIBIEGO

Izraelska Deklaracja Niepodległości definiuje Izrael jako państwo „żydowskie i demokratyczne”. Sprzeczność, przynajmniej potencjalna, między tymi dwiema wartościami, obecna w każdym państwie narodowym, jest oczywista – i od tego jest konstytucja, żeby znaleźć sposoby ich pogodzenia. Kiedy konstytucji nie ma, pozostaje dobra wola – i zdumiewa, że jej na tak długo starczyło. Nawet ustawa sprzed kilku lat, stanowiąca, że „prawo do samostanowienia przysługuje w Izraelu tylko Żydom”, oraz pozbawiająca arabskiego statusu języka urzędowego, nie zaowocowała praktycznymi dys-

dotąd politycznie możliwe. Zadowolano się jej praktyczną realizacją na poziomie rządowych koalicji, co formalnie zasad demokracji nie naruszało, bo nikt przecież nie gwarantuje każdej partii udziału w rządzie.

Ale skoro Ra’an wszedł do koalicji, to oznaczało, że Izrael może stać się państwem wszystkich obywateli. Tym, dla których wizja taka jest nie do przyjęcia, nie pozostawało nic innego, jak odpowiedzieć: Gospodarzami jesteśmy my, Żydzi. Inni niech siedzą cicho albo niech się wynoszą. Ten program dał Religijnym Syjonistom zwycięstwo.

Nie tylko w liczbie mandatów: z 14 stałi się nagle trzecią siłą w 120-osobowym parlamencie, po Likudzie (32) i Jest Przyszłość ustępującego premiera Jaira Lapida (24). Ale jako pierwsza partia od lat weszli do Knesetu nie głosami wyborców innych partii, których przekonali, że lepiej będą realizować ich interesy, ale w znacznym stopniu głosami tych, którzy dotąd nie głosowali, bo nikt nie głosił tego, w co oni wierzą: My tu jesteśmy gospodarzami. Inni niech siedzą cicho. Arabowie, rzecz jasna, ale też tacy Żydzi, co to zapomnieli, co to znaczy być Żydam, i popierają Arabów czy innych wrogów. Po raz pierwszy głosy tych ludzi nie zostały zmarnowane na partie, które nie przekroczyły progu, albo w ogóle nieoddane.

1189 GŁOSÓW

I to zadecydowało o zwycięstwie prawicy. Choć Izrael politycznie od dziesięcioleci przesuwają się w całości na prawo, to obecna przewaga obozu Netanjahu (64 do 56 miejsc w Knesecie) nie wynika z radykalnie większej liczby głosów oddanych na byłego premiera. Jego obóz zwyciężył, w liczbach absolutnych, większością jedynie 1189 głosów.

Ale prawica zadbała o każdy głos. Netanjahu nie tylko sprawił, że nie zmarnowały się głosy faszystów, ale także, by nadal marnowały się głosy wrogiej mu części prawicy.

Partia byłej minister sprawiedliwości Ajelet Szaked, która wraz z Naftali Bennettem zerwała kiedyś z Netanjahu, umożliwiając powstanie alternatywnej większości, cały czas była pod progiem. Ale Szaked, licząc na odpuszczenie win, pozostała w wyborach do końca, zapewniając, że kilkanaście tysięcy głosów jej wiernych zwolenników zostanie zmarnowanych i nie przeniesie się na inną partię antynetanjahowskiej prawicy, dając jej, być może, dodatkowe miejsce w Knesecie.

OBÓZ ANTY-NETANJAHU: KAŻDY IDZIE SAM

Po przeciwnej stronie było zaś wręcz dokładnie odwrotnie. Wzrost swej siły w parlamencie, z 17 do 24 miejsc, Jesz Atid zawdzięcza głosom odebranych innym koalicjantom. Przywódca tej głównej partii bloku anty-Netanjahu nie zrobił także nic, by doprowadzić do powstania koalicji dwóch partii lewicowych: Partii Pracy i Merc. Przeciwna jej była przewodnicząca Partii Pracy, przekonana, że jej ugrupowanie wygra wybory znacząco, czyli bez potrzeby dzielenia się owocami zwycięstwa z kimkolwiek. W efekcie jednak Partia Pracy ledwo przekroczyła próg i – z czterema mandatami – jest najsłabszą partią w Knesecie. Za to Mercowi do przekroczenia progu zabrakło 3800 głosów. Gdyby je zdobył, także i ta partia zyskałaby cztery mandaty, co by znaczyło, że cztery największe partie utraciłyby po jednym. Trzy z nich to partie koalicji wokół Netanjahu, której przewaga stopniałaby wówczas do jednego mandatu.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja partii arabskich. Gdy szły zjednoczone w jednym bloku, Wspólnej Liście, w 2015 i 2019 roku zdobywały łącznie 13, a w 2020 – 15 mandatów; Wspólna Lista stała się wówczas trzecią partią w Knesecie. Ale różnice polityczne, a zwłaszcza rywalizacje personalne między przywódcami, okazały się zbyt silne i w 2021 roku islamiści z Ra’an poszli do wyborów oddzielnie, zdobywając cztery mandaty, podczas gdy reszta Wspólnej Listy zdobyła ich sześć. Łączna liczba arabskich mandatów spadła jednak o jedną trzecią. Nie spowodowało to jednak zwarcia szeregów; przeciwnie. We wtorkowych wyborach Ra’an zwiększył wprawdzie stan posiadania o jeden mandat – wyborcy docenili ich udział w koalicji, lecz pod nazwą Wspólna Lista startowali jedynie komuniści z Hadasz-Taal i zdobyli o jeden mandat mniej niż rok wcześniej. Ten brakujący mandat powinien był przypaść nacjonalistom palestyńskim z Balad, ale partia ta nie przekroczyła progu. Choć Balad zapowiadał, że nie udzieli żadnej koalicji żydowskiej poparcia, a Wspólna Lista mogłaby co najwyżej wesprzeć koalicję anty-Netanjahu z zewnątrz, to sama ich obecność w Knesecie utrudniałaby Likudowi zgromadzenie wokół siebie większości. Gdyby zaś jej nie uzyskał, konieczne byłoby nowe wybory i tym razem Likud mógłby wybrać innego przywódcę, zamiast pod Netanjahu iść po kolejną klęskę.

By przegrać wybory, nie wystarczyć być skorumpowanym i lekceważyć praworządność i demokrację. Trzeba jeszcze nie dbać o zasady arytmetyki wyborczej – a tych Netanjahu strzegł jak oczka w głowie, nawet za cenę legitymizacji faszystów. No i bardzo pomaga, jeśli opozycja wyniosłe zasady te lekceważy, bardziej dbając o interesy i czystość ideologiczną poszczególnych partii niż o wspólny interes, jakim jest odebranie władzy ekipie skorumpowanej, lekceważącej wartości demokratyczne i łamiącej prawo. Taka izraelska, niespotykana gdzie indziej, egzotyka. ●

*Autor jest komentatorem Kultury Liberalnej (kulturaliberalna.pl)

Adam Michnik poleca **Havel nieznany**

SILA BEZSILNEGO.

PRELUDIUM

**Spytałem majora,
czy przyszli po mnie jako
świadka czy oskarżonego.
„Świdka oczywiście”.
Wróciłem po 127 dniach.**

Václav Havel

Odyby czechosłowacka tajna policja rzeczywiście rozumiała wydarzenia, które tak uważnie śledzi, to już na długo przed powstaniem Karty 77 powinna się zorientować, że na coś takiego się zanoszą. Bo przecież Karta nie spadła z nieba. Powstała jako całkiem oczywista konsekwencja sytuacji, a także dlatego, że dojrzał na nią czas.

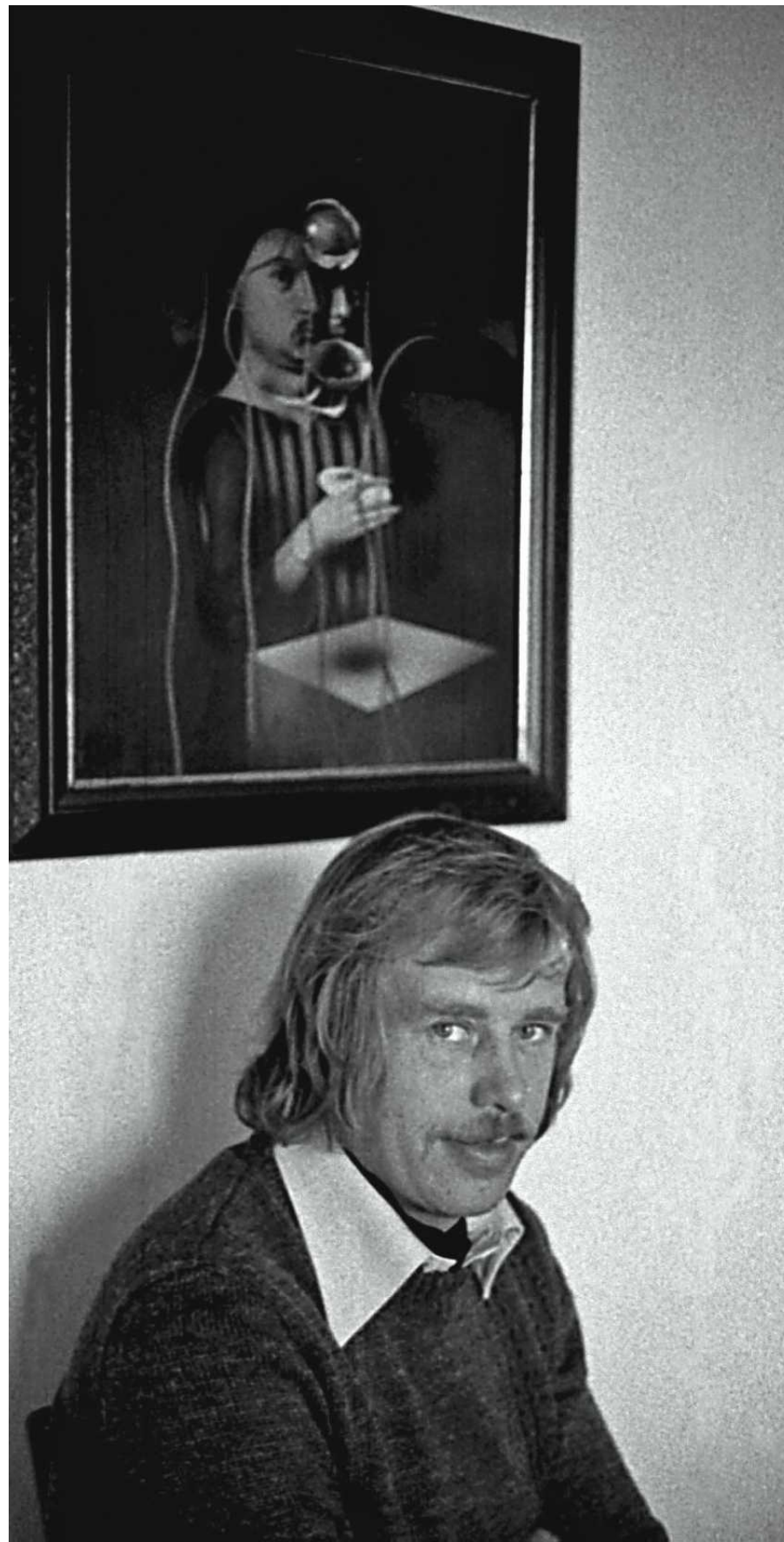
Jej narodzin nie poprzedzały jakieś głębokie analizy, długie przygotowania czy skomplikowane kalkulacje, a jedynie powszechne odczucie, że powinno się coś takiego zrobić. Nikt z tych, którzy przyczynili się do jej narodzin – mam szczególne, że byłem wśród tych osób – nie mógł dokładnie przewidzieć, że zdobędzie takie znaczenie, jakie ma dzisiaj. Ani tego, że powstanie na jej temat tak wiele przenikliwych tekstów, wśród których na początku niczym drogowym znaku znajduje się eksplikacja prof. Jana Patočki [1907–77, filozof, jeden z pierwszych trzech rzeczników Karty 77, zmarł po długim przesłuchaniu].

Znaczenie nadała Kartę 77 dopiero jej późniejsze życie i losy oraz to, czym się stała dla wielu ludzi. Zasługa tych, którzy byli na początku całej drogi, nie polega więc na tym, że wymyślili i stworzyli Kartę taką, jaka jest dziś, a jedynie na dobrej intuicji: że wyczuli, do czego dojrzała sytuacja, i przygotowali warunki ku temu, aby coś takiego powstało. Natomiast to, co faktycznie się zrodziło, było dla nich dokładnie tym samym, co dla pozostałych osób: dobrą lekcją zajrzenia pod powierzchnię zjawisk i okazją do odnalezienia swego miejsca w świecie.

I grudnia 1976 r. wspólny impuls, żeby coś zrobić, połączył kilka osób z różnych środowisk ideowych i w wyniku ich dyskusji zrodził się projekt napisania oświadczenia zawierającego krótką analizę warunków przestrzegania praw człowieka w naszym kraju. Na końcu dokument zapowiadał powstanie zgromadzenia, które będzie się odtąd zajmowało tą kwestią.

Doświadczenia mówiły nam, że jeśli zbiera się więcej podpisów pod tekstem o takim charakterze, trzeba to robić możliwie jak najszybciej, bo po dwóch-trzech dniach akcji policja zwykle się dowiaduje i może przeszkodzić, nim jeszcze cała akcja się rozpocznie. Mimo to postanowiliśmy, żeby się nie spieszyć i spokojnie zbierać podpisy w czasie świąt Bożego Narodzenia, podczas różnych spotkań towarzyskich.

Liczyliśmy, że w czasie świąt uwaga policji będzie osłabiona, a sposób zbierania podpisów został tak wymyślony, żeby nie łączył się z żadną szczególną aktywnością – po prostu spotykali się ludzie, którzy i tak



często się kontaktują, więc chyba nie powinno to wzbudzić żadnych podejrzeń.

Pomysł się sprawdził i w środę 29 grudnia o godzinie 16.00, na którą wyznaczaliśmy zakończenie akcji, udało się zgromadzić wszystkie arkusze (arkuszy było znacznie więcej, niż oczekiwaliśmy: w sumie 241).

Stworzyliśmy w kilku kopiach alfabetyczną listę pierwszych sygnatariuszy i dołączyliśmy ją do kopii oświadczenia. Tego dnia od samego rana byłem bardzo zdenerwowany, ale niepotrzebnie: nikt nie dostrzegł najmniejszych sygnałów, żeby policja coś podejrzewała. Dlatego ustaliliśmy

• **Václav Havel w swoim praskim mieszkaniu, czerwiec 1977 r.** FOT. BE&W

następne kroki, wypiliśmy szampana i zadowoleni rozeszliśmy się do domów.

Pomiędzy końcem zbierania podpisów a 6 stycznia, na kiedy zaplanowaliśmy przekazanie deklaracji Karty 77 organom państwowym, był okres relatywnej ciszy. Z każdą godziną zwiększała się możliwość, że policja się czegoś dowie, lecz i tym razem postanowiliśmy zaryzykować, przekazując bowiem Kartę władzom, chcieliśmy wysłać jej kopie do wszystkich sygnatariuszy, a to wymagało czasu na jej przepisanie.

W tym czasie zorganizowaliśmy w moim mieszkaniu [29 grudnia] większą naradę roboczą z udziałem ok. 20 osób, na której przedyskutowaliśmy zadania Karty w pierwszych dniach po opublikowaniu. Po przekazaniu dokumentu władzom niezakłócone spotkanie w tak dużym gronie raczej nie byłoby już możliwe. O dziwo, tej nady policja też nie zauważyła.

Mimo to na początku stycznia policja zaczęła coś podejrzewać: przeprowadziła trzy ostrzegawcze przesłuchania, ale nie знаła tekstu oświadczenia ani liczby sygnatariuszy i chyba nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi.

Dokładną informację – czyli tekst oświadczenia i listę pierwszych sygnatariuszy – jak się wydaje, policja zdobyła dopiero ok. 5 stycznia (podobno z Francji, z drukarni dziennika „Le Monde”, w którym manifest Karty 77 ukazał się 6 stycznia wieczorem). Wtedy już rozumiano skalę całej sprawy, więc w nocy z 5 na 6 stycznia policja rozpoczęła mobilizację, której pierwszym efektem była napaść na nas następnego dnia w południe. Rozpoczęła się walka z czasem, którą o kilka godzin przegraliśmy.

W czwartek 6 stycznia rano przyjechali do mnie Ludvík Vaculík [pisarz i publicysta] i Pavel Landovský [aktor, dramaturg, po 1968 r. działacz opozycyjny], którego poprosiłem, żeby był kierowcą, bo miałem unieruchomione auto. [W mercedesie Havla ktoś w nocy przeciął przewody plynu hamulcowego i sprzegła].

Przenieśliśmy się do przyjaciela Zdenka Urbánka [pisarz, działacz opozycyjny]. Pavel zaraz pojechał do pewnego mieszkania po walizkę z kopiami oświadczenia i kopertami, na których były adresy wszystkich sygnatariuszy, a potem już u Zdenka przygotowaliśmy wszystko do przekazania władzom i wysłania sygnatariuszom. Z powodu jakiegoś nieporozumienia w walizkach zostały jednak arkusze z podpisanymi, więc niestety też je straciliśmy.

Gdy rano wychodziliśmy z domu, zauważyłem, że w odległości mniej więcej 100 metrów stoi samochód z dwiema osobami, ale nie chciałem z tego wyciągać pochopnych wniosków. Jednak u Zdenka już wiedzieliśmy, że jesteśmy śledzeni: w pobliżu jego domu stała wołga z anteną, a drugi samochód na wprost okien mieszkania.

Wiedzieliśmy, że teraz będą nas śledzić na każdym kroku, ale nie przyszło nam do głowy, że na nas napadną, więc nie skorzystaliśmy z żadnego ze stosunkowo łatwych sposobów ukrycia arkuszy z podpisanymi i kopert zaadresowanych do sygnatariuszy. Ogromny brak wyobraźni.

Kiedy koło południa wyjechaliśmy od Zdenka, wołga zaczęła nas śledzić. Szybko

zauważyliśmy, że jeździ za nami kilka samochodów na zmianę i raczej trudno będzie się urwać. Mimo to Pavel Landovský, jako ambitny kierowca, próbował tego dokonać, pędząc jak szalony tam i z powrotem po Hanspaulce [pagórkowate, willowe osiedle w zachodniej części Pragi], lecz jedynym zyskiem było to, że udało mi się wepchnąć choć część kopert do napotkanej skrzynki pocztowej, gdy przez chwilę byliśmy sami na jakiejś uliczce.

Na dużym skrzyżowaniu dopadło nas i otoczyło kilka aut, więc dalej nie dało się już uciekać. Policjanci wyskoczyli, zatrzymali ruch, zaczęli na nas krzyczeć i w końcu zmusili do wyjścia z wozu. Rozdzielili nas do swoich samochodów, zabrali torby ze wszystkimi rzeczami i zawieźli na Bartolomęjską [siedziba praskiej bezpieki i areszt]. Stało się jasne, że nie dostarczymy egzemplarzy Karty 77 rządowi, Zgromadzeniu Federalnemu ani agencji prasowej ČTK.

Przez naszą nieudolność policja zdobyła dużo cenniejsze łupy, niż zapewne przypuszczała: w jej ręce wpadło nie tylko 200 kopii oświadczenia, ale przede wszystkim spis adresów wszystkich sygnatariuszy.

Ta napaść w biały dzień przypominała scenę z filmu kryminalnego: przechodnie zapewne mieli wrażenie, że faktycznie kręci tu się film, bo w środku zbiegowiska dostrzegli powszechnie znaną twarz Landovskiego. Kiedy już nas wieźli na Bartolomęjską, pomyślałem: „Ładnie nam się zaczyna ta walka o prawa człowieka!...”.

Oczywiście było bardzo zawstydzające, że policja z powodu naszej nieostrożności „za darmo” zdobyła adresy pierwszej grupy sygnatariuszy i w dodatku dowody na to, że przepisaaliśmy dokument i zamierzaliśmy go rozsyłać. Jednak z drugiej strony interwencja bezpieki, uniemożliwiająca obywatelom przekazanie petycji władzom państwowym, od razu naocznie potwierdziła rację istnienia Karty 77 i sprawiła, że jeszcze wzrosło zainteresowanie naszą inicjatywą za granicą – publikacji tego dokumentu towarzyszyły opisy naszego zatrzymania.

Przy Bartolomęjskiej próbowali mnie przesłuchiwać, ale tylko powtarzałem, że jako rzecznik Karty 77 będę rozmawiał wyłącznie z władzami państwowymi, i domagałem się, aby natychmiast umożliwiono mi przekazanie im naszego oświadczenia. Mniej więcej przez godzinę ich operator usiłował mnie filmować, ale też bez wielkiego powodzenia: zakrywałem twarz rękoma albo stałem twarzą do ścian i nie dałem się nabrać na żadne sztuczki mające sprawić, żebym spojrzał do kamery.

Dość nieprzyjemna była za to sytuacja, kiedy wprowadzili mnie do jakiejś dużej sali, w której na długich stołach leżała zawartość naszych toreb, a zwłaszcza wszystkie koperty – i tam, mimo moich protestów, fotografowali mnie przy stole (jak jakiegoś gangstera), a dwóch spośród ubeków ordynarnie na mnie pokrzykiwało. (Dopiero później do mnie dotarło, że to wspiania-łe, gdy na człowieka krzyczą, bo to tylko umacnia go w jego nieprzejednaniu; jeśli są uprzejmi, to znacznie zwiększa się groźba zaplątania się w ich sieci).

Wypuścili mnie o drugiej w nocy, po 14 godzinach, i bardzo się zdziwiłem, bo przez długi czas mi się wydawało, że już mnie tam zostawią na dobre. W tym czasie zrobili u nas w domu rewizję, podczas której w koszu na śmieci znaleźli zmięty papierek z moimi notatkami o koncepcji przyszłej pracy Karty 77.

Następny dzień, czyli piątek 7 stycznia, znów spędziłem w asyście policji – rano przyjechali do domu i musiałem z nimi jechać na rewizję na Hradeček [letni domek Havla w Karkonoszach w pobliżu Śnieżki]. Czeakały tam już na nas dwa samochody z ubekami z Hradec Králové i Trutnova, więc w sumie było ich chyba z 15. Jako świadka przywieźli sekretarza Rady Narodowej z Vlčic, który widział coś takiego z pewnością pierwszy raz w życiu i był moc-

no wystraszony. Podarowałem mu jabłko z naszej piwnicy.

Krótko po naszym przyjeździe, zapadając się po kolana w śniegu, na podwórku pojawił się „Visconti” – tak z Landovskim nazwaliśmy ich kamerzystę – i znów starał się wszystko filmować. Oświadczyłem mu, że w naszym domu filmuje wbrew mojej woli i że to sprzeczne z prawem, ale on tylko robił głupie miny. Nakręcił wszystkie pomieszczenia, a zwłaszcza jakąś zaimprowizowaną wystawę moich książek, które rozłożyli na wielkiej kanapie w salonie. „Visconti” znów mnie chciał filmować, więc wziąłem na ramię naszego kota, wiedząc, że takie obrazki są dla nich nie do wykorzystania.

W drodze powrotnej złapaliśmy gumę; szofer nie miał lewarka, więc dotarliśmy na Bartolomęjską w nocy. Dwóch ubeków zostało ze mną w aucie, a jeden poszedł na górę spytać, co ze mną zrobić. Gdy wrócił, dowiedziałem się, że jestem wolnym obywatelem. Więc od razu pojechałem do Kohoutów [Pavel Kohout, prozaik, poeta i dramaturg; Jelena Mašinová-Kohoutová, pisarka i scenarzystka], gdzie było kilkoro przyjaciół. Dowiedziałem się od nich, że 6 i 7 stycznia manifest Karty 77 wyszedł w kilku światowych dziennikach – komentowały go wszystkie zagraniczne stacje radiowe, informując przy okazji o napaści na nas.

W sobotę i niedzielę miałem wolne od policji (oczywiście jeśli nie liczyć śledzenia mnie), więc spędziłem ten zaśnieżony weekend pracowicie, wraz z paroma przyjaciółmi, zajmując się sprawami Karty. Odbyliśmy narady, sprawdzaliśmy, kto już był przesłuchiwany, u kogo zrobili rewizję, radziliśmy się, co dalej robić. W sobotę po południu byłem u prof. Jana Patočki i napisaliśmy oświadczenie Karty numer 2 – o wydarzeniach ostatnich dni. W niedzielę przed południem telefonicznie przekazałem je agencji Reuters do Wiednia.

O ile pierwsze przesłuchania były jeszcze dość „dzikie” i czysto orientacyjne (nie podjęto pewnie decyzji, jak reagować na całą sprawę), to w poniedziałek 10 stycznia miał już swój porządek: na Ruzyni [praskie więzienie] i w budynku przy Bartolomęjskiej zaczęły się „przesłuchania przy filiżance kawy”, na które wezwano niemal wszystkich pierwszych sygnatariuszy. Wybrana grupa osób podejrzanych o to, że wie, jak powstała Karta 77 i w jaki sposób została zorganizowana zbiórka podpisów (w tej grupie byliśmy oczywiście także my trzej jako rzecznicy Karty: prof. Patočka, dr Jiří Hájek i ja), była przy tym przesłuchiwana na Ruzyni codziennie, od rana do późnego popołudnia lub wieczora.

[Jiří Hájek, polityk socjaldemokratyczny, potem komunistyczny, w latach 60. w gronie reformatorów, w 1968 r. szef MSZ; po upadku Praskiej Wiosny pozbawiony wszystkich funkcji i usunięty z partii].

Mnie w tym czasie przesłuchiwał jakiś mjr Hudec – mężczyzna wysoki i względnie uprzejmy, ale nieustannie wybuchający dość nieprzyjemnym śmiechem. Ja, podobnie jak wszyscy pozostali, odmawiałem jakichkolwiek wypowiedzi na temat Karty 77, a ponieważ mjr Hudec nie był zdolny do żadnych ciekawych rozmów, spędzaliśmy czas w raczej ponurych nastrojach. Były tam długie minuty ciszy i krótkie, wciąż te same i nieustannie powtarzające się dialogi:

– Ja jak coś przeszkrobię, a jestem facetem, to po prostu otwarcie o tym mówię! W godzinę to spiszymy i wraca pan do domu! Ja pana nie rozumiem – jest pan facetem?

– Ale ja nic nie przeszkrobałem!
– Jak pan nic nie przeszkrobał, to niech pan to, do diabła, powie! Ja, jak coś przeszkrobię, a jestem facetem, to po prostu otwarcie o tym mówię! W godzinę to spiszymy i wraca pan do domu! Ja pana nie rozumiem – jest pan facetem?

I tak kilka razy, wciąż to samo. W moich sztukach nazywam to „dialogiem w formie

pętli”. A potem długie milczenie. I za jakiś czas na nowo: „Ja jak coś przeszkrobię...”.

Tak to wyglądało z mjr. Hudecem przez dwa dni, codziennie po 10 czy 11 godzin. Po częściowo zastanawiałem się, jak człowiek z tak wielkim deficytem fantazji mógł zostać majorem, później jednak przyszło mi do głowy, że być może go nie doceniam. Bo beznadzieja, jaka z niego emanowała, zaczęła na mnie fatalnie oddziaływać: kręciło mi się w głowie i zaczynała mnie boleć, a także wciąż walczyłem z dziwną ospałością. I może to właśnie było celem mjr. Hudeca?

Może brał pod uwagę dwie możliwości: że albo puszcza mi nerwy i mu wszystko wyśpiewam, albo mi nie puszcza, ale wieczorem przyjdę już tak zmordowany do domu, że nie będę w stanie odpowiadać na najróżniejsze pytania dziennikarzy, którzy dzwonili z Wiednia, Bonn czy Paryża, narażać się z pozostałymi ludźmi z Karty, gromadzić informacje. Nie dam rady pełnić funkcji rzecznika Karty.

Więc może nie było to ze strony majora Hudeca takie głupie, choć jednak sukcesu nie odniósł: nerwy mi nie puściły, a wieczorne obowiązki rzecznika też jako tako udało mi się pełnić.

W wtorek wieczorem Hudec, jak to miał w zwyczaju, wezwał mnie na następny dzień rano. Dlatego w środę znów pojawiłem się w portierni na Ruzyni. Powiedziałem, że wezwał mnie mjr Hudec, a strażnik poprosił, żebym zaczekał. Siedziałem w poczekalni chyba z pół godziny, wysłuchałem jakiejś placzącej kobiety i próbowałem ją pocieszyć, aż w końcu strażnik mi powiedział, że nie ma tu dziś żadnego mjr. Hudeca. Pojechałem do domu.

Była dopiero dziewiąta rano, przez chwilę się cieszyłem, ale potem zacząłem się zastanawiać, co robić. Tak przyzwyczaiłem się już do tych całodziennych przesłuchań, że czułem zupełną pustkę w głowie. Mam siedzieć w domu i czekać, aż po mnie przyjdą? Czy może skorzystać z okazji i gdzieś sobie pójść? Ale dokąd? „Kartyści” są o tej porze albo w pracy, albo na Ruzyni, a zajmowanie się czymś innym niż Kartą wydawało mi się absurdałne.

Zdecydowałem się w końcu na nieco dziwne rozwiązanie – na coś pośredniego między zniknięciem a niemal manifestacyjnym wyjściem na światło dzienne: pójdę do kawiarni Slavia.

Slavia to duży i ważny kawałek mojego życia: chadzałem tam przez całą młodość, przeżyłem tam początki literackie, prowadziłem niekończące się dyskusje z kolegami, jako praktykant uciekałem tam z pracy, a jako student – z zajęć, 25 lat wcześniej pozna-

tylko ja nie – może stanowić sygnał czegoś znacznie poważniejszego; np. w tej chwili zmieniają mój status ze świadka na oskarżonego? Bo nie wydawało mi się możliwe, aby zamknęli jakąś większą grupę sygnatariuszy Karty.

Za to zamknięcie jednego, żeby w ten sposób nastraszyć pozostałych i dać im do zrozumienia, że z władzą nie ma żartów – a zarazem wypróbować, co się będzie działo, kiedy się wtrąci dysydenta do więzienia – to wyglądało na całkiem realne. A jeśli zdecydują się na taką drogę, to jest niemal pewne, że wybór padnie na mnie: prof. Patočka nie jest im za bardzo znany i raczej traktują go tylko jako podstawioną figurę, a dr. Hájka raczej nie odważą się ruszyć.

Jestem najmłodszym rzecznikiem, więc mogą mnie uważać za najradykałniejszego, w dodatku z wielu powodów już od dłuższego czasu bardzo ich irytuję – choćby za niedawną obronę undergroundowych muzyków i za publiczne oskarżenie szefa MSW o kolportowanie fałszyfikatów. Mają także prawo przypuszczać, że ze względu na mój styl życia i na wiek to właśnie ja prawdopodobnie prowadzę najbardziej ożywną działalność organizacyjną (jako jedyny z rzeczników mam samochód). A wreszcie jestem jedyną – albo przynajmniej główną – osobą, na którą zgromadzili ewidentne dowody, że to organizuje. Złapali mnie z 200 kopiami pierwszego oświadczenia Karty, z podsłuchu telefonu mają nagranie, jak przekazuję do Wiednia dokument numer 2, a w moim koszu znaleźli notatki na temat koncepcji działania. Może nawet mają naiwną nadzieję, że beze mnie Karta przestanie działać.

Stało się dla mnie niemal jasne, że chcą mnie zamknąć. Sama myśl jeszcze nie była taka straszna: więzienia właściwie się nie bałem, zwłaszcza mając wrażenie, że nie byłoby to za jakieś głupstwo. Znacznie bardziej przygnębiające było, że nie miałem żadnej pewności i nie wiedziałem, kiedy to się stanie. Może przecież nastąpić w każdej chwili, lecz równie dobrze za tydzień. Czy jestem na to gotowy? I czy będę gotowy w każdym momencie? Bo człowiek może sobie mówić od niechcenia: „A niech mnie zamkną, mam ich gdzieś!”, ale w chwili, kiedy to się naprawdę może wydarzyć, nie jest mu wcale przyjemnie.

Zadzwoiłem do Landovskiego. Gdy przyszedł, zrobiło się weselej. Zauważyliśmy przy sąsiednich stolikach, jak studenci z zaciekawieniem czytają w „Rudym Právie” [organ partii komunistycznej] artykuł o nas, „Ztroskotanci a samozvanci” (Bankruci i uzurpatorzy), a dwóch spośród tych bankrutów jak gdyby nigdy nic siedzi

W odległości 100 metrów stał samochód z dwiema osobami. A w pobliżu domu kolegi inny, wolga z anteną. I jeszcze inny na wprost okien mieszkania

łem tam Jiříego Koláři, Zdenka Urbánka, Jana Grossmana, a nawet moją żonę Olę. Ale od dobrych 15 lat już tam nie chodzę.

[Kolář, pisarz, tłumacz i artysta plastyk; Grossman, reżyser teatralny, dramaturg i krytyk; Olga Havlová, pierwsza żona Havla].

Usiadłem przy oknie, wziąłem kawę i zacząłem się zastanawiać. Powoli i nieubłagannie zacząłem dochodzić do przykrego wniosku, że nie jest to żadne nieporozumienie, tylko cała ta anomalia – że wszyscy są tam,

obok nich. Mówiliśmy sobie, że życie „kartysty” nie jest łatwe, ale i tak za nic w świecie nie zamienilibyśmy go na inne. I że choćby nie wiem co robili, to nie mogą zlikwidować Karty, bo mogłoby to zrobić wyłącznie nasze zmęczenie.

Rozmawialiśmy sobie dosyć długo, aż koło południa znów nagle zacząłem być niepokojny: wyszedłem z domu, żeby im zniknąć z pola widzenia, a teraz znów strasznie chciałem wrócić, żeby dowiedzieć się, czy mnie nie szukali, albo ściślej mówiąc – żeby

mnie tam zastali i żebym mógł się wreszcie dowiedzieć, co się dzieje. Zawsze lepiej znosiłem nawet złą sytuację niż niepewność.

Pojechałem do domu. Wieczorem zaczął się normalny ruch: przyjaciele przychodzili po swoich przesłuchaniach, dzwonili dziennikarze itp. Czułem się świetnie, już całkiem zapomniałem o swojej nerwowości, a w dodatku wiedziałem, że teraz już mnie nie zatrzymają. Na koniec zostali u nas tylko Věra Jirousová i Jiří Němec, z którymi popijaliśmy i prowadziliśmy wspaniałe rozmowy.

[Věra Jirousová, poetka i historyk sztuki, żona Martina Jirousa, nieformalnego lidera czeskiego undergroundu; Němec, psycholog, filozof i działacz opozycyjny]. Ale kiedy już mieli wychodzić, znów mnie ogarnął niepokój. Przyszło mi do głowy, że z powodu zdarzeń dnia dzisiejszego na jutro także nie mam wezwania na policję, więc przecież nie mam obowiązku być w domu, jak jutro rano po mnie przyjdą; mogę uzyskać kolejny wolny dzień. Dlatego pojechałem spać do mieszkania Věry przy ulicy Navrátilovce.

Były tam też dziewczyny spoza Pragi i kiedy przysłiszyły nocą, jedna z nich w półśnie rozkosznie się przeciągnęła, co natychmiast obudziło we mnie myśli niepasujące zbyt do mojej niepewnej sytuacji, za to całkiem pasujące do mego charakteru. Zanim

te). On sam poruszał się zakosami – było to w całkiem nieznanym mi dzielnicy – dwa razy okrążył blok, a potem jeszcze nadłożył drogi, aż w końcu zaczął mi ginać z oczu. Więc podbiegłem, żeby go dogonić, on jednak, widząc, że biegnę, zaczął przede mną uciekać, więc biegaliśmy jak wariaci pustymi ulicami. A kiedy zdyszani spotkaliśmy się wreszcie przy jego aucie, nie byliśmy w stanie sobie wytłumaczyć, dlaczego nie szliśmy do niego razem i normalnym krokiem.

W domu dobrze się wyspałem, ale wstałem dość wcześnie, bo w spokoju chciałem się wykapać, zanim po mnie przyjdą. Kiedy byłem już gotowy z całą tą moją toaletą, zadzwonił dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć, a w drzwiach stał mjr Hudec z dwoma potężnymi goryłami.

Zarechotał swym ochrypłym głosem i jowialnie zawołał: „Panie Havel, co się z panem dzieje?”. Tak jakby mi wypominał, że sam się nie zgłosiłem do więzienia, co mówiąc szczerze, po tych dwóch dniach denerwującej niepewności nie wydawało mi się wcale takie całkiem absurdatne; gdybym tylko potrafił się kierować wyłącznie własnymi odczuciami, to najchętniej skończyłbym już tę grę i poszedł sam się do nich zgłosić. Czułem się bowiem jak człowiek, który błądzi ulicami miasta, gdzie na każdym rogu wisi list gończy z jego zdjęciem i informacją, że jest poszukiwany.

To wspaniale, gdy funkcjonariusze krzyczą na człowieka. Tylko umacniają go w jego nieprzejednaniu. Jeśli są uprzejmi, znacznie zwiększa się groźba zaplątania się w ich sieci

jednak owe myśli zdolały przerodzić się w jakiś plan czy próbę działania, zainteresowała Věra i wyrzuciła mnie do pokoju dzieciennego, gdzie spał jej mały synek i gdzie zaraz też usnąłem.

Rano ktoś dzwonił tam do drzwi, ale nie otwierałem. Věra potem zatelefonowała do mojej żony Olgi, nikt mnie jednak nie szukał! Było to coraz bardziej podejrzane: wszyscy są „normalnie” na przesłuchaniu, tylko wokół mnie panuje cisza. Znowu opanowała mnie wielka nerwowość, więc w knajpie przy Žitnej starałem się ją stłumić za pomocą dwóch obiadów i paru piw. Koło południa przyszedł tam do mnie Jiří Němec. Czytaliśmy wspólnie gazety i dyskutowaliśmy o kampanii przeciw Karcie, która już wchodziła na pełne obroty: w telewizji, w radiu i we wszystkich gazetach potępiali nas różni „oburzeni ludzie pracy”.

Popołudnie i wieczór spędziłem w „konspiracyjnym” mieszkaniu, gdzie odbyło się wiele spotkań i rozmów, przygotowywany był dokument o szkolnictwie, analizowaliśmy sytuację i wymienialiśmy się informacjami.

Koło dziesiątej wieczorem postanowiłem, że mimo całej nerwowości pojedę jednak do domu, porządnie się wyspię, wykapię i ogolę. Nie wiedzieliśmy, czy mieszkanie, w którym byłem, policja zdołała już zdekonspirować i czy nas śledzą – chyba raczej nie – ale tego dnia wszystko wydawało mi się podejrzane i żadne środki ostrożności nie były dla mnie dostateczne.

Kiedy stamtąd wychodziliśmy, Pavel Landovský – który miał mnie podrzucić autem do mojego samochodu – przykazał mi, żebym szedł jakieś 100 metrów za nim (co prawda nie pojąłem sensu tego żądania, ale nie protestowałem, żeby nie wyjść na idio-

Może ten „pusty czas” był w istocie tylko jakimś biurokratycznym niedopatrzaniem, może gdzieś na górze zastanawiano się nad mną albo czekano na czyjąś zgodę. Bóg raczy wiedzieć, co to znaczyło, ale wywarło taki efekt, jakby wymyślił to cały zespół psychologów. (Wieczorem mjr Martinovský spytał mnie, gdzie przez te dwa dni się ukrywałem. Odpowiedziałem, że się nie ukrywałem, tylko poruszałem się po mieście jak swobodny obywatel).

Spytałem mjr. Hudeca, czy przyszli po mnie jako świadka czy oskarżonego. On zarechotał, że oczywiście jako świadka. Zabrałem przygotowany „zestaw więzienny”, który już od dziesięciu dni wciąż miałem przy sobie, pożegnałem się z Olgą i wyszedłem. Wróciłem po 127 dniach. ●

przet. Andrzej S. Jagodziński

Fragment odnalezionej niedawno książki Václava Havla „**Síla bezsilného. Reportáž z prvního uvěznění**”, która ukazała się po polsku kilka tygodni temu nakładem Fundacji Ośrodka Karta.



Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Spowiedź Havla

Pisał „na brudno”, po kawałku, by jak najszybciej pozbywać się tekstu z domu. W końcu zapomniał, gdzie ukrył książkę.

Andrzej S. Jagodziński

Nie zdarza się często, żeby ważny tekst wybitnego pisarza odnajdował się dopiero lata po jego śmierci. A tak właśnie stało się z książką Václava Havla „**Síla bezsilného. Reportáž z prvního uvěznění**”. Do tego okoliczności jej powstania, jak i impuls, który do tego prowadził, były niezwykle.

To jedna z najważniejszych jego książek, napisana w dramatycznym 1977 r.: roku powstania Karty 77 – głównej platformy czechosłowackiej opozycji demokratycznej – i brutalnego ataku komunistów na jej sygnatariuszy. Ale nie jest to wyłącznie dokument historyczny, lecz także – albo głównie – wręcz intymna opowieść pisarza o zdarzeniach, które wywarły ogromny wpływ na jego życie.

6 stycznia 1977 r. ogłoszono manifest Karty 77. Jej rzecznicy: Václav Havel, Jan Patočka i Jiří Hájek, wraz z aktorem Pavlem Landovským jechali w Pradze do Zgromadzenia Federalnego, by przekazać tekst dokumentu z listą pierwszych sygnatariuszy. Okazało się, że są śledzeni przez bezpiekę, i rozpoczął się pościg policyjny jak z gangsterskich filmów. A po nim całodzienne przesłuchania. 14 stycznia po jednym z nich Havel trafił do aresztu śledczego pod zarzutem prowadzenia „działalności na szkodę państwa”. Nie wiedział, że czekają go ponad cztery miesiące za kratami – pierwszy tak długi kontakt z aparatem bezpieki i więzienia.

Był wcześniej wielokrotnie zatrzymywany i od dawna starał się „przygotować” do pobytu w więzieniu, lecz to nowe doświadczenie co chwilę go zaskakiwało. I źle je znosił.

Po dwóch miesiącach skorzystał z przysługującego mu prawa i w liście do prokuratora generalnego wystąpił o zwolnienie. Reżim zastawił siła, a Havel w nie wpadł. Kiedy go po następnych dwóch miesiącach zwolniono, wszystkie reżimowe media opublikowały komunikat MSW z wyrwanymi z kontekstu cytatami z jego korespondencji z prokuratorem oraz z informacją o orzeczeniu się przez niego funkcji rzecznika Karty 77.

Havel był zdruzgotany. Uważał, że to „uwikłanie” kwestionuje całą jego wiarygodność jako obrońcy praw człowieka. Walcząc z depresją, rzucił się w wir szaleńczej aktywności; podejmował wiele brawurowych działań, bo uważał, że tylko powrót do więzienia może zmyć tę „hańbę”.

W październiku otrzymał wyrok 14 miesięcy więzienia (w zawieszeniu) za udział w przekazaniu za granicę pamiętników powojennego ministra sprawiedliwości. Mimo to w następnym roku ponownie przyjął funkcję rzecznika Karty. Ponadto w swoim letnim domu na Hradcu w Karkonoszach organizował m.in. zjazdy zakazanych pisarzy. W kwietniu 1978 r. współtworzył Komitet Obrony Prześladowanych za Przekonania (VONS), w sierpniu i wrześniu – doprowadzając do wściekłości bezpiekę – dwukrotnie spotkał się na granicy z przedstawicielami KSS „KOR”. W październiku skończył najważniejszy swój esej – „**Síle bezsilných**”, analizę politycznej i moralnej degrengolady, do jakiej

reżim doprowadził kraj po zdławieniu Praskiej Wiosny 1968 r.

Bezpieka nie zostawiła go w spokoju – od grudnia 1978 do maja następnego roku stosowała wobec niego bezprawny areszt domowy: na schodach przed jego praskim mieszkaniem dzień i noc siedzieli milicjanci, legitymujący i spisujący wszystkich gości, a przed domem na Hradcu postawili nawet barakowóz. W maju 1979 Havel po raz kolejny trafił do aresztu i w październiku w procesie członków VONS-u został skazany na 4,5 roku więzienia.

Ale wcześniej zdążył napisać „**Síle bezsilného**”. Książka powstała zapewne w drugiej połowie 1977 r., choć w istocie nigdy nie została ukończona. Havel zwykle długo pracował nad swymi utworami i starał się je maksymalnie czytelować, lecz w tym przypadku nie miał takiej szansy. Pisał na brudno, po kawałku, by jak najszybciej pozbywać się tekstu z domu, bo nieustannie wisiała nad nim groźba rewizji czy ponownego aresztowania. W końcu zapomniał, gdzie ukrył książkę.

„O pierwszych dniach Karty, moim aresztowaniu i pierwszym uwięzieniu napisałem potem po powrocie chyba stustronicowy reportaż, gdzieś go później schowałem i już dawno nie wiem, gdzie jest” – mówił w 1986 r. w wywiadzie rzece, jaki z nim przeprowadził emigracyjny dziennikarz Karel Hvizďala (przeł. Jacek Illg).

W 2017 r., niemal sześć lat po śmierci Havla, David Dušek, wnuk jego przyjaciela Zdeňka Urbánka, porządkując papiery po dziadku, odkrył pierwszy rozdział książki, ok. 50 stron maszynopisu. Ten fragment dawał przedsmak czegoś niezwyklego.

Dušek rozpoczął mozolne poszukiwania w archiwum, a pandemia i lockdown paradoksalnie były w tym pomocne. Stopniowo na odwołanie różnych zapisków dziadka odkrywał zaginiony reportaż Havla. Część kartek była słabo czytelna, bo czas zrobił swoje i trzeba je było pracowicie rekonstruować. Nadal nie jest to tekst kompletny i trudno określić, ilu i jak długich fragmentów brakuje, ale dzięki sumiennej pracy edytorskiej już w pełni nadaje się do czytania. Są w nim wątki rozwinięte później w „**Síle bezsilných**”.

Tekst – niezwykle szczerą, chwilami wręcz samooskarżycielską spowiedź Havla – to wyjątkowa okazja ku temu, by zajrzeć w głąb duszy późniejszego prezydenta Czechosłowacji i Republiki Czeskiej. Jest też kluczem do interpretacji kilku jego ostatnich sztuk teatralnych, a także pokazuje źródła ich inspiracji. Ale najważniejsze jest to, że ta psychoterapia – jak pisze Michael Žantovský, czeski edytor książki, przyjaciel autora i jego prezydencki rzecznik, a dziś dyrektor praskiej Biblioteki Václava Havla – ta pełna cierpienia walka pisarza z własnym sumieniem oraz bezwarunkowe przyznanie się do własnego błędu na zawsze zmieniły jego życie.

Po pięciu latach walki z samym sobą Havel tak podsumował to doświadczenie („Listy do Olgi”, przeł. Elżbieta Szczepańska):

„Łatwo jest odpowiadać za swoje sukcesy. Ale przyjąć odpowiedzialność w sytuacji, gdy się zawiodło, uznać to bez zastrzeżeń jako naprawdę swoją winę i samemu podjąć się odbicia należytej za nią pokuty – to cholernie trudne! Ale tylko wtedy wiedzie droga do tego, aby się na nowo lepiej i dogłębniej odnaleźć, aby w nowym świetle zobaczyć własne sprawy i samodzielnie nimi pokierować”. ●

Skrócony wstęp do polskiego wydania książki Václava Havla „**Síla bezsilného**”, Karta, październik 2022.

PO PRAWDZIE

Największy talent prezesa

Lider PiS bardzo się stara, by ktoś, kto chciałby swój lęk oswoić, nadal miał się czego bać.

Agnieszka Kublik



Najbliższe wybory do Sejmu i Senatu będzie to bój do krwi ostatniej. Jarosław Kaczyński wymyślił, że – znowu – wyborców zmobilizuje do udziału w głosowaniu strachem. Gdy wojna tuż-tuż, gdy zbliża się kryzys gospodarczy, energetyczny, klimatyczny, strach jest naszą emocją codzienną. Stał się bardziej namacalny niż przed poprzednimi wyborami – w 2015 czy 2019 roku.

A Kaczyński bardzo się stara, by ktoś, kto chciałby swój lęk oswoić, nadal miał się czego bać.

Podczas objazdu Polski staranie wymienia powody, dla których trzeba się lękać przyszłości i z przerażenia przed nadciągającym Złem i Złym iść na wybory i głosować na niego. Faktycznie, sondaże pokazują, że PiS może mieć problemy z mobilizacją swoich, więc Kaczyński ich straszy, jak umie. A akurat to wychodzi mu niezle.

Rzuca takie oto zdania:

- „Nie możemy sobie pozwolić na władzę i zwycięstwo opozycji, bo nie chcą służyć Polsce, tylko obcym narodom”.
- „Mówią, że rządy PiS są wielkim nieszczęściem dla Polski. A co się stanie jak, ja to określę czarnym scenariuszem, oni wygrają i władzę przejmują? Jak ta władza będzie wyglądała? Polska trafi pod zagraniczny but. Każdy, kto ma choć trochę rozeznania i zdrowego rozsądku, a nie trzeba tutaj przenikliwości, przyzna, że to w istocie formacja niemiecka. To formacja, która jest jawnie bezpośrednio związana z Niemcami”.
- „Nie po to odzyskailiśmy niepodległość, żeby teraz ją stracić i wpaść spod jednego buta pod drugi”.
- „Stawka tych wyborów jest jasna. Chodzi o to, czy Polska będzie wolnym krajem, czy będzie pod butem, czy będzie chodzić na kompromisy z własnej woli, czy utraci to, co uzyskaliśmy po 1989 roku. Inni w ofercie mają wyłącznie program antypolski”.
- „Nasi przeciwnicy mówią, że wygrają wybory, a jeśli nie, to będzie znaczyć, że były sfałszowane. To znaczy, że oni sami chcą fałszować. Wybory organizują samorządy, a kto ma najwięcej samorządów? Oni, niestety, zwłaszcza w większych miastach”.

- „Druga strona mówi, że wybory będą sfałszowane, że to oni muszą pilnować. Prawdopodobnie chcą doprowadzić do tego, żeby były jedną wielką awanturą. Musimy na to nie pozwolić. My mamy prawo wybrać władzę. I to musimy przeprowadzić w praktyce. Jestem przekonany, że uczciwe wybory wygramy my. A jeśli my wygramy, to wygra Polska”.
- „To jest po prostu niesłychane, nie ma w Europie takiej sytuacji jak ta, która jest w Polsce, żeby opozycja była antypaństwowa i antynarodowa”.
- „Ci, którzy tutaj wykrzykują brzydkie wyrazy [protestujący wobec Kaczyńskiego], bo po prostu nie potrafią inaczej wyrazić swoich poglądów, a nie potrafią właśnie, bo funkcjonują w tej kulturze, tej najniższej można powiedzieć kulturze, czyli kulturze lumpenproletariackiej. To są przyszli zwycięzcy – jeżeli my te wybory przegramy”.
- „Polska ma swoją tradycję, zwyczaje, katolicy mają wiarę i tych wartości będziemy bronić. Mamy po prostu zdrowy rozsądek. My dostrzegamy problem małej garstki ludzi. Tu nie chodzi, by kogoś prześladować, chodzi o to, by to było w ramach zdrowego rozsądku, by w przedszkolach nie kazać chłopcom przebierać się za dziewczynki i vice versa. My nie chcemy, by nasza cywilizacja została wywalona w powietrze przez szaleńców, ludzi którzy zostali – w przenośni – opętani”.
- „Bronimy cywilizacji chrześcijańskiej w imię całej ludzkości. Mamy znacznie dłuższą tradycję wolności religijnej niż ogromna większość państw europejskich. My chcemy tej wolności bronić”.
- „Jestem praktykującym katolikiem i wierzę, że człowiek może się zmienić. Jeśli ci ludzie chcą być patriotami, szczególnie jeden pan [Tusk], to może niech z dziesięć lat potrenuje. A za dziesięć lat już zobaczymy, czy mówi o Polakach – Polacy czy ludność. Polski patriota, który zaszedł wysoko, służy Polsce, a nie innemu państwu na zachód od naszych granic”.
- „Potrzebny jest wielki wysiłek. Te wybory są na miarę tych z 89 roku. My jesteśmy »Solidarnością«, oni są komunistami – i to właściwie dzisiaj tego nawet nie ukrywają. Oczywiście to wszystko jest troszkę w cudzysłowie, bo ani my nie jesteśmy sensu stricto »Solidarnością«, ani oni nie są sensu stricto komunistami. Ale jeśli chodzi o pełną drogę ideową, o system wartości, to można powiedzieć, że tak właśnie jest”.
- „Musimy wygrać w interesie tych, którzy nas popierają, w interesie ogromnej większości tych, którzy nas nie popierają, tylko nie wiedzą, co robią, i wreszcie w interesie narodu polskiego – w interesie obecnie żyjących pokoleń, także tych najmłodszych, ale także tych najstarszych i tych, których jeszcze nie ma”.

Kaczyński szuka wojny. Umysł i serce ma już na wojnę gotowe. Już nie ma wątpliwości, że tak trzeba, skoro za rok wybory parlamentarne. I nie ma mu kto tego wyperswadować, bo jak kiedyś zauważył Ludwik Dorn – dawniej bardzo bliski polityczny przyjaciel braci Kaczyńskich, potem ich przeciwnik – Kaczyński w czasach trudnych potrzebuje do współpracy ludzi łatwych, bo z trudnymi są tylko kłopoty, a łatwymi da się rządzić. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Kazimierz Brakoniecki*

Oświecenie – poświęcenie

1.
*Islamski faszysta młody Czeczen
pod Paryżem obciął głowę nauczycielowi,
bo ten pokazał uczniom karykatury Mahometa,
jako dowód na republikańską wolność słowa.*

*Nie była to ścięta na gilotynie głowa Ludwika XVI
ani narcystycznego terrorysty Robespierre’a,
nie była to też głowa poety Apollinaire’a,
który, aby zostać Francuzem, walczył na froncie
pod ściętą głową słońca w imię krwi symbolów.*

*Samuel Paty miał muzułmańskie dzieci imigrantów
nauczyć szacunku dla republiki i tolerancji,
ale się przeliczył, spojrzały na niego oczu
bożka religii nienawidzącego wolności.*

*Tak jak w Polsce w imię kościelnej tyranii
religianci prześladują wolne i czule kobiety,
które nie godzą się rodzić katolickim talibom
turbany ze stule i poświęcone zygoty.*

16 X 2020/2022

2.
*Persja to nie Iran, perskie oko to nie kabaret
ani zabronione czytanie między sutrami Koranu,
ani tym bardziej dowcipne uwodzenie kobiet;
to zabijanie młodości spod zmrużonych oczu turbanu,
za którym kryje się czaszka islamskiego łotra.*

*Mahso Amini, która jako pierwsza zginęłaś
w kazamatach modlącej się torturami tyranii,
tylko dlatego że wyznałaś kobiecość i piękno,
klekam przed twoim poświęceniem i wołam:
kobiety – wolność – życie – kobiety – życie i wolność.*

*W jakiej świątyni prawdy
twoja śmierć stanie się kamieniem węgielnym,
kamieniem ofiarnym,
szlachetnym kamieniem wolności?*

3.
*Cale świadome istnienie byłem heretykiem,
szukając etycznego Boga w niepokornym Synu,
a nie w despotycznym i niemoralnym Ojcu,
który stworzył życie na podobieństwo niewoli,
w końcu dałem sobie spokój z tą wojną na górze:
diabeł tkwi w szczegółach waszego boga,
śmierci i nienawiści absolut jest zawsze potrzebny.*

4.
*Tak było i zdało się że to koniec
kryminalnej historii monoteistycznych religii,
teologicznych alienacji rasy – klasy – narodu,
ale wróg jest pilnie potrzebny i groźny,
zawsze niewierny i warto w niego uwierzyć,
wtedy łatwiej kopie się masowe groby wolności,
wtedy chętniej zabija się niebezpieczne istoty,
które prawdę widzą żywymi oczami,
zbuntowane Siostry i Cóрки naszej Ziemi Matki.*

9-16 X 2022

*Kazimierz Brakoniecki (ur. w1952 r.) - autor książek poetyckich i eseistyczno-autobiograficznych, począwszy od 1979 r. Ostatnio opublikował tomik „Pies na wiersze albo Pieczewo” (2021, Instytut Mikołowski) oraz „Oumuamua. Atlas wierszy światologicznych” (2022, FORMA). Otrzymał m.in. nagrody „Nowego Wyrazu”, paryskiej „Kultury”, „Czasu Kultury”, im. S.B. Lindego. Mieszka w Olsztynie. Wiersz dotychczas niepublikowany.



FOT.: ROBERT ROBASZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek, Tomasz Lebiada, Krzysztof Pietrasik

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



SUPERBOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI

Wielu moich pacjentów opowiada, że jako dzieci musieli stać się kameleonami. Inaczej by nie przeżyli



FOT. GETTY IMAGES

Z **MEG JAY***, PSYCHOŁOŻKĄ I AUTORKĄ KSIĄŻKI „SUPERNORMALSI. TRUDNE DZIECIŃSTWO I NIEZWYKŁA HISTORIA ODPORNOŚCI PSYCHICZNEJ” (Wyd. Relacja), ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Jedna z pierwszych pani pacjentek, Helen, w dzieciństwie straciła brata. Potem jej uzależniony od alkoholu ojciec odebrał sobie życie. W tym była całkowicie bezradna matka. Mimo to Helen świetnie poradziła sobie zawodowo, pracując dla światowych organizacji pomocowych, tworzyła bliskie relacje z ludźmi. Ale kiedy spytała ją pani, czy czuje się odporna psychicznie, odpowiedziała: – Nie, skąd!

– Jak zresztą większość moich pacjentów, których nazywam „supernormalsami”.

„Supernormalsi”, podobnie jak Helen, w dzieciństwie mierzyli się z ponadprzeciętnymi trudnościami. Byli dręczeni przez

rówieśników, rodzeństwo. Doświadczali przemocy fizycznej, psychicznej, seksualnej. Ich rodzice byli uzależnieni, cierpieli na zaburzenia psychiczne, trafiali do więzień albo po prostu znikali z ich życia. Jednak w dorosłym życiu poradzi sobie lepiej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Spełniają się w pracy. Są wystarczająco dobrymi rodzicami i przyjaciółmi. Wielu z nich angażuje się społecznie. Rzadko uważają się za odpornych psychicznie, bo wydaje im się na przykład, że takie osoby nigdy się nie załamują, nie proszą o pomoc.

A oni trafili do pani.

– Właśnie! Nie wiem jak w Polsce, ale w Stanach Zjednoczonych wciąż popularne jest przekonanie, że ludzie odporni psychicznie po traumatycznych doświadczeniach błyskawicznie wracają do formy. Nie mijają się. Nie ponoszą porażek. To fał-

szywy obraz odporności psychicznej. Opowiadając o niej w ten sposób, sprawiamy, że właściwie nikt nie ma szansy poczuć, że przynależy do tej grupy. A na pewno nie „supernormalsi”, którzy wkładają bardzo dużo wysiłku w to, żeby ich życie było lepsze. Ich walka jest heroiczna i godna podziwu, ale często też pełna potknięć i nie-trafionych decyzji. Bo ludzie odporni psychicznie nie są bogami. Są ludźmi.

Pierwsze badania dotyczące odporności psychicznej, które pojawiły się w USA w latach 50. ubiegłego wieku, zakładały, że istnieje jakiś „przepis na odporność”. Zestaw cech i zachowań, które można skatalogować. Pani pisze o odporności w znacznie bardziej złożony sposób.

– Ponieważ odporność psychiczna jest zjawiskiem, a nie katalogiem cech, jak pani słusznie zauważyła, które wciąż trudno zamknąć w prostym równaniu. Nie do koń-

ca wiemy na przykład, dlaczego jedno z rodzeństwa wychowanego w tym samym domu z agresywnym, nieprzewidywalnym rodzicem stanie się troskliwym, czułym ojcem albo matką, a drugie odtworzy rodzinny scenariusz. Jest anegdota, która próbuje odpowiedzieć na to pytanie, no ale to anegdota.

Proszę opowiedzieć.

– Usłyszałam ją od duchownego. „Do pastora przychodzi dwóch braci, którzy wychowali się z ojcem przemocowym alkoholiczkiem. Jeden pije, rozpadają mu się kolejne związki. Drugi jest abstynentem, ma Kochającą rodzinę. Pastor pyta ich: „Jak myślicie, dlaczego wasze życie tak się potoczyło?”. Obaj odpowiadają tak samo: „A jakże mogło być inaczej, biorąc pod uwagę to, gdzie się wychowałem?!”.

Oczywiście, pod tym „a jakże mogło być inaczej?” mogą się kryć różne rzeczy.

Być może brat, któremu się udało, spotkał po drodze innego życzliwego dorosłego, na przykład nauczyciela, który pomógł mu uwierzyć, że jego życie może być inne? A może miał fajnych kolegów? Albo bogatsze życie wewnętrzne, które dawało mu oparcie? Z tego powodu nie mogłabym napisać książki w stylu „Pięć kroków do odporności psychicznej” albo „Odporność psychiczna w weekend”, bo to jest o wiele bardziej zniuansowane. Poza tym nie wierzę, że istnieją szybkie i proste rozwiązania trudnych problemów. „Supernormali” są tego żywym dowodem.

Coś ich jednak łączy. Na przykład waleczność. To nie są osoby, które się godzą na to, co im zgotował los. Intuicyjnie czują, że to, w czym wzrastają, jest złe. – Rzeczywiście, chyba nie spotkałam osoby odpornej psychicznie, która na jakimś etapie nie przyznałaby: „tak, jestem wojownikiem, wojowniczką”. Albo: „potrafię zrobić coś z niczego”. Ale zapal, hart ducha i wytrwałość, o których pisze między innymi psycholog Angela Duckworth w świetnej książce „Upór. Potęga pasji i wytrwałości”, to nie wszystko. Tej waleczności towarzyszy również umiejętność korzystania ze wsparcia innych czy choćby zdolność do szukania konstruktywnych rozwiązań w bardzo niesprzyjających okolicznościach. Wielu moich odpornych psychicznie pacjentów ma wewnętrzne przekonanie: „Wydobędę się z tego”, „Nie dam się złamać! I znajdę na to sposób”. Co nie oznacza, że czasem nie opadają z sił albo nie tracą nadziei.

Potrafią też w zdrowy sposób korzystać z gniewu. Myślę teraz o Paulu, młodym mężczyźnie, który jako dziecko był maltretowany przez rówieśników i po kolejnej napaści zapisał się na dżudo. Ćwiczył też pamięć i koncentrację, żeby wzmocnić się psychicznie. Nazwał to „wewnętrzną bitwą o szacunek dla samego siebie”. – Dodam, że miał ojca, który cały czas stał po jego stronie.

Złość postrzegana jest często jako coś niewłaściwego. „Złe” uczucie, którego powinniśmy się wyzbyc. A przecież jest cenną informacją, że coś w naszym otoczeniu nie gra – dzieje się nam krzywda albo nasze potrzeby są ignorowane. Odpowiednie korzystanie ze złości pozwala to uznać i zawałczyć o zmianę. Nie tylko dla siebie, również dla innych. Przecież pod spodem walki z nierównościami, o prawa człowieka czy o zdrowszą planetę też często kryją się pokłady złości wynikającej z niezgody na stan rzeczy. Moim zdaniem to zdrowe podejście, które zakłada: „nie godzę się na bycie ofiarą”.

Ciekawe, że wielu „supernormalów” w dorosłym życiu zostaje psychoterapeutami, pracownikami społecznymi, aktywistami. – Dalej umiejętnie korzystają z gniewu, tylko tym razem walczą o innych, bo dobrze wiedzą, jak to jest czuć się bezbronny i pozbawiony wpływu. A przy tym, między innymi dzięki swoim trudnym doświadczeniom, są bardzo empatyczni.

Kolejną strategią, z jakiej korzystają, jest ucieczka w wyobraźnię. – Uśmiecham się, bo rozdział, który temu poświęciłam, należy do moich ulubionych. Wykorzystywanie wyobraźni to potężna strategia samoobronna.

Wiadomo, że jednym z podstawowych odruchów w sytuacji zagrożenia jest walka albo ucieczka. Ale „supernormali” jako dzieci często nie mają dokąd uciec! Jak masz pięć, siedem czy dziesięć lat i mieszkasz pod jednym dachem z przemocowym rodzicem, spędzasz pół dnia w klasie z rówieśnikami, którzy się nad tobą znęcają, albo żyjesz w niebezpiecznej dzielnicy, z której nie możesz się wyprowadzić, musisz znaleźć inne sposoby, żeby w zdrowy sposób zdystansować się od rzeczywisto-

ści. I odporne psychicznie dzieci je znajdują. Niektóre nałogowo pochłaniają powieści albo komiksy, przepadając na całe godziny w fikcyjnym świecie. Inne wkładają słuchawki i zatapiają się w muzyce. Jeszcze inne uciekają w fantazję, wyobrażając sobie, że są kimś innym, w jakiejś alternatywnej rzeczywistości – są najedzone, nikt ich nie bije, nie obraża. Często też snują wyobrażenia o tym, jak to będzie, jak już się staną dorosłe, wyprowadzą z domu. Wielu moich pacjentów ma niezwykle bogate życie wewnętrzne. To ich ratuje! I nie ma nic wspólnego z czymś, co nazywamy dysocjacyjnym zaburzeniem osobowości czy tak zwaną osobowością mnogą. Ten impuls odcięcia od czegoś, co jest nie do zniesienia, a od czego nie można uciec fizycznie, jest bardzo zdrowy.

Jedna z pani pacjentek, Mara, która wychowywała się z mamą z zaburzeniem afektywnym dwubiegunowym, w gorszych okresach choroby matki chowała się w szafie i tam słuchała radia.

Jedno z rodzeństwa wychowanego w tym samym domu z agresywnym, nieprzewidywalnym rodzicem jest troskliwym ojcem albo matką, a drugie – odtwarza rodzinny scenariusz

– A kiedy podrosła, biegła do koleżanek i spędzała u niej popołudnie albo noc. Zresztą wiele odpornych psychicznie nastolatków to robi – szukają schronienia u życzliwych sąsiadów, w domach przyjaciół, u dalszej rodziny. Tam mają też szansę zobaczyć, że nie wszędzie jest przemoc czy uzależnienie i że dorośli mogą być troskliwi i uważni. Część z nich zapisuje się do klubów sportowych, wstępuje do harcerstwa, wynajduje sobie hobby. Szukają azyłu, gdzie mogą odetchnąć i nabrać sił. Dla wielu z nich takim miejscem jest też biblioteka, w której poza książkami jest cisza i spokój, którego tak pragną.

„Supernormali” jako dzieci często utożsamiają się z superbohaterami i superbohaterkami. Czytają komiksy i oglądają filmy o Supermanie, Spidermanie, Avengersach. Z czego to wynika? – Ten wątek powraca nie tylko w opowieściach moich pacjentów, ale także we wspomnieniach i biografiach znanych osób, które miały trudne dzieciństwo. Pojawia się też w badaniach innych psychologów.

Odporne psychicznie dzieci intuicyjnie lgną do postaci, które reprezentują to, czego potrzebują najbardziej, czyli siłę, sprawczość, poczucie mocy, ale też poczucie, że są potrzebne. Superbohaterowie te wszystkie cechy mają. A jednocześnie, trochę jak „supernormali”, odstają od reszty. Czasem czują się samotni i wyalienowani, jednocześnie są uwielbiani. Dziecko, które utożsamia się z superbohaterem czy superbohaterką, podczepia się trochę pod tę aurę. Może pomyśleć: a może we mnie też jest coś, co zasługuje na podziw?

Kolejną strategią, po jaką sięgają, jest sumiennność. „Supernormali” są często pilnymi uczniami, pracownikami. Tę

sumiennność traktuje się zwykle jako obciążenie, pani pokazuje ją jako koło ratunkowe, które pozwala niekiedy zmienić trajektorię własnego losu. – Prawie każda z tych strategii to miecz obosieczny. Coś, co kiedyś było adaptacyjne, pozwalało przetrwać, z czasem może przestać takie być. Kiedy dorosły „supernormal” podczas kłótni z partnerem zaczyna uciekać w wyobraźnię, to już mu nie służy, prawda? Ani partnerowi. Podobnie jest z sumiennością. Kiedy jesteś dzieckiem i starasz się mieć same piątki i szóstki, to ci często pozwala uniknąć kłopotów, na przykład bicia albo awantur. Daje ci też poczucie sprawczości. Nad ludźmi, którzy cię krzywdzą, nie masz kontroli, za to możesz świetnie napisać sprawdzian albo egzamin. Czujesz się kompetentny, dostajesz liczne dowody, że twoja ciężka praca się opłaca. Co dla takiego dziecka jest czymś cudownym. Problem zaczyna się wtedy, kiedy jako osoba dorosła nabierasz przeświadczenia, że nigdy nie możesz sobie pozwolić na błąd, wszystko, co robisz, musi być perfek-

kę – osiągały dużo lepsze wyniki od dzieci, które nie zmagaly się z trudnościami. Mają coś w rodzaju radaru. Często są też bardzo dobre w odczytywaniu cudzych nastrojów, intencji. Co w dorosłym życiu bardzo się im przydaje – i w pracy, i w bliskich relacjach. Ta umiejętność ma wiele zalet...

...ale? – Na dłuższą metę może wykańczać, bo generuje dużo napięcia, również w ciele. Dlatego „supernormali” muszą nauczyć się ją temperować. Uwierzyć, że są już w bezpiecznym miejscu i mogą przestać skanować otoczenie pod kątem niebezpieczeństwa.

Jeszcze bardziej kosztowną strategią jest chyba zakładanie maski. Jak działa ten mechanizm? – Wielu moich odpornych psychicznie pacjentów opowiada mi, że jako dzieci musieli stać się kameleonami, które dopasowują się do sytuacji. W przeciwnym razie by nie przeżyli. Jedna z moich bohatererek, żeby uniknąć wyzwisk i maltretowania ze strony swojej narcystycznej matki, stała się dokładnie taką, jak ona sobie tego życzyła. Ubierała się, czesała, poruszała i wysławiała tak, jak chciała matka. Miała tylko ją, więc niespecjalnie miała wybór. Problem polega na tym, że kiedy takie dzieci wchodzi w dorosłość, nie bardzo wiedzą, kim są i czego chcą. Skupione na zaspokajaniu cudzych potrzeb nie mają dostępu do swoich. Pacjenci z takim problemem czasem nie wiedzą nawet, od czego zacząć. Pytają mnie: „Jak mam siebie poznać, skoro całe życie ćwiczyłem się w tym, żeby w sytuacji X przybrać barwę zieloną, w sytuacji Y – niebieską, i tylko to potrafię?”. Praca z nimi polega na tym, żeby uwierzyli, że nie muszą się już dostosowywać do otoczenia, że mogą poszukać własnego koloru. Dla wielu z nich to na początku przerażające. Na szczęście „supernormali” mają też niezwykłą „supermoc”, która polega na wyjątkowej zdolności przyciągania do siebie dobrych ludzi i czerpania z nich.

Skąd ta moc? – No właśnie nie bardzo umiem to wyjaśnić. Może częściowo wiąże się to z czujnością, o której powiedziałyśmy, czy też z inteligencją emocjonalną, która pozwala im się dość szybko zorientować: „OK. To jest fajna osoba. Warto się do niej zbliżyć, a od tej lepiej trzymać się z daleka”. A może chodzi o to, że „supernormali” są po prostu sympatyczni. Ludzie ich lubią i do nich lgną? Problem w tym, że wielu „supernormalów” nie zauważa tego daru u siebie. Nasza wspólna praca polega często na tym, że zobaczyli i uznali, jak dobrzy są w budowaniu wartościowych relacji, bo w dużej mierze właśnie na tej „supermocy” osadza się ich odporność psychiczna.

To zaskakujące, bo często mówi się, że osoby, które doświadczyły traumatycznych przeżyć w dzieciństwie, mają tendencje do ich powtarzania – wklajają się w niszczące związki, podświadomie przyciągając tych „złych”, ponieważ tylko to znają. – Powiem pani, że jak zaczęłam analizować różne badania tego mechanizmu, to się okazało, że wiele z nich ma dość słabe podstawy. Albo metodologia była taka sobie, albo grupa, na której je przeprowadzono, nie była zbyt liczna itp. Pewnie każdy z nas zna kogoś, kto nieświadomie odtworzył destrukcyjny scenariusz z przeszłości, więc łatwiej nam uwierzyć, że praktycznie każdy z takim doświadczeniem tak robi, ale naprawdę masa ludzi wybiera przeciwny kierunek.

Tylko że o nich mówi się rzadziej. – W ogóle mamy skłonność do powtarzania, że trauma rodzi wyłącznie traumę. A to nieprawda. Wielu moich pacjentów to młodzi dorośli albo osoby w średnim wieku. Wiedzą więc już, że udało im się prze-

trwać najgorsze. Z zewnątrz ich życie wygląda naprawdę dobrze, lecz w środku wcale się tak nie czują. Tylko – złamani, nienormalni, uszkodzeni. W terapii pracujemy nad tym, żeby wreszcie poczuli, że nie są wcale nienormalni, tylko „supernormalni”. Nie są uszkodzeni, tylko zintegrowani i odważni.

Badania, ale też moje doświadczenie, pokazują, że osoby, które miały trudne dzieciństwo, są często bardziej zdeterminowane od innych, żeby mieć dobre życie. Właśnie dlatego, że przeżyły to, co przeżyły. Z tego też powodu często wybierają zawody o większym znaczeniu społecznym, wkładają dużo wysiłku w to, żeby być dobrymi rodzicami, partnerami. Być może nie byłyby tak zmotywowane, gdyby dobre, bezpieczne życie traktowały jako oczywistość? Jako coś, co im się należy?

Powiedziała pani o zmianie przekonań, a ja sobie pomyślałam, że to nie jest łatwe również dlatego, że mamy wysyp literatury, która opowiada, ile szkody może nam wyrządzić trudne dzieciństwo, bez wskazywania tych jasnych stron.

– Pracuję teraz nad kolejną książką – o zdrowiu psychicznym młodzieży, bo teraz wszyscy dyskutują na ten temat. Myślę sobie, że z jednej strony to wspaniale. Ale z drugiej – wcale nie. Jeśli ta opowieść ma iść w tę stronę, że jest beznadziejnie i źle, że teraz każdy ma jakąś diagnozę, każdy potrzebuje leków albo terapii, to będziemy tworzyć nieprawdziwy obraz rzeczywistości. A sposób, w jaki rozmawiamy o różnych zjawiskach – w kulturze, mediach, między sobą – ma ogromny wpływ na to, jak sami siebie postrzegamy i jakie życie tworzymy. Dlatego ważne jest, żeby ta narracja była adekwatna. A prawdą jest, że wielu osobom udaje się pokonywać różne życiowe trudności. Stanąć na własnych nogach, osiągnąć coś, co wydawało się niemożliwe.

Czyli co?

– W przypadku „supernormalsów” – zwykłe, względnie spokojne, względnie szczęśliwe życie.

To chyba Elisabeth Smart, która jako dziewczynka została uprowadzona przez fanatyka religijnego, a potem przez dziewięć miesięcy trzymana w ukryciu, gwałcona i maltretowana, powiedziała później, że dla osób, które tak jak ona przeszły w dzieciństwie przez piekło, „to, co zwyczajne, jawi się jako nadzwyczajne”. Większość „supernormalsów” jako dzieci nie wierzy, że są w stanie stworzyć ciepły dom, mieć pracę, która

im przynosi satysfakcję i pozwala wykarmić rodzinę, wiernych przyjaciół. A jednak wielu z nich udaje się to osiągnąć. Wzruszające jest, kiedy wreszcie potrafią spojrzeć na to swoje życie i powiedzieć sobie: „Wow, to niesamowite, że jestem tu, gdzie jestem. Mogę sobie pogratulować!”. Ta zwyczajność to jest ich triumf. Nie trzeba być Oprah Winfrey czy Andre Agassim, żeby uważać się za osobę odporną psychicznie.

Jaką cenę płaci się za bycie „supernormalsem”?

– Zwykle trafiają do mnie na etapie, kiedy są już bardzo zmęczeni. Mówią na przykład: „Wie pani, byłem rodzinnym bohaterem przez 15, 20, 30 lat. Mało kto wie, z czym musiałem/musiałam się mierzyć i jestem już tym wykończony/wykończona”. Mogą być w depresji, cierpieć na zaburzenie lękowe. Często czują się samotni i wyobcowani, nawet jeśli otaczają ich życzliwi ludzie, bo czasami nie ujawniają się ze swoją historią ani nie zwierzą z tego, jak im trudno. Jednym z moich zadań jest pomóc im uświadomić sobie, że są już bezpieczni, że mogą już opuścić gardę.

Co jest dla nich najtrudniejsze?

– Dość długo zajmuje im nauka zadbania o siebie. To są osoby, które dużo czasu spędziły na polu walki. Wierzą więc, że nie muszą jeść ani się wysypiać, ponieważ ich obowiązkiem w pierwszej kolejności jest zadbać o innych. Mówię im wtedy: „Biologia prędzej czy później cię dogoni i wystawi rachunek, więc musisz znaleźć sposób na regenerację”. Wiele z nich potrzebuje podstawowej wiedzy w zakresie higieny snu, zdrowego odżywiania, odpoczynku. To jest proces, który trwa.

Zwraca pani uwagę, że organizmy wielu „supernormalsów” pod wpływem chronicznego stresu starzeją się szybciej.

– Oj, tak. Wiele moich pacjentów, kiedy przychodzą do mnie po raz pierwszy, nie pamięta, kiedy ostatnio byli u lekarza. Wysłałam więc ich na badania, pilnuję, żeby robili je regularnie, czasem sama te wizyty umawiam. Dla ludzi, którzy przez długi czas stawiali siebie na ostatnim miejscu, to nie jest łatwe. Poza tym, tak jak mówiłyśmy wcześniej, wielu „supernormalsów” wybiegło zawody, w których walczył o innych. Mówią więc: „Nie mam czasu! Są ważniejsze rzeczy!”. Staram się ich wtedy przekonać, że tym bardziej powinni o siebie zadbać, żeby mieć siłę na tę walkę.

Czego najbardziej się obawiają?

– Chciałam w pierwszym odruchu powiedzieć, że powtórki z przeszłości, ale znaczną większość jest tak zdeterminowana, że by to się nie stało, że nie ma takiej możliwości... Najbardziej chyba się boją, że ich przeznaczeniem jest ciągła walka. I że nie uda im się mieć tych dobrych rzeczy, które mają inni. Rozumiejących ich przyjaciół, kochającego partnera, że będą kiepskimi rodzicami mimo swoich starań.

Część z nich w ogóle nie zdaje sobie sprawy, z czym musiała się zmagać jako dziecko. Odkrywają to dopiero po latach. W tej chwili prowadzę kurs dla studentów wokół tej książki. Kiedy ostatnio przerabialiśmy rozdział o wychowywaniu w rodzinie alkoholowej, jedna z osób podeszła do mnie po zajęciach i powiedziała: „Wie pani, właśnie sobie uświadomiłam, że moja mama codziennie wracała do domu pijana, zdarzało się, że traciła przytomność na podłodze w łazience. Dla mnie to była norma. Dopiero teraz widzę, że w tym nie było nic normalnego”. Myślę, że mogłaby się pani zdziwić, jak wiele młodych osób nigdy nie poddaje swoich wczesnych doświadczeń refleksji. Po prostu, zakładają, że tak już jest.

Ostatnio w tej samej grupie wypełnialiśmy test, z którego wyszło, że sto procent uczestników tych zajęć dorastało z co najmniej jedną przeciwnością losu, a wielu z nich z wieloma. Przez przeciwność losu rozumiemy wszystko, co stanowi poważne zagrożenie dla fizycznego i psychicznego dobrostanu dziecka – zaniedbanie, przemoc fizyczną, emocjonalną, uzależnienia rodziców. Wszystko to, co wymieniałam na początku. Po skończonym teście studenci powiedzieli, że gdyby nie spotkali się na tych zajęciach i nie dowiedzieli się tego o sobie nawzajem, prawdopodobnie dalej żyłoby w przekonaniu, że są z tym sami albo że jest ich niewielu. A badania pokazują, że aż 75 proc. z nas doświadcza co najmniej jednej przeciwności losu w dzieciństwie. To znaczy, że wśród nas jest naprawdę dużo „supernormalsów”.

Czego możemy się od nich nauczyć?

– Że przeciwności losu nas łączą, a nie oddzielają od siebie. Niezależnie od tego, czy wychowaliśmy się z uzależnionym rodzicem, zostaliśmy porzuceni przez niego, czy byliśmy prześladowani przez rówieśników albo rodzeństwo – jesteśmy w stanie się nawzajem zrozumieć i dać sobie wsparcie.

Poeta Dylan Thomas napisał kiedyś, że od nieszczęśliwego dzieciństwa gorsze

jest tylko dzieciństwo zbyt szczęśliwe. Brzmi kontrowersyjnie. Jak pani to rozumie?

– Wie pani, gdybym usłyszała ten cytat w wieku lat 20, pewnie pokręciłabym głową z oburzeniem, ale im jestem starsza, tym bardziej się z nim zgadzam. Z pewnością nie da się uporać z konsekwencjami trudnego dzieciństwa w rok, trzy, a czasem nawet w pięć lat. To trwa, ale się dzieje. I osoby, którym udało się je w końcu przezwyciężyć, często mówią: „Moje życie jest bardziej udane niż nie. I wiele tych wspólnych rzeczy, które mnie otaczają, mam dzięki temu, że było mi trudno, a nie POMIMO to. Bo byłem zdeterminowany, żeby mieć inne życie. Bo byłam waleczna”.

„Supernormalsi” często bardziej doceniają i cieszą się życiem niż osoby, które nie musiały tak walczyć o siebie. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Meg Jay

• jest psycholożką kliniczną i profesorką w dziedzinie edukacji na Uniwersytecie Wirginii. Zrobiła doktorat z psychologii klinicznej i gender studies na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Jej artykuły o rezylencji i traumie ukazywały się m.in. w „New York Timesie”, „Los Angeles Timesie”, „USA Today” i „Psychology Today”, a także na platformach NPR, BBC i TED

Książki Agnieszki Jucewicz **„Czasem czuję mocniej. Rozmowy o wychodzeniu z kryzysu psychicznego”** oraz **„Bajka o Lęku”** już w księgarniach



ADAM WAJRAK
NA PÓŁNOC
Jak pokochałem Arktykę

ZE ZDJĘCIAMI AUTORA

Z MIŁOŚCI DO LODU
I FASCYNACJI PÓŁNOCĄ

„

Zakochałem się w Północy, zakochałem się w Arktyce. Zakochałem się w niej, bo choć wydaje się groźna, tak naprawdę jest bogata, przyjazna i – szczególnie dziś – bardzo krucha.

ADAM WAJRAK

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



100-lecie urodzin Kurta Vonneguta

Rzeźnia w słoiku

Przez wiele lat, kiedy nie wiedziałem, jak coś mam napisać, zaglądałem na chybił trafił do Vonneguta.

Z PIOTREM LIPIŃSKIM*, REPORTEREM, ROZMAWIA MARIUSZ SZCZYGIEL*, REPORTER

S to lat temu, 11 listopada 1922 roku, urodził się Kurt Vonnegut, autor m.in. słynnej książki „Rzeźnia numer pięć”. Vonnegut zmarł w wieku 85 lat, w 2007 roku.

Mamy napisać nasze wyznanie wiary w Kurta Vonneguta.

– Ja sobie zastrzegam cytat: „Wszystko to wydarzyło się mniej więcej naprawdę”.

A ja: „Paty Kane celowo była głupia”.

– Dzięki Vonnegutowi napisałem początek reportażu: „Andrzeja Dobrowolskiego nawiedzili kosmici. To nic nadzwyczajnego – wielu ludzi spotykają kłopoty”.

A ja dzięki niemu taki: „Zbigniew R. nie żyje od dwóch lat, na co ma stosowne dokumenty”. Przez wiele lat, kiedy nie wiedziałem, jak coś mam napisać, zaglądałem na chybił trafił do Vonneguta. Jak do ożywczego źródła, choć lepiej byłoby powiedzieć, że jak do słoika z sosem Hot Mango firmy Wilkin & Sons Ltd. Ów sos z mango, chili i imbiru sprawia, że da się przelknąć najnudniejszą wędlinę czy najnudniejszy ser. I Kurt Vonnegut z tymi swoimi zdaniem i z książek, które nie pamiętam, o czym są, jest jak kapsaicyna zawarta w chili, która wchodzi w bezpośrednią interakcję z neuronami w mózgu i dlatego działa jak naturalny środek psychoaktywny. Wystarczy, że przeczytam: o „narodzie, który cierpiał na brak wszystkiego, oprócz kobiet i mężczyzn”, i już wiem, jak mam pisać. Ruch neuronów sprawia, że jestem w euforii i własne zdania lęgną mi się jak muszki owocówki.

– Kiedy do Polski powrócił kapitalizm, wartość Vonneguta znacząco wzrosła. Z braku wznowień wydane jeszcze w PRL-u powieści handlarze oferowali wprost z łóżek rozkładanych na ulicach. Ceny zbliżały się do miesięcznej pensji nauczyciela. Bardzo to dobrze wróżyło małemu biznesowi.

Czy tobie dałem odbitą na powielaczu, przez co dziś cenną, samizdatową wersję „Matki nocy”? Prawdopodobnie dałem ci ją dlatego, że nie mogłem rozróżnić liter, były tak małe i niewyraźne, a ty jesteś młodszy. A właściwie dlaczego „Matka noc” wyszła w PRL-u nielegalnie w wersji ksero?

– Możliwe, że „Matka noc” przemieszkała u mnie ostatnie trzydziestolecie. Poszukam na półce, jeśli zadeklarujesz, że wciąż jesteś starszy i słabo widzisz. A tymczasem taka uwaga: Vonnegut nigdy nie miał zbyt wiele do powiedzenia. „Rzeźnia numer 5” liczy 217 stron. Klasycy literatury wydają się poważniejsi. „Pani Bovary” Gustawa Flauberta ma 396 stron. „Doktor Faustus” Tomasza Manna – 798. Choć można w tym znaleźć również pozytywną stronę. Lepszy od Vonneguta wskaźnik cena za słowo osiągają tylko poeci. Z reguły jednak przy mniejszych obrotach.

Niegrube książki pisał, ale pamiętne!

– Z jego książek wyniosłem ważną naukę: każdą dobrą historię można opowiedzieć w trzech zdaniach, z których ostatnie to puenta. Reszta powstaje na żądanie redaktorów domagających się uzupełnień i wyjaśnień.

Uwaga! Jestem starszy i słabo widzę!

– „Matka noc” powróciła! Na półce odnalazłem podziemne wydanie z 1989 roku, powielone w Gdyńi przez Solidarność Walczącą. Pierwsza wersja wyszła pięć lat wcześniej również w tak zwanym drugim obiegu. Jak opisać nielegalną edycję ze schyłku PRL-u? To cienki zeszyt przypominający „Książkę życzeń i zażaleń”, jakie były w sklepach. Tyle że dzisiaj mało kto pamięta, jak taka książka wyglądała. To może inaczej: powieść wydrukowana na szarym papierze toaletowym. Ale przecież teraz nawet on jest kolorowy. Druk rzeczywiście był bardzo mały i gęsty. Pewnie dlatego inteligentów rozpoznawało się wtedy po okularach.

Ale dlaczego „Matka noc” nie ukazała się oficjalnie?

– Niezbadane bywały wyroki cenzury. Może zakwalifikowano ją jak opozycyjnego Aleksandra Solżenicyna? Albo rozrywkowego, ale jednak antyso-



FOT. MARTY REICHTHAL/AP

wieckiego Jamesa Bonda? Tu jednak problem raczej tkwił właśnie w bohaterze. Narratorem „Matki nocy” jest zbrodniarz nazistowski, a powinna nim być postać pozytywna. I może także dlatego książka była niecenzuralna, bo radziecki żołnierz gwałci tam niemiecką kobietę, a wtedy radzieccy żołnierze jeszcze nie gwałcili oficjalnie.

Władza wolala, aby pisarze tworzyli ładniejszą rzeczywistość, a nie opisywali brzydszą. Z tym do dziś jest problem. Gdy napiszę książkę, wyjaśniam, że jej BOHATEREM jest – i tu pada nazwisko kolejnego zbrodniarza...

...w twoich książkach najczęściej stalinowskiego.

– Zacząłem więc mówić, że antybohaterem mojej książki jest... i tak dalej. Ale to wciąż brzmi dziwacznie, jakbym nie wiedział, o kim wypada pisać.

■
Jeśli w życiu nie może być pięknie, to niech będzie chociaż zabawnie

Pierwszy raz usłyszałem o Vonnegucie może około roku 1983, kiedy mój idol – Grzegorz Ciechowski – wyznał w kilku wywiadach, że jego ulubiona książka to „Syreny z Tytana”. Bardzo chciałem to wtedy przeczytać, ale nie było jak.

– Vonnegut przyjechał do naszego kraju w 1985 roku, niedługo po pierwszym nielegalnym wydaniu „Matki nocy”. Jeden z dziennikarzy zapytał go o bokononizm, fikcyjne wyznanie, które pisarz począł w „Kociej kołysce”:

„Dlaczego musiał pan wymyślać religię?”. „Bo nie mieszkalem w Polsce”.

Jak mu zazdroszczę ciętego języka jako metody na radzenie sobie ze światem... „Nasz prezydent jest chrześcijaninem? Hitler też był!”. Vonnegut uświadomił mi, że ironia to najbardziej cywilizowana i usankcjonowana kulturowo forma agresji. Rada na najbliższy weekend: jeśli chcecie na kogoś rękę podnieść, zajrzyjcie do Vonneguta, a potem niech wam ręka zadrży i zabijajcie ironią.

– Mnie Vonnegut nauczył jednego: jeśli w życiu nie może być pięknie, to niech będzie chociaż zabawnie.

Czasem zabawnie na poziomie trzynastolatka. Bo czy wiesz, dlaczego do swojego podpisu zaczął dodawać symbol dziury w tyłku?

– To jedna z tych rzeczy, o których pamiętam, że zapomniałem. ●

*Piotr Lipiński i Mariusz Szczygiel – reporterzy, autorzy książek non-fiction, którzy na początku lat 90. razem wynajmowali mieszkanie i czytali przeważnie te same książki

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”



1 BRATERSTWO
BRONI.

Polacy na wojnie
w Ukrainie

2 KSIĄDZ.
TEŻ GEJ.

Reportaż
Marcina Wójcika

3 MĘSKIE
KRĘGI.

Co buduje
męskie poczucie
wartości?



„Niepodobna oddać tego upojenia, tego szalu radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach prysły kordony. Nie ma »ich«. Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! Chaos? To nic. Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą rządili. (...) Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekały, piąte doczekało” – opisywał Jędrzej Moraczewski, drugi premier rządu II Rzeczypospolitej atmosferę w kraju po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po z górą wieku.

Dzisiejsza „Weekendówka” musiała dotyczyć Narodowego Święta Niepodległości. Przypada ono na 11 listopada, przede wszystkim dlatego, że tego dnia w 1918 roku podpisano rozejm (obowiązywał początkowo 36 dni) w lesie Compiègne między ententą a Cesarstwem Niemieckim, który kończył działania I wojny światowej.

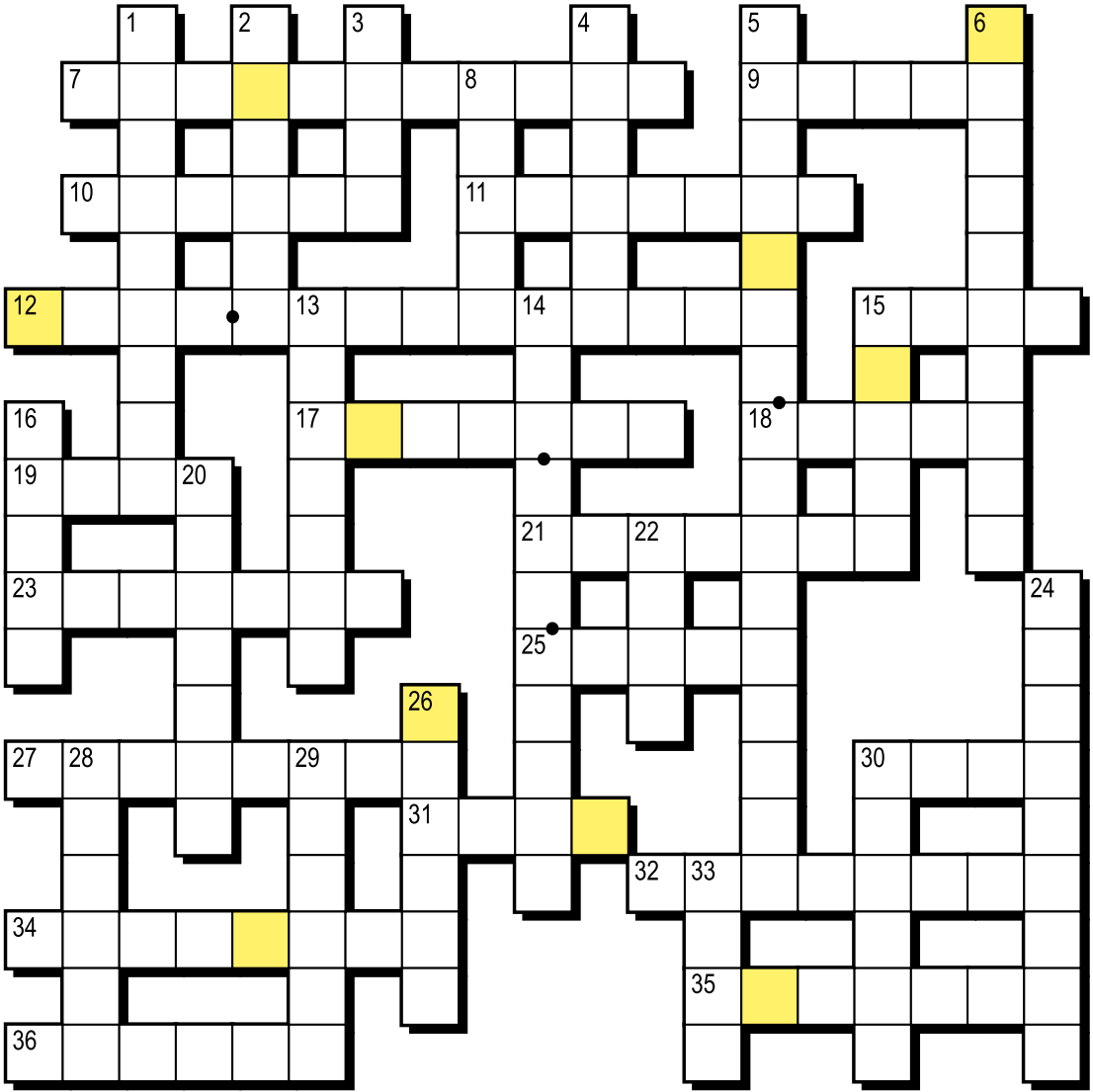
Dzień wcześniej do Warszawy przybył Józef Piłsudski, uwolniony przez Niemców z Magdeburga wraz z Kazimierzem Sosnkowskim.

Po raz pierwszy uroczystości obchodzono Dzień Niepodległości w 1920 roku, 14 jednak, nie 11 listopada. Zresztą pomysłów, w który dzień celebrować to wydarzenie, było wiele. Obóz piłsudczykowski proponował 5 i 6 sierpnia, kiedy spod Oleandrów wymaszerowała I Kompania Kadrowa, 10 listopada – czyli dzień powrotu marszałka z Magdeburga, lub 14 listopada właśnie, gdy Rada Regencyjna przekazała pełnię władzy naczelnemu wodzowi Wojsk Polskich.

Lewica przychyliła się do 7 listopada, czyli dnia utworzenia w 1918 roku r. w Lublinie rządu Ignacego Daszyńskiego, konserwatyści zaś – 7 października, kiedy padła deklaracja zapowiadająca odbudowę Polski niepodległej. Ostatecznie stanęło na 11 listopada. Tego dnia bowiem Piłsudski zyskał zwierzchność militarną, wreszcie był to przecież dzień zakończenia wojny.

Hasła do „Weekendówki” pomógł wymyślać Mirosław Maciorowski, dziennikarz, pisarz, szef tygodnika „Ale Historia” – cotygodniowego dodatku do „Gazety Wyborczej”. Autor książki „Samy swoi i obcy. Z kresów na kresy”, która jest zbiorem reportaży o wysiedlonych po wojnie z Kresów Polakach osiadłych na Dolnym Śląsku. Wraz z Beą Maciejewską napisał też „Władcy Polski. Historia na nowo opowiedziana”, czyli zebrane w zbiór rozmowy z wybitnymi polskimi historykami.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 25 z 5.11:

Poziomo:

- 1) Brandt 7) Mirosław 9) Breżniew
10) trabant 12) solo 13) Erich
14) granica 15) Kaczmarek
18) Adenauer 20) marka 21) Lenin
23) zjednoczenie Niemiec
25) Polska 26) kurtyna
30) komunista 31) Bartosz
32) Jaruzelski.

Pionowo:

- 1) Bułgaria 2) tablice 3) rewolucje
4) Tilt 5) Tokarczuk 6) piosenka
8) Waters 11) mur berliński
16) Arahja 17) Kennedy
19) Reichstag 21) Lech Wałęsa
22) demolud 24) drut 27) Rada
28) wojna 29) Kazik.

Hasło: **WIATR ZMIAN**

NIEPODLEGŁOŚĆ

Hasła Mirosława Maciorowskiego oznaczono inicjałami (MM). Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 7) Jędrzej, premier RP od 18 listopada 1918 r.
9) jeden z zaborców Polski
10) miasto, z którego Józef Piłsudski przybył pociągiem do Warszawy 10 listopada 1918 r.
11) Władysław, dwukrotny premier RP, prezes Głównego Urzędu Likwidacyjnego w latach 1919-22
12) organ, który 11 listopada 1918 r. wydał orędzie do narodu i przekazał Józefowi Piłsudskiemu naczelne

- dowództwo nad wojskiem polskim
15) kolor orła w godle Polski (MM)
17) zwierzchnik w wojsku
18) Wincenty, trzykrotny premier RP, współzałożyciel PSL Piast
19) 123 ... zaborów
21) jeden z zaborców Polski
23) obszary, które znalazły się pod zaborem 21 poziomu
25) ... polsko-ukraińska, konflikt zapoczątkowany 1 listopada 1918 r.
27) imię Korfante, przywódca III powstania śląskiego
30) „Na ... rzuciliśmy nasz życia los – na ..., na ...!”
31) emblematy na mundurach wojska polskiego, odradzającego się na początku XX w.

- 32) ... Magdeburg, tu więziono Józefa Piłsudskiego po kryzysie przysięgowym
34) okupowana przez Niemców do 10 listopada 1918 r.
35) Roman, stał na czele Komitetu Narodowego Polski
36) służby specjalne państwa
- Pionowo:
1) funkcja Józefa Piłsudskiego, gdy stał na czele I Brygady Legionów (MM)
2) Józef, generał na czele Błękitnej Armii
3) ... zbrojny, czyli walka, bój
4) pertraktacje, rokowania
5) podpisany 28 czerwca 1919 r., ustalał powojenne

- granice państwowe w Europie i nowy ład polityczny
6) Ignacy Jan, pianista i kompozytor, premier RP w 1919 r.
8) ... kolejowy, 11 listopada 1918 r. we francuskim Compiègne podpisano w nim kapitulację wojsk niemieckich
13) ugrupowanie, którego liderem był Roman Dmowski, skrótowo (MM)
14) wymyślona przez prawnicę potoczna nazwa Bitwy Warszawskiej (MM)
15) nad Marną, nad Sommą lub pod Verdun
16) ... RP, jej dzień to 2 maja
20) przeciwnicy państw centralnych podczas I wojny światowej; ententa

- 22) wielkopolskie – zwycięskie, na przełomie 1918 i 1919 roku
24) ... Woodrow Wilson, prezydent USA; w swym orędziu do Kongresu (1918 r.) postulował m.in. stworzenie niepodległego państwa polskiego
26) ... Sejmu Ustawodawczego, po raz pierwszy odbyły się 10 lutego 1919 r.
28) ... Rydz-Śmigły
29) stół a ... polska, żartobliwe powiedzonko m.in. na kartach „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego
30) Józef Piłsudski, naczelny ... wojsk w Bitwie Warszawskiej

Leszek Rydz

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ